

# SUPERMARKETYZACJA SZKOŁY?

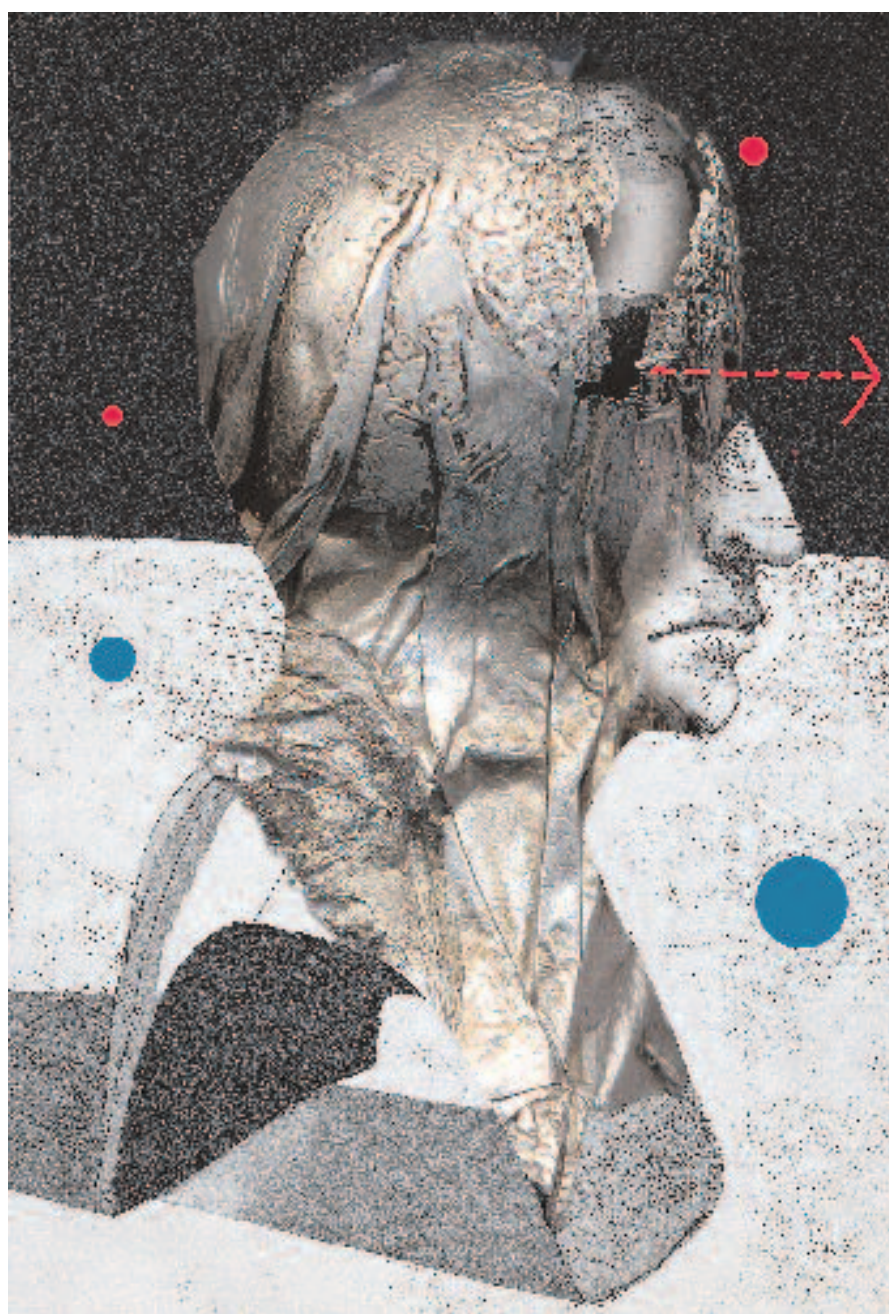
CENA 5 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# ŚLĄSK

Nr 9 (226) • ROK XIX • WRZESIEŃ 2014



**MARCIN  
GACEK**

– Polski  
euro-pociąg  
Tuska

**WIESŁAW  
KOSTERSKI**

– Stąd do raju

**MARIA DEBICZ**

– TADEUSZ  
RÓŻEWICZ  
i Niemcy

**JACEK KUREK**

– Bóg z gliny  
ulepił człowieka

Poezja i proza:

**FELIKS NETZ  
MICHAŁ  
SZALONEK**

ISSN 1425-3917



9 771425 391400

Wystawa plakatów powstańczych wykonanych przez studentów Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach została przygotowana w ramach obchodów 95. rocznicy wybuchu Powstania Śląskiego. – *Ta wystawa jest hołdem najmłodszego pokolenia twórców dla bohaterów tamtych dni* – mówili autorzy plakatów i organizatorzy wystawy. Ekspozycja była prezentowana w westybule Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach, skąd została przeniesiona do Warszawy, by wraz m.in. z pokazem replik pieniędzy zastępczych z okresu III Powstania, repliką urny z czasu Plebiscytu, licznymi eksponatami książkowymi udostępnionymi przez Bibliotekę Śląską, sztandarami powstańczymi, kopiami materiałów archiwalnych udostępnionymi przez Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach i eksponatami z Muzeum w Wodzisławiu Śląskim stanowić znaczącą część uroczystości obchodzonej w stolicy kraju rocznicy tego patriotycznego zrywu. Z tej okazji została również wydana pamiątkowa publikacja pt. „Wspomnienia Powstańca”, których autorem był uczestnik Powstań Śląskich – Józef Bankiela.



Foto. BP/Witold Tróika

KATOWICE  
22-24 września 2014

IV Europejski Kongres  
Małych i Średnich Przedsiębiorstw

*Nauka - Biznes - Samorząd RAZEM DLA GOSPODARKI*

Darmowa rejestracja już od II połowy czerwca na  
[www.kongresmsp.eu](http://www.kongresmsp.eu)

ORGANIZATOR:

WSPÓLORGANIZATORZY:

WSPÓŁSPONSORZY:

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.



# FELIKS NETZ

## ŚNIŁA MI SIĘ POLSKA

*Pamięci generała Augusta Fieldorfa (Nila)  
i rotmistrza Witolda Pileckiego*

Leżeliśmy pokotem w błocie, we krwi, w papierowych workach, z krzyżkami wyciętymi majchrem na zimnych czołach, naszą ojczyzną była nizina pogrążona w depresji, odarta z własnych ceremonii i rytuałów, wspominaliśmy zmasakrowane zaklęcia przysięgi, kolędy pachnące opłatkami spoczywającym na sianie, łacińskie słowa ministrantury podeptane w znieważonych świątyniach, trzymaliśmy się kurczowo dwóch, trzech myśli, które chciano z nas wyrwać wyrrywając paznokcie, czasami odrzynając ucho, lewe lub prawe albo jedno i drugie zależnie od fantazji naszego brata, współplemieńca, którego ojczyzną była sumienna, codzienna praca, dzień zaczynał od kąpieli w naszej rzece, wychodził na brzeg, wytrząsał wodę z ucha lewego lub prawego, prychał, podskakiwał jakby go postrzelono w kolano lewe lub prawe albo w oba naraz, odświeżony, rześki i silny śpieszył do pracy z wiecznym piórem widocznym w kieszonce dopasowanej marynarki, na znak, że jest pracownikiem umysłowym, wybijał nam zęby, kopał w jądra, lał się z niego pot, zabijał nas, wrzucał do dołu, zasypywał wapnem, zalewał betonem, a jednak biegliśmy do utraty tchu zaciskając palce na kolbie stena, cóż jeszcze, odłamki pieśni uwięzły nam w płucach, nie żyliśmy od dawna, stąd rażące braki w pamięci, odbite nerki bolały długo po naszej śmierci, aż sama śmierć przestała nas boleć, jak w jednej chwili przestało nas boleć życie, przez które jak przez dziury w rozstrzelanym niebie przelatywały straszne anioły (każdy anioł jest straszny!), każdy był sam: leżałem na brzuchu z ustami pełnymi ziemi i śniłem, śniła mi się Polska od grobu do grobu ale gdzie jest mój grób, zabij, nie przypomnę;



*Rys. Wojtek Łuka*

**FELIKS NETZ** (1939), poeta, prozaik, tłumacz, w ostatniej dekadzie wydał: *Dysharmonia caelestis* (powieść, nominacja do nagrody NIKE), *Cwiczenia z wygnania* (eseje, nominacja do nagrody mediów COGITO), *Trzy dni nieśmiertelności* (poezje, finalista Nagrody Poetyckiej Wrocławia SILESIUS). Wiersze pochodzą z tomu pt. „Krzyk sowy”, który ukaże się w grudniu tego roku nakładem dwumiesięcznika TOPOS.

Nr 9 (226). Rok XIX. WRZESIEŃ 2014 r.

WYDAWCA:  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO  
LITERACKIE W KATOWICACH  
TADEUSZ SIERNYprezes  
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13  
Tel. 32 253-62-21  
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl  
gtl@gtl.home.pl  
www.gtl.org.plWSPÓLWYDAWCA:  
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA  
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1  
Tel. centr. 32 20 83 700  
informacja: info@bs.katowice.pl  
sekretariat: bsl@bs.katowice.plRedaguje zespół:  
DARIUSZ ROTT  
redaktor naczelnyWIESŁAWA KONOPELSKA  
p.o. zastępcy redaktora naczelnego,  
sekretarz redakcjiKATARZYNA BERETA  
dział krytyki literackiejMARIA SZTUKA  
dział kulturalnyBOGDAN WIDERA  
dział społeczno-historycznyWOJCIECH ŁUKA  
dział graficznyIRENA FALKIN-SIBIGA  
korektaADRES REDAKCJI:  
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13  
Tel./fax 32 206-82-71  
e-mail: redakcjask@onet.pl, msk.slask@gmail.comDTP: STP „KorGraf”  
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12  
Tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48  
e-mail: korgraf@korgraf.com.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.  
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań  
tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja  
zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian ty-  
tułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie  
korespondencji.Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatu-  
ry „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio –  
w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych.  
Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja mie-  
sięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92  
102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 60 zł,  
półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane  
pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział S.A.  
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31  
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 5 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
jest dostępne w wersji elektronicznej  
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ  
pod adresem:<http://www.sbc.org.pl/dlibra/publication?id=19462>

## W NUMERZE:

## PUBLICYSTYKA

5. Marcin Gacek POLSKI EURO-POCIĄG TUSKA
8. O SUPERMARKETYZACJI SZKOŁY I O TYM, ŻE CZŁOWIEK JEST WIELKI.  
*Rozmowa „Śląska”*
16. Wiesław Kosterski STĄD DO RAJU
23. Maria Dębicz MOJE POJEDNANIE. TADEUSZ RÓŻEWICZ I NIEMCY
28. Rozmowa z Anną Kazejak ŚWIAT ZAPOŚREDNICZONY
30. Marta Balaga MAŁA LADY MAK BET
32. Marek Piechota 44 SONETY SIEDEMDZIESIĘCIOSIEDMIOLATKA TADEUSZA  
KJONKI WYSNUTE Z SZELESTU LIŚCI I JEGO SIEDMIU BRYNOWSKICH BRZÓZ
35. Adriana Urgacz-Kuźniak BEDE ZYL DO 2040 ROKU
36. Henryk Szczepański KATOWICKIE WAGI OD BRATTIGA
39. Jerzy Machura ŚLĄSKIE ZŁOTO Z JAPONII
42. Rozmowa z Miroslawem Neinertem PODWÓJNY BONUS
56. Ryszard Bednarczyk ZŁOTE TRĄBY I CZERWONE PIÓRUPUSZE

## FELIETONY

15. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA  
*Marek S. Szczepański CNOTA LOJALNOŚCI (III)*
27. Z MOICH GÓREK  
*Witold Turant WOLNOŚĆ – ARTYKUŁ KŁOPOTLIWY*
31. KOLEKCJA MALARSTWA POLSKIEGO  
*Wojciech Grabowski STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ*
44. PORADNIA JĘZYKOWA  
*Katarzyna Wyrwas JAK NALEŻY PISAĆ WYRAZ INTERNET?*
45. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYNA  
*Jan Miodek DYDAKTYCZNE WALORY ŚLĄSKICH GWAR*
59. Magdalena Dziadek MIĘDZY NUTAMI. ROK ANDRZEJA PANUFNIKA.  
CO TO JEST NEUROESTETYKA MUZYCZNA?
65. Henryk Bzdok ANEGDOTY

## PLASTYKA

46. Jacek Kurek BÓG Z GLINY ULEPIŁ CZŁOWIEKA. O TOMASZU WENKLARZE
49. TOMASZ WENKLAR. Rzeźba
50. FERDYNAND SZYPUŁA. Grafika
51. POGWARKI ARTYSTYCZNE HENRYKA BZDOKA  
*Rozmowa z Ferdynandem Szypułą FERDYNAND BLUEBOX – GRAFIKA I...*
76. Maciej M. Szczawiński PEJZAŻ PODWÓJNY, CZYLI DO NAS O NAS
77. EDYTA RUTKOWSKA. MALARSTWO

## TEATR

58. Danuta Lubina-Cipińska DIAMENT JAK NIEDOPALEK

## KSIĄŻKI

60. Paulina Janota MAM JEGO ADRES, ALE KIM BYŁ, NIE WIEM
60. Katarzyna Krzan MAGIA SŁÓW
61. Adam Regiewicz STAŃCZYK W ŚWIECIE EDUKACJI
62. Bibiana Lisik LATA DZIEWIĘCDZIESIĄTEGO WG SHUTEGO
62. Manuella Giel O TRZECH BOHATERACH Z WIELKĄ PASJĄ
63. Bogdan Widera SPRAWDZANIE NIEOBECNOŚCI
64. Bogdan Widera KRÓTKO O KSIĄŻKACH
64. Katarzyna Wyrwas PORADNIA JĘZYKOWA. JAK NALEŻY PISAĆ WYRAZ INTERNET?

## POEZJA I PROZA

1. WIERSZ NA OTWARCIE  
*Feliks Netz ŚNIŁA MI SIĘ POLSKA*
20. Feliks Netz WIERSZE
24. Michał Szalonek CICHĄ NOC

## EKOLOGIA

54. Jolanta Matiakowska NA TORFOWISKU WYSOKIM

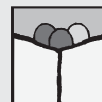
## STAŁE RUBRYKI

4. ŚLĄSKI MIESIĄC
66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK  
*Renata Szweđa, Magdalena Pasamonik POMYSŁY NA PROMOCJĘ  
BIBLIOTEKI I REGIONU*
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE  
PAŁAC MŁODZIEŻY JUŻ PO REMONCIE
68. OPOLSKIE

## NOTATNIKI KULTURALNE

69. Janusz Wójcik OPOLE
70. Wiesława Konopelska KATOWICE
72. Maria Szuka ŻAGŁĘBIE
73. Jan Picheta BIELSKO
73. Joanna Kotkowska CZĘSTOCHOWA
74. Jacek Sikora ZAOLZIE

## NA OKŁADCE:

Ferdynand Szypuła, *Błądny rycerz*, 2005, digital print, 65x44 cm



## *Drodzy Czytelnicy*

dawno już na naszych łamach nie było zapisu tak obszernej debaty. Zgodnie z zapowiedzią wracamy do cyklicznych rozmów redakcyjnych na ważne tematy. Na początek szkoła, oświata, kształcenie... Do dyskusji zaprosiliśmy znawców edukacji – praktyków, którzy odbyli podróż w czasie – od przeszłości, poprzez dzień dzisiejszy aż do roku 2026! Cieszę się, że zechcieli podzielić się swoimi niebanalnymi przemyśleniami i bardzo im za to dziękuję.

Zwrócę uwagę zaledwie na kilka poruszonych tutaj wątków. W pełni podpisuję się pod jakże niemodnym wszak dzisiaj stwierdzeniem, że dzisiejszą szkołę powinien cechować „szlachetny konserwatyzm w sposobie przekazywania wiedzy”. To niezwykle celne stwierdzenie, bowiem współcześni „urzędnicy od oświaty”, przekonani o swojej nieomyślności, lansują raczej model kształcenia pragmatycznego (i jak chce inny z rozmówców, „lekkiego, łatwego i przyjemnego”), dostosowującego się błyskawicznie do zmieniającej się rzeczywistości społecznej czy technologicznej... Ten model szkoły, która chce wyprzedzić swój czas realny, już w momencie rozpoczęcia procesu kształcenia jest skazany na śmieszność, a zasadniczo nawet na klęskę. Czy rzeczywiście należy stale reformować edukację w naszym kraju i czy była ona taka zła jak chcą dzisiejsi jej reformatorzy? Wątpię. Gdy z perspektywy trzydziestu lat (liceum ogólnokształcące ukończyłem bowiem w 1984 roku) patrzę na moje liceum i moich nauczycieli, to muszę stwierdzić, że bynajmniej nie przygotowali mnie oni do zmian, które miały zajść w naszym kraju po 1989, nie przygotowali mnie bezpośrednio do aktywności w świecie cyfrowym itd. Listę tę mógłbym kontynuować. Ale nie czynię im z tego zarzutu. Wręcz przeciwnie, bardzo dziękuję za ten „szlachetny konserwatyzm”. Pamiętajmy, że nasze dzieci i młodzież musimy przygotować do zawodów przyszłości, których jeszcze nie ma i raczej skorzystajmy ze starych dobrych wzorców edukacyjnych, wzbogaconych o nowoczesne technologie, a nie planujmy kolejne reformy.

Szkoła to instytucja długiego trwania, źle reagująca na turbulencje urzędniczych reform. Od wieków „starzy” narzekali na „młodych”, biadali nad ich miernym wykształceniem, wieszczili upadek cywilizacji. I jakoś zawsze wyrastały elity intelektualne, a świat się nie skończył. I tutaj – podobnie – jak jeden z rozmówców – jestem optymistą.

Pasjonująca dyskusja, teksty, które czyta się z wypiekami na twarzy.

Czekam na Państwa komentarze oraz na propozycje tematów do dalszych dyskusji. Zapraszam też oczywiście do lektury innych naszych wrześnieowych tekstów. Wśród nich polecam szczególnie wysmakowany „sonetologiczny” esej prof. Marka Piechoty o nowym tomiku Tadeusza Kijonki oraz najnowsze wiersze Feliksa Netza. To zapowiedź jego nowego tomiku *Krzyk sowy*, ale i coś więcej – zapowiedź październikowego oczekiwanego powrotu do naszej redakcji.

piej słuchało się siedząc lub leżąc na trawie. Kursowały specjalne autobusy dowożące uczestników, do których dyspozycji przygotowano też miasteczko namiotowe. Pomyślną dyrektorem artystycznym tej imprezy jest Artur Rojek, były wokalista „Mysłowit”. Na pięciu scenach zaprezentowała się niemal setka wykonawców.

■ SZUKAJĄ statystów do kolejnego filmu Lecha Majewskiego „Dolina Bogów”. Nabór odbył się w Katowicach, gdzie filmowiec realizuje większość swych produkcji. Zdjęcia mają rozpocząć się już we wrześniu. Tymczasem ostatni film Majewskiego pt. „Psie pole”, mimo światowych nagród, wciąż jeszcze... czeka na premierę w Polsce. Podobno takowa zapowiada się jesienią.

■ TRUDNO dojechać na te Czechy – oczywiście koleją, bo samochodem żaden problem. Niestety, przygraniczny ruch kolejowy zarówno z czeskim, jak i słowackim sąsiadem praktycznie u nas nie istnieje. A szkoda, bo z małych słowackich i czeskich stacji można dojechać w świat, ten naddunajski i śródziemnomorski. Na razie każdy lokalny pociąg kończy swój bieg w Zwardoniu, Chałupkach bądź Cieszynie. Dalej, za granicę, przeprowić się można już tylko pieszo, na czeski lub słowacki pociąg. A z takiego czeskiego Bohumina dajmy na to – do którego jeszcze dwa lata temu można było dojechać polskim pociągiem – dostać się można do Pragi, Budapesztu, na Słowację. I to koleją, ale nie naszą...

■ REPLIKA XVII-wiecznego ratusza stanęła na rynku w Pilicy. Fundamenty niezachowanego obiektu odkryli swego czasu archeolodzy, a władze zdecydowały o rekonstrukcji budowli. Kosztowało to

1,9 mln zł. Inwestycja zakończona zostanie jesienią.

■ BUDYNEK Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach jest już gotowy, czeka tylko jeszcze na zamontowanie interaktywnej ekspozycji – jej częścią będzie tramwaj i zrekonstruowany wóz bojowy. Otwarcie wystawy nastąpi 1 października.

■ DWA zdobyte ośmiotysięczniki i szeroko relacjonowana w mediach akcja ratunkowa – to tegoroczny bilans letniej działalności polskich himalaistów w Karakorum. Część członków tej 9-osobowej wyprawy na pechowy do tej pory Broad Peak (8047 m n.p.m.) stanowili śląscy uczestnicy. 24 lipca na jego szczycie stanął Marek Chmielarski z katowickiego klubu wysokogórskiego, pochodząca z Tychów Agnieszka Bielecka (KW Wrocław) i Piotr Tomala z Lublina. Marek Chmielarski, Grzegorz Bielejec i Mariusz Grudzień wzięli również nieoczekiwany udział w zakończonej sukcesem akcji ratunkowej umierającego Tajwańczyka. Tydzień później na K2, drugiej co do wielkości górze świata, stanęli Janusz Gołąb z Gliwic i Marcin Kaczkan z Warszawy.

■ URLOPY, letnie leniuchowanie dobiegły końca. Na wakacyjny wypoczynek wyjechał co drugi z nas. Pozostali spędzili swoje wakacje na działce albo wzięli się za malowanie, tapetowanie, czy też „kanelowanie” mieszkań. Zauważyć można to było w marketach budowlanych, które w lipcu i sierpniu wcale nie opustoszały.

■ GIGANTYCZNY boeing 777-200 ER, największy na świecie samolot dwusilnikowy (ich średnica wynosi 3,5 m), przyleciał w sobotę 9 sierpnia do Pyrzycy prosto z Japonii. Może pomieścić na pokładzie 300 osób. Po oddaniu do użytku nowego pasa startowego i przywróceniu radiowego systemu nawigacji ILS, takich gigantów ma być więcej.

■ STADION Śląski staje się powoli bohaterem sądowych wokand. Pytanie brzmi: kto zapłaci za słynną aferę z „krokodyłami”? Mostostal Zabrze pozwał samorząd województwa, a z kolei samorząd zamierza pozwać Mostostal. Na sto milionów złotych.

■ NOWA stara powieść Janoscha o Ślązakach ukazała się 28 sierpnia i z miejsca okazała się hitem. Mowa o książce pt. „Szczęśliwy, kto poznał Hrdlaka” pochodzącej z 1994 roku a będącej kąśliwą satyrą na śląską prowincję. Wiadomo – kto się umie śmiać z siebie, jest zdrowszy. Choć to niewątpliwie trudne.

■ SEZON pielgrzymkowy w pełni w częstochowskiej Jasnej Górze. Przed przypadającym 15 sierpnia świętem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny dotarły tu pielgrzymki z całego kraju – najdłuższą drogę miała kaszubska (638 km), która tę trasę pokonała w 19 dni.

■ JESZCZE w tym roku kolej zamierza oddać śląskim samorządom dziewięć dworców. Mają w nich powstać m.in. kuznia artystów, pasieka z ulami i mieszkania socjalne. W Żorach na dworcu na przykład, po wielu zresztą latach, po koniecznej re-

witalizacji ma się mieścić „Stacja Kultu-ra” – tak więc obok typowego dworca będzie to „miejsce działań kreatywnych”, jak się szumnie zapowiada. W Wiśle w dworcu rezydować ma straż miejska i punkt informacji turystycznej. I dalej będzie się tu sprzedawać bilety. Natomiast w Wieszowie w pow. tarnogórskim po remoncie dworzec będzie służył terapii osobom niepełnosprawnym, które w ramach tejże opiekiwałyby się ulami. W Krzanowicach koło Raciborza w byłym dworcu urządzone są mieszkania socjalne.

■ PALIŁ, pił i kłął jak szewc – taki był śp. profesor Zbigniew Religa, pionier polskiej kardiologii. Taki właśnie jest w filmie „Bogowie”, gdzie idealnie odtwarza go wybitny aktor Tomasz Kot. Premiera filmu w październiku.

■ ROZPOCZĘŁA się kampania przed przypadającymi na 16 listopada wyborami samorządowymi. W wielu miejscach naszego regionu – również w przekopanych gruntownie Katowicach – widać ją po ilości realizowanych inwestycji budowlanych. Wyliczmy: Pałac Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej, Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach, dworzec autobusowy w Tychach, kąpielisko Ruda i deptak w Rybniku.

■ POLSCY i niemieccy biskupi – w przededniu rocznicy wybuchu drugiej wojny – spotkali się w miejscu, w którym 75 lat temu doszło do tzw. prowokacji gliwickiej poprzedzającej zbrojny konflikt. Wspólne upamiętnienie rocznicy wojny to kolejny, symboliczny akt pojednania zapoczątkowanego w 1965 roku przez śląskiego biskupa Bolesława Kominka.

■ TRWA wielkie pakowanie zbiorów malarskich Muzeum Śląskiego przed planowaną na październik przeprowadzką do nowej siedziby. Nie jest to takie proste, bo okazuje się, że każdy obraz należy transportować inaczej. Pastele na przykład trzeba przewozić na leżąco. Te najcenniejsze – a ich nie brakuje – pojedną w policyjnej eskorcie. Niektóre trzeba klimatyzować. Każdy podróż dla obrazu jest stresem, a co dopiero wędrówka do nowego lokum.

■ ROZBUDOWUJE się salon kultowej marki Ferrari przy ul. Bocheńskiego w Katowicach. Zwiększy swoją powierzchnię ze 125 m kw. do 450 m kw. W 2013 roku sprzedano tu blisko 50 nowych modeli Ferrari. Klientami są jednak nie tylko katowiczanie i mieszkańcy naszego województwa.

■ PIERWSZY ogród wertykalny pojawił się na katowickim rynku. Początkowo był tylko goły, betonowy mur, który stanął u zbiegu ul. Moniuszki, al. Korfantego i rynku, który powszechnie nazwano „murem berlińskim”. Jednak po obsadzeniu muru zieleniną (ponoć całoroczną), zyskał on przychyłność katowiczian. Czegoś takiego jeszcze nie widzieli. A takie właśnie działy realizuje z powodzeniem od lat francuski botanik Patric Blanc.

Walcząc o reelekcję w 1996 roku Bill Clinton jeździł po USA pociągiem zwanym *ekspresem w XXI wiek*. W Polsce tuskobus okazał się euro-pociągiem dla premiera. Nie ulega wątpliwości, że jest to osobisty sukces Donalda Tuska. Pociąg do europejskich instytucji obserwujemy w Polsce od blisko dekady. Dokładnie od momentu gdy po pierwszych wyborach do Parlamentu Europejskiego okazało się, że pełnienie mandatu europosła gwarantuje wejście do grona osób posiadających konta bankowe z sześcioma zerami. Kierunek brukselski stał się dla polskich polityków mitycznym szlakiem do Eldorado. To, co w starych krajach Unii uważa się za polityczną emeryturę w Polsce stało się celem wyścigu wyborczego dla aktywnych polityków. Stanowiska, które w Europie daje się na otarcie łez przegrany lub zgrany politykom, w kraju nad Wisłą uważane są za złotodajną żyłę. Stąd bierze się pewnie niemożność w przyciąganiu wyborców do urn. We współczesnych demokracjach politykom najtrudniej jest przekonać obywateli co do szczerości swoich intencji w działaniach. Jest to jeszcze trudniejsze gdy ma się oczy błyszczące od gorączki złota – przepraszam od pożądania euro.

Premier Tusk tym różni się od swoich koleżanek i kolegów po fachu (niezależnie od przynależności partyjnej) dobijających się do strasburskich bram, że klasa z jaką zdobył stanowisko w Brukseli stawia go ponad przeciętność do której przywykliśmy. Niezależnie od zakulisowych działań ekipy Tuska, o których będziemy się sukcesywnie dowiadywać jego kandydatura pojawiła się na giełdzie nazwisk w momencie gdy jego wybór na przewodniczącego Rady Europejskiej był już przesądzony. Jacek Bocheński w swojej znakomitej książce „Boski Juliusz” podkreślał, że tym co decyduje o sukcesie polityka jest umiejętność unikania wrażeń porażki. Oczywiście każdy popełnia błędy i wpada w pułapki kłęski. Ale tylko prawdziwy zwycięzca potrafi przedefiniować sytuację, w taki sposób, by oczywista przegrana nie była postrzegana przez opinię publiczną jako potknięcie ale jako zaplanowana taktyka. Chwilowe cofnięcie się na upatrzone pozycje. W ostateczności jako błąd współpracowników ale nie lidera. Słowem recepta na permanentny sukces to przekucie przegranej w zwycięstwo. Tusk jest w tym sensie najskuteczniejszym mężem stanu „à la polonaise” w ostatnim dwudziestoleciu. Obiecał drugą Irlandię w 2007 roku? Obiecał. Ale słowa nie dotrzymał i było to zwycięstwo bo przecież Irlandia była pierwszym krajem, którego system bankowy uległ destrukcji podczas kryzysu 2008 roku, a Polska po-



Foto: Wiesława Konopelska

Parlament Europejski, główna sala obrad

# Polski

MARCIN  
GACEK

# euro-pociąg Tuska

została *zieloną wyspą* na oceanie kryzysu. Afera hazardowa mogła stać się drugą Rywingate a była przecież zwycięstwem premiera. Bo po pierwsze, jej nie było (stwierdzono tylko złamanie standardów etycznych) a po drugie, posłużyła do oczyszczenia szeregów PO i rządu oraz do odwołania Mariusza Kamińskiego z funkcji szefa CBA. Afera taśmowa, która mogła zachwiać rządem, pokazała prawdziwe oblicze rządzących tzn. że oni też widzą to samo co obywatele – rozkład państwa, iluzoryczność sojuszy etc. – a więc jednak są inteligentni.

Ale pasmo sukcesów wyborczych musiałyby się w końcu skończyć. Tusk już w wyborach do Europarlamentu wyczuł, że w skali kraju niewielkie zwycięstwo było w zasadzie remisem. A to PiS, po zjednoczeniu prawicy, był na sondażowej fali wznoszącej. Donald Tusk z kamienną twarzą wytrawnego pokerzysty uspił czujność opozycji podkreślając, że

przedkłada sprawy krajowe nad stanowiska europejskie. Stworzył pozorną kandydaturę Sikorskiego choć biorąc pod uwagę żelazną w Unii zasadę parytetu płci nasz Minister Spraw Zagranicznych nie miał dużych szans. A przecież Polska dyplomacja wyraźnie mówiła, że w kontekście wydarzeń na Ukrainie Unia Europejska powinna powierzyć ważne stanowisko przedstawicielowi Europy Środkowo-wschodniej czytaj: Polsce.

Pojawiają się głosy wskazujące, że Tusk odchodzi po to by powrócić po upływie kadencji albo jako nowy prezydent albo kandydat na superpremiera. Być może otoczenie Donalda Tuska snuje takie dalekosiężne plany. Warto jednak poczynić tutaj uwagę. Polityka jest ostatnio w naszym regionie tak dynamiczna, że aż nieprzewidywalna. W kraju i zagranicą może dojść do tak daleko idących przeobrażeń, że zmienią tego rodzaju pomysły w zupełną mrzonkę. Lider PO od po-





Gmach Parlamentu Europejskiego w Brukseli

rażki 2005 roku jest politykiem skupiającym się na *tu i teraz*. Do bólu pragmatycznym i potrafiącym czekać na dogodny moment w budowaniu swojej kariery i wizerunku. Stał się bezwzględny i to nie tylko kopiąc paprotkę Millera ale czyszcząc sobie przedpole polityczne w partii jak i w rządzie. Forma dymisji jego ekipy rządzącej jest europejską ucieczką do przodu. Zgrabnym i nieoczekiwanym manewrem. Zaskakującym przeciwników politycznych. *Efekt Tuska* jest oczywiście owocem sztucznej medialnej wrzawy ale przede wszystkim skutkiem kompletnego zaskoczenia opozycji. PiS nie miał przygotowanej narracji pozwalającej z jednej strony efektownie zbanalizować osiągnięcie lidera PO z drugiej strony nie wpadającej w agresywną retorykę, która zostałaby odebrana przez opinię publiczną jako oznaka bezsilności lub co najgorsze – zawiści. Stąd niemrawe początkowo reakcje polityków PiS-u, którzy potrzebowali kilku dni by wypracować odpowiednią formę dys-

kursu. Za późno. Poparcie partii Kaczyńskiego w sondażach poszło w dół. Leszek Miller wyraźnie pogodził się ze swoją rolą lidera schyłkowej formacji lewicowej. Jego spontaniczne gratulacje wzmocnione wypowiedziami o tym, że w pewnym sensie zazdrości Tuskowi na pewno zapewniły mu sympatię elektoratu PO. Zyskał również przychylność dziennikarzy i komentatorów wspierających polityka z Gdańska. Z tym jednak zastrzeżeniem, że Miller stał się tak bliski Tuskowi, że aż zbędny jako znikoma alternatywa polityczna. Tusk odniósł sukces. Ale czy Polska?

**O**d kilku dni przetacza się przez media nieustająca wrzawa mająca na celu przedstawienie Tuska jako supermena polskiej sceny politycznej. Nawet nieprzychylni mu media poświęcają jego osobie tyle miejsca, że bezwzględnie stały się tubą propagandową jego sukcesu. Taka ilość lukru leżąca się z ekranów telewizyjnych i szpalt gazet może przynieść szkodę

PO. Polskie społeczeństwo bywa przekorne. Przeanalizujmy jednak na chłodno nową sytuację nieoficjalnego Prezydenta Unii Europejskiej (żaden dokument unijny nie używa tego tytułu). Przewodniczący Rady Europejskiej pełni funkcję reprezentacyjną Unii przynależną głowom innych państw. Prezydent UE brzmi dumnie ale to wszystko. W tym przypadku nie można nawet napisać, że brzmi *prawie* jak prezydent USA. Bo w tym kontekście *prawie* przestaje być eufemizmem a staje się ordynarnym kłamstwem. Kompetencji Donalda Tuska nie można w żaden sposób porównać do najsłabszego prezydenta jakiegokolwiek kraju. Bo nawet prezydent Niemiec Joachim Gauck, który w systemie kanclerskim ma niewiele do powiedzenia – w porównaniu z np. prezydentem Francji – to w szczególnych sytuacjach np. kryzysowych i tak ma większe kompetencje w RFN niż przewodniczący Rady Europejskiej w Unii. Donald Tusk będzie miał bardzo ważną rolę organizatora posiedzeń Rady, składania i czytania wielu sprawozdań przed różnymi gremiami np. Parlamentem Europejskim. Najważniejszym zadaniem przewodniczącego – i tu należy podkreślić: faktycznie istotnym – będzie zapewnienie ciągłości prac Rady Europejskiej i poszukiwanie konsensusu w czasie obrad. Będzie musiał często mediować ale czy inni mu na to pozwolą? Krytyczne komentarze na zachodzie nie pozostawiają złudzeń. Nasz eksportowy produkt polityczny jest już pod czujnym okiem zachodnich mediów. Kompetencje przewodniczącego to reprezentowanie Unii na zewnątrz tak by nie kolidowało to z uprawnieniami Wysokiego Przedstawiciela ds. Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa oraz kierownika prac Rady (sic!). W mediach państw Unii wybór Tuska został zauważony. Ale nie czarujmy się. Obok najsilniejszych przywódców państw najważniejszym stanowiskiem w Unii jest szef europejskiego rządu tzn. Przewodniczący Komisji Europejskiej, która ma faktyczny wpływ na ustawodawstwo unijne. To o to kruszono kopie.

Po za tym UE przechodzi w tym momencie kryzys tożsamości. Obywatele Unii w swoich wyborach do parlamentów narodowych jak również do Europarlamentu wyraźnie wskazują, że nie mają większości ani partie optujące za powołaniem silnej federacji o charakterze super-państwa, ani siły jednoznacznie głoszące chęć powrotu do luźnej konfederacji. Jakie ma to przełożenie praktyczne? W Unii ważniejsze w polityce międzynarodowej jest to, co mówi Berlin, Paryż i Londyn niż Bruksela. Najbardziej dosadnie wyraziła to przedstawicielka

administracji Baracka Obamy, mówiąc niegrzecznie co myśli o Unii. Instytucje europejskie powoli przypominają miejsce uzgodnień pomiędzy głównymi graczami stanowisk a nie samodzielne organy. Odwrotnie niż Warszawa inne stolice chcą być samodzielne w reprezentowaniu swoich interesów narodowych. Najsilniej widać to po aspirującym do wymienionej trójki Rzymie ale podobnie działają Budapeszt, Praga a dzisiaj Helsinki. Gdy opadną emocje może okazać się, że nie tylko nie ma czego zazdrościć Tusko wi ale będzie go trzeba wspierać, by wytrzymał presje na pierwszej linii sporów w łonie rodziny krajów europejskich.

Kompletną pomyłką jest dyskusja na temat, co Tusk może nam załatwić w Unii. Wystarczy chwila refleksji by dostrzec absurdalność tej debaty. Od początku powołania samodzielnego Przewodniczącego RE, Wysokiego Przedstawiciela ds. Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa widoczna jest tendencja do wystawiania przez kraje członkowskie jako kandydatów na te stanowiska polityków albo kończących karierę albo trzeciorzędnych. Kim byli w Europie van Rompuy czy Ashton? Nie inaczej jest obecnie. Przykładem jest wybór na Przewodniczącego Komisji Europejskiej Jean Claude'a Junckera i włoskiej kandydatki na stanowisko Wysokiego Przedstawiciela ds. Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa Federici Mogherini, którą jeszcze w lutym tego roku była nieznanym politykiem. Jej nominacja na szefa MSZ Włoch wydaje się z góry planowana jako trampolina do unijnej kariery. Tusk mógł więcej zrobić dla Polski jako jej premier. Wtedy jego głos się liczył w Radzie Europejskiej. Teraz będzie mógł wpływać na stanowisko polskie poprzez nieformalny wpływ na premier Ewę Kopacz. Jeśli Donald Tusk chciałby być zbyt propolski szybko zostanie sprowadzony do roli zmarginalizowanego polityka ze Wschodu oskarżonego o brak obiektywizmu. Sam wybór niedoświadczonej prorosyjskiej polityczki z Italii został od razu zinterpretowany jako przeciwwaga do tradycyjnie postrzeganych jako rusofobicznych Polaków. Prawicowy dziennik „Libero” napisał: „Tusk co prawda jest umiarkowany, no ale przecież jest Polakiem”. Wreszcie nie po to Angela Merkel wsparła Tuska by ten załatwił polskie interesy. Jesteśmy jedynym dużym krajem w Unii, w którym przejście premiera na stanowisko Przewodniczącego Rady Europejskiej traktowane jest jako awans. Kuriozalne są słowa Pani Tusk, *że to dla męża to lepiej, bo będzie miał więcej czasu, większe pieniądze i większy prestiż*. Podkreślił prestiż (sic!). Nie ma chyba bardziej jaskrawego dowodu na to, że jesteśmy półperyferyjnym

krajem. Nie wyobrażam sobie by Hollande, Cameron czy Merkel woleli opuścić swoje stanowiska i przyjąć fotel europejski, no chyba że jako polityczną emeryturę.

Niewątpliwie wybór Tuska może być znaczący dla Polski jeśli nasz eks-premier odniesie zauważalny sukces w organizacji prac Rady Europejskiej. Potęga Unii może przełożyć się na sukces Polski. Może – o ile polskie elity polityczne będą umiały skutecznie dbać o interes Polski w Unii. Trudność polega na tym, że trzeba to robić subtelnie i skutecznie. Oczywiście należy przewidywać ruchy partnerów w Unii jak i spoza niej. Nie ma bowiem innej alternatywy dla spokojnego rozwoju Starego Kontynentu. Przypominane dzisiaj na kanwie kryzysu ukraińskiego koncepcje takie jak federacji państw międzymorza, idee odwołujące się do koncepcji Europy naddunajskiej Coudenhove'a-Kalergiego etc. były tylko utopią. (Na marginesie można dodać, że utopista i marzyciel Coudenhove-Kalergi za wpływ na myślenie pro-wspólnotowe otrzymał już w 1950 roku nagrodę Karola Wielkiego, którą ponad pół wieku później dostał Tusk.) I wcale nie oznacza to, że nasi politycy nie powinni mieć planów alternatywnych na wypadek rozpadu strefy Euro lub rozluźnienia integracji. Musimy sobie zdawać sprawę, że Unii nie tworzymy sami a nawet nie jesteśmy jej najważniejszym ogniwem. W pojedynkę nie zapobiegniemy kryzysom. Po prostu Unia Europejska jest najlepszym rozwiązaniem choć jej kształt i prawo unijne będą ewoluowały. Nie wiemy tylko w jakim kierunku. Co do dbania o polskie interesy to już większe szanse ma na to komisarz Bienkowska, która zasiadając w Komisji Europejskiej może lobbować za najlepszymi dla naszego kraju rozwiązaniami prawnymi i to nie tylko w swoim resorcie. Może ona również blokować szkodliwe dla naszego kraju inicjatywy.

Przy okazji zamiany miejsca pracy Donalda Tuska toczy się w naszym kraju dyskusja prowadząca się do pytania: co po Tusku. Przebija przez nią strach o Polskę i PO. A przecież rozstrzygnięcia personalne w demokracji są najbardziej naturalne. Pytanie czy państwo poradzi sobie bez takiego czy innego polityka jest nie tylko śmieszne ale i urągające stabilności systemu politycznego w Polsce. Inną sprawą jest sveda po Tusku w partii rządzącej. Próby przekonywania Polaków przez polityków niemieckich co do przelamania lęku przed kobietą-premierem są nie na miejscu i świadczą o ignorancji naszych braci za Odry. Kobiety otrzymały prawa wyborcze w Polsce i w Niemczech w tym samym roku. A to, że Niemcy nie

wiedzą, że mieliśmy już demokratycznie wyłonioną premier Suchocką dobitnie świadczy o tym w jak protekcyjny sposób traktują swojego wschodniego sąsiada. Problem z premier Ewą Kopacz nie wynika z jej płci. Zresztą Polacy nie mieli nigdy tradycji *Kinder Küche Kirche* stąd nie miałoby nic przeciwko polskiej Angeli Merkel. Słabość Hanny Suchockiej wynikała z braku silnego zaplecza politycznego. Została premierem, bo nie zagrażała liderom partii tworzących koalicję. Suchocka była Marćinkiewiczem lat czterdziestych. Żle się stało, że drugim premierem kobietą w Polsce nie jest naturalna liderka, która wygrała wybory wewnątrzpartyjne i nie poprowadziła swojego ugrupowania do zwycięstwa wyborczego. To są źródła rzeczywistej siły kanclerz Merkel w Niemczech. Ewa Kopacz może stać się jeszcze przywódczynią pod warunkiem, że nie będzie zarządzana z tylnego fotela przez super-premiera w Brukseli. Żeby tak się stało musi zwyciężyć samodzielnie (choć z poparciem Tuska) wybory w PO a potem parlamentarne. W ten sposób stanie się pierwszym w historii polskiej demokracji mężem stanu-kobietą. Pytanie czy jest polityczką wielkiego formatu?

Z perspektywy Śląska najważniejsze byśmy mieli odpowiednie lobby w Warszawie, które skutecznie będzie przekonywać, że to, co dobre dla naszego regionu dobre jest dla Polski. O tym jak to jest ważne najlepiej świadczy fakt, że Donald Tusk podczas swojego pobytu w Rybniku przed wyborami uzupełniającymi do Senatu przyznał się, że dopiero po siedmiu latach pełnienia funkcji premiera zrozumiał (sic!) jak ważny dla potencjału gospodarczego kraju nad Wisłą jest Śląsk. Pomijając kontekst pustych obietnic przedwyborczych trzeba mieć nadzieję, że inni politycy by dojdąc do takich wniosków nie potrzebują pełnienia eksponowanego stanowiska tak długo. Zabraknie bowiem foteli. Zresztą to dowodzi jak słabą ma siłę przebicia Górny Śląsk. Tusk nic nie załatwi Śląskowi w Brukseli. Trzeba aktywnie politycznie mieszkańców województwa śląskiego wywalczyć sobie silną reprezentację polityczną w polskim parlamencie. Rozliczać liderów samorządowych z ich osiągnięć w pozyskiwaniu kapitału i modernizacji małych ojczyzn. Przeciwwstawić się prowincjonalizacji regionu. Liczyć przede wszystkim na siebie.

Dr Marcin Gacek – socjolog, adiunkt z Instytutu Socjologii UŚ, poza artykułami naukowymi publikował w kwartalniku kulturalnym „Opce” i miesięczniku „Śląsk”.



Przy redakcyjnym stole „Śląska” rozmawiali: dr hab. BEATA PITUŁA – adiunkt w Zakładzie Dydaktyki Ogólnej i Pedagogii Wydziału Pedagogiki i Psychologii Uniwersytetu Śląskiego, dr JERZY JAROSZ – dziekan Uniwersytetu Śląskiego Dzieci, kierownik Pracowni Dydaktyki Fizyki Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu Śląskiego, TOMASZ SZYJKOWSKI – dyrektor Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 15 (IV Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Staszica oraz Gimnazjum nr 25 z Oddziałami Dwujęzycznymi) w Sosnowcu, PRZEMYSŁAW FABJAŃSKI – dyrektor Akademickiego Zespołu Szkół Ogólnokształcących (I Liceum Ogólnokształcącego im. Juliusza Słowackiego i Gimnazjum Dwujęzyczne) w Chorzowie.

Moderator: KATARZYNA BERETA – redaktor miesięcznika „Śląsk”

# O supermarketyzacji szkoły i o tym, że człowiek jest wielki

**KATARZYNA BERETA:** Na początku naszej rozmowy proponuję, abyśmy odbyli podróż w przeszłość. Proszę sobie przypomnieć samych siebie jako świeżo upieczonych absolwentów liceum. Jak opisaliby Państwo swoją wiedzę i przygotowanie do studiów w tamtym czasie?

**BEATA PITUŁA:**



Szkoła, którą ukończyłam, czyli IV liceum na Sikorskiego w Bytomiu, wtedy uznawane za jedno z lepszych, rzeczywiście przygotowała mnie do studiów. Miałam takie poczucie, że wiem, że umiem, że potrafię. Równocześnie miałam też przeświad-

czenie, które cały czas nam wpajano, że powinniśmy zawsze robić zdecydowanie więcej niż wymaga od nas szkoła. Z wielką przyjemnością wspominam po latach swoich nauczycieli, m.in. niezyczącą już nauczycielkę fizyki, która mimo tego, że nie pałałam szczególną miłością do nauk ścisłych, potrafiła świetnie wyłożyć lekcję, wzbudzając owo zainteresowanie. Te treści, które zostały mi przekazane, np. z biologii czy języka polskiego, do dzisiaj są przeze mnie wykorzystywane. Uważam, że to była dobra szkoła. Sztandarową postacią w niej była pani profesor Helena Morawiec. Uczyla nas łaciny. Dzisiaj słyszę wiele razy, że ten przedmiot jest niepotrzebny, tamten niepotrzebny, że za dużo. Ja się z tym absolutnie nie zgadzam i myślę, że ona we mnie ten pogląd zaszczepiła. My, uczniowie, burzyliśmy się, bo chcieliśmy angielski, a nie łacinę, a ona przekonywała nas – dzisiaj często powtarzam to moim studentom – że należy ten przedmiot traktować jak benzynę do samochodu, bez której on nie pojeździe. I chociaż dzisiaj jest nam niepotrzebna, bo nie mamy samochodu, w przyszłości z pewnością się przyda. Patrzyła więc na to z dłuższej perspektywy. Myślę, że obecnej szkole brakuje właśnie takiego spojrzenia. Wszystko jest tylko na dzisiaj. Ciągłe się słyszy, że za dużo, za trudne. Wtedy nikt nie pytał, czy jesteśmy zbyt obciążeni, ale od nas wymagano i tym też zaszczepiono wiarę, że damy radę, że możemy, bo się od nas wymaga.

**TOMASZ SZYJKOWSKI:**



Fot. W. Konopelska

Nie mogę powiedzieć, by moja szkoła – II LO im. Emilii Plater w Sosnowcu – w jakiś szczególnie sposób przygotowała mnie do studiowania, ale to absolutnie nie była jej wina. To raczej efekt mojej głębokiej niedojrzałości w tym czasie. Takiej, która ukierunkowana była na studiowanie w ogóle, na pewien model funkcjonowania społecznego: „ja będę studentem”. Także wybór studiów nie wynikał z jakichś szczególnych umiejętności czy talentów przez szkołę wypielegnowanych. Wspominam ją raczej jako miejsce spotkania ciekawych osobowości – i to zarówno wśród uczniów, jak i nauczycieli. Czasami łapię się na tym, że coś z ich ducha czy przekazu dziś odnajduję



i wykorzystuję w swojej pracy, ale wówczas wydawało mi się najważniejsze to, że po maturze zamykam za sobą drzwi i przez najbliższe lata szczęśliwie nie będę miał ze szkołą nic do czynienia. Miałem raczej poczucie uwolnienia od rygorów i chęć otwarcia się na coś nowego, co niosły ze sobą studia. Dominowało we mnie poczucie wchodzenia w taki trochę bardziej ekskluzywny świat bycia studentem. Dopiero w drugiej kolejności, a może nawet w piątej, pojawiła się jakaś uzmysłowiona potrzeba zgłębiania którejś z dziedzin wiedzy. To nastąpiło dopiero w okresie studiów, kiedy się nagle okazało, że ta polonistyka, którą wybrałem w trzeciej kolejności, może być całkiem ciekawą ofertą – także intelektualną, a nie tylko, jak w ogólniaku, towarzyską. Musiało jednak minąć parę lat.

#### JERZY JAROSZ:



U mnie trochę inaczej to wyglądało, bo ja w jakimś sensie byłem genetycznie obciążony naukami przyrodniczymi. Mój tato był nauczycielem fizyki i matematyki, co zawsze mnie od dzieciństwa pociągało, więc poszedłem do liceum sprofilowanego – matematyczno-fizycznego im. Stefana Żeromskiego w Bielsku-Białej. Dawało ono to wszystko, co tylko chcieliśmy z niego wziąć. Moim zdaniem sprawa jest indywidualna, bo w każdej szkole można nauczyć się bardzo wiele, jeżeli się tego chce. Oferta jest taka czy inna, różne są klimaty, ale jeżeli my sami mamy głębokie przekonanie, że tego chcemy się nauczyć, to chcemy wiedzieć, to nas interesuje, możemy to uzyskać, nawet jeżeli cała reszta klasy uważa inaczej. Może my indywidualnie skorzystać z wiedzy nauczycieli. Nie zdarzyło mi się nigdy, aby nie było to możliwe. W naszej szkole był dobry klimat. Oczywiście nie tylko do nauki matematyki, fizyki i chemii, dotyczyło to także innych przedmiotów. Jeżeli ktoś tylko chciał, to mógł się uczyć. Pan powiedział o pewnej dojrzałości czy niedojrzałości, a Pani o języku łacińskim. U nas była opcjonalna moż-

liwość nauki łaciny, z czego nie skorzystałem, bo wówczas wydawało mi się, że mam inne ważniejsze rzeczy do zrobienia. Żałowałem potem tego przez całe życie. Uczyłem jej się później, ale już nie tak systematycznie i doskonale wiem, jak bardzo jest w życiu potrzebna. Edukacja jest więc także kwestią indywidualnej dojrzałości ucznia. I to chyba się zmieniło, a nie tyle sama szkoła. Wydaje mi się, że sam system oświaty od wprowadzenia przez zaborców obowiązku szkolnego w Polsce w zasadzie pozostaje taki sam. Zmienia się podstawy programowe, wykonuje różne kosmetyczne zabiegi, dzieli na różne etapy, wprowadza gimnazja lub nie, ale generalnie wszystko funkcjonuje cały czas tak samo. Edukując chcemy przekazać zestaw pewnych kompetencji, umiejętności czy też memów, uważamy, że najlepszy jest ten, który nam przydał się w życiu, więc chcemy go przekazać dalej. Tymczasem świat się zmienia, a ostatnio błyskawicznie, więc w tym momencie popełniamy chyba jakiś błąd i to być może skutkuje brakiem sukcesu w edukacji. Uczniowie bowiem nie widzą potrzeby uczenia się rzeczy, które w szkole się im oferuje. Nie daje im ona tego, co jest dla nich interesujące. Moja szkoła przygotowała mnie do studiów bardzo dobrze, ale wtedy chcieliśmy się uczyć, teraz, myślę, tej chęci nie ma.

#### PRZEMYSŁAW FABJAŃSKI:



Ja to chyba bez końca mogę opowiadać, gdyż chodziłem do szkoły, której jestem obecnie dyrektorem. Jest to więc szczególnie rodzaj sentymentu. Powrót do tych nie tak odległych znowu czasów jest dla mnie zawsze miłą sprawą, tym bardziej że kontakt pomiędzy absolwentami Słowaka jest żywy. Spotykamy się praktycznie cały czas – i klasowo, i rocznikowo, i międzyrocznikowo, co też świadczy o atmosferze, którą my w liceum Słowackiego, cytując *Testament mój*, nazywamy „siłą fatalną”, a która istnieje w naszych mo-

dernistycznych murach. Ja wyniosłem bardzo dużo ze szkoły. Miałem fantastycznych mistrzów-nauczycieli. Oczywiście nie wszystkich. Byli bardzo dobrzy i dobrzy. Nigdy ewentualna niechęć, której zresztą sobie nie przypominam, do danego nauczyciela nie wynikała z tego, że ktoś był tzw. kosą. Tych nauczycieli ceniłem chyba najwyżej. Miałem tróję z matematyki, ale to nie wynikało z tego, że byłem aż tak mało pojętny, tylko po prostu nie chciało mi się. Miałem ten swój wiek siedemnastu, osiemnastu lat i związane z nim problemy. Kopanie piłki czy towarzyskie spotkania były dla mnie trochę bardziej ciekawe, aczkolwiek nigdy nie doprowadzałem do tego, żeby się zaniedbać całkowicie. I kiedy po tej trójce poszedłem na studia przyrodnicze w Uniwersytecie Śląskim, na pierwszym roku byłem jedną z najlepszych osób z matematyki i chemii. Obu tych przedmiotów nie lubiłem specjalnie w szkole średniej, natomiast uwielbiałem inne przedmioty przyrodnicze i języki obce. Muszę powiedzieć, że języka angielskiego w szkole miałem więcej niż uczniowie obecnie, a wówczas był to schyłek dekady Gierka, gdyż kończyłem liceum w 1980 roku. Naprawdę bardzo wiele zyskałem w szkole i wykorzystuję to do dziś. Geografia jest dziedziną interdyscyplinarną, więc korzystam podczas prowadzenia lekcji z wiedzy zdobytej na zajęciach z fizyki, biologii, chemii, nauk społecznych, a uczniowie czasami zadają pytanie: „A skąd Pan to wie?”. A ja odpowiadam: „No, stąd! Nauczyłem się tego w naszym liceum ogólnokształcącym”.

Inaczej się w tej chwili uczy, inny jest sposób samego uczenia się, ale przede wszystkim model edukacji bardzo się zmienił. Tu widzę największe niebezpieczeństwo. Każdy z nas zapewne doświadczył tego jako uczeń, że kiedy przechodziliśmy ze szkoły podstawowej do liceum, uczyliśmy się pewnych elementów programowych po raz drugi i wydawało nam się, że to znowu to samo. Jednak rozszerzaliśmy tę wiedzę na poziom licealny. Ten spiralny model, który funkcjonuje od starożytności, a w którym jedną z głównych zasad jest: *repetitio mater studiorum est*, został zarużony. Mamy wymyślony przez biurokratów z Unii Europejskiej model liniowy, zakładający, że to, czego Jasiu się nauczył, to Jan będzie umiał. I to zupełnie literalnie.

**K.B.:** Szkolnictwo w Polsce krytykowane już wielokrotnie i na różne sposoby. Co naprawdę przeszkadza w rozwoju młodego człowieka, czym my dorośli najbardziej mu szkodziemy? Przeladowaniem programów czy ograniczaniem wiedzy do minimum? Brakiem indywidualnego podejścia, pomysłu na poprowadzenie wybitnie uzdolnionych, a może pseudoindywidualizacją, która *de facto*





Nadia, lat 7, 1 września 2014 roku rozpoczęła naukę w szkole.

### zwalnia młodzież z wszelkich wymagań i wysiłku intelektualnego?

**J.J.:** Pomysł na indywidualne nauczanie w szkole to sprawa niezwykle trudna, bo wiąże się z pewnymi realiami. Jako fizyk powinienem mówić o konkretach. Konkretnie godziny, konkretne wynagrodzenie, konkretna praca, która musi zostać wykonana. Oczywiście indywidualne zajmowanie się uczniem w trzydziestoosobowej czy dwudziestoosobowej klasie jest niezwykle trudne, ale moim zdaniem jest do zrealizowania, tylko wymaga bardzo wysokich kompetencji i bardzo dużego zaangażowania nauczyciela. To nie musi być program indywidualnego nauczania, to może być taki sposób uczenia w klasie, który wniesie coś nowego i dla tych, którzy są mniej zainteresowani, i dla tych, którzy są bardzo zainteresowani. Nie musimy uczyć zaawansowanych teorii czy wchodzić w jakies zagadnienia bardzo szczegółowo. Możemy natomiast zużyć czas na to, żeby dać różne możliwości, podać pewnego rodzaju linki, które mogą być wykorzystane. Ci, którzy zechcą z nich skorzystać, to skorzystają i się rozwiną. Ci, którzy nie, to nie. Jest to znowu sprawa wytworzenia indywidualnej chęci uczenia się i tutaj widzę możliwość prawidłowego funkcjonowania szkoły.

**T.S.:** Daliśmy się uwieść naiwnej wierze, że szkoła może nie być przestarzała. W moim przekonaniu ona w pewnym sensie nawet musi być nieco anachroniczna, bo jest nie tylko spadkobiercą odwiecznej tradycji przekazywania wiedzy i umiejętności, ale też jest zaindukowana w pewnej szlachetności, właściwej dla zjawisk stałych, trwałych, ponadczasowych. Oczywiście musi ulegać pewnym zmianom, ale to, co mi szczególnie nie odpowiada i co, w moim odczuciu, wpływa również na jakość

kształcenia, to fakt, iż ulegliśmy szkolniemu zjawisku supermarketyzacji oświaty. Szkoła staje się kolejnym miejscem, gdzie każdy może wybierać, co mu się podoba, i w każdej chwili oddać towar, który mu nie pasuje. W związku z tym rodzice i uczniowie – klienci szkoły – będą traktować tych, co podają towar-wiedzę, raczej usługowo. To, co zawsze było historycznie związane ze szkołą – układ nauczyciel-mistrz, starszy-młodszy, a także pewien brak demokracji – bo, szczerze mówiąc, w rodzinie, wojsku, Kościele demokracja nie jest najlepszym modelem relacji międzyludzkich – to wszystko gdzieś od siebie odsunęliśmy. Daliśmy się sprzedać takiej marketingowej koncepcji szkoły. Powiem państwu szczerze, że kiedy o tym czytałem parę lat temu, stwierdziłem nawet, że to jest fajny pomysł, że ja to czuję. Klient, sprzedawca,

strategia marketingowa, dyrektor-menedżer... Przez jakiś moment sam się tym zachłysnąłem, ale później zacząłem dostrzegać, że zafascynowanie budowaniem relacji międzyludzkich w oparciu o metody ekonomiczne powoduje, że szkoła staje się rynkiem, na który przychodzi się, by coś nabyć, coś nowego, błyszczącego, możliwie szybko i w atrakcyjnej cenie. Tak chyba gubi się ideę szkoły jako miejsca otwierania młodego człowieka na świat. Pan to ładnie ujął, mówiąc o podawaniu uczniom linków. Przecież wiadomo, że my nie niesiemy ze sobą możliwości poinstruowania ucznia o wszystkim na świecie, bo nie jesteśmy ani cicią Wikipedią, ani wujkiem Googlem, ale jesteśmy tymi, którzy mogą coś zaoferować także z siebie. Kiedy się poddajemy presji handlowego widzenia świata, zaczynamy się dopasowywać do wymagań. W rzeczywistości jednak nigdy się do nich nie dostroiimy, bo w szkole mamy kilkuset potencjalnych klientów, razy dwoje rodziców, to się robi półtora tysiąca ludzi, którzy czegoś od nas oczekują. Wpadamy wówczas w stres, że nie jesteśmy w stanie temu zadaniu sprostać. Wszyscy ci klienci są bowiem wychowani w systemie: ja żądam, wymagam, płacę. To jest coś, co moim zdaniem współczesną szkołę pogrąża. Zresztą nie pierwszy raz mamy do czynienia ze zjawiskiem ulegania szkoły modom i tendencjom, ale tym razem dość trudno będzie się z tego wycofać.

**K.B.:** Może zatem tym, co najbardziej szkodzi szkole, jest, ogólnie rzecz ujmując, polityka, która wpisana jest w naturę życia społecznego. Szkoła zawsze realizuje jakiś polityczny model wychowania. Dwudziestolecie to reforma jędrzejewiczowska i wychowanie państwowa, Polska Ludowa to indoktrynacja



Inauguracja roku szkolnego 2014/2015 w Szkole Podstawowej nr 17 im. Jana Pawła II w Chorzowie.





Fot. Agnieszka Sikora

Uniwersytet Śląski 1 czerwca 2009 r. otworzył swoje podwoje dla najmłodszych. Uniwersytet Śląski Dzieci cieszy się ogromnym zainteresowaniem.

### **i próba wychowania przyszłych działaczy partyjnych i Pstrawskich. A teraz kogo wychowujemy? Osoby, które będą żyły w systemie: plać-wymagam, jestem klientem?**

**P.F.:** Ja się przed tym bronię, bo taki system, gdzie liczy się tylko pieniądź, a ekonomia całkowicie przesłania cele edukacyjne, jest po prostu do niczego. To ma bardzo krótkie nogi. Chcemy młodzieży cały czas przekazywać te klasyczne wartości, które my otrzymywaliśmy od naszych rodziców, nauczycieli, a oni od swoich, bo te uniwersalne wartości są niezmiennie i żadna Unia Europejska czy żaden XXI wiek ich nie zmieni. My je mamy w sobie. Jesteśmy *homo sapiens* i takie mamy normy moralne bez względu na religię, w której jesteśmy wychowani. Kwestionowanie tego jest z góry skazane na niepowodzenie w jakiejś dłuższej perspektywie czasowej. Staramy się więc w szkole pokazywać młodzieży inny świat, inne podejście do życia. Nie najpierw ja – a widzimy, że egoizm jest obecnie powszechny – ale najpierw ktoś, dopiero później ja. Robimy coś dla kogoś, pomagamy w nauce, wspieramy finansowo, jeżeli ktoś jest mniej zasobny, bądź też pomagamy ludziom gdzieś zupełnie na zewnątrz. Stąd też bardzo wspieram wszelkie działania wolontariuszy na terenie szkoły – od tych, którzy pracują dla Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, po tych, którzy jeżdżą odbudowywać szkołę po tsunami na Sri Lance. Kiedyś cel wychowawczy był u nas postawiony bardzo wysoko, funkcjonowanie w warunkach wolno-

rynkowych troszeczkę zminimalizowało oddziaływanie wychowawcze. Liczy się efekt finalny. Dziś oferujemy produkt w postaci wiedzy nauczyciela, uczeń jakoś ten produkt „przerabia” w sobie, a efektem końcowym ma być młody człowiek, lepiej lub gorzej wykształcony. Zapomina się natomiast o drugiej funkcji szkoły – wychowaniu. Kolejna strona problemu to czas. Nam się stale zabiera czas, który powinniśmy poświęcać młodzieży, obcinając godziny lekcyjne. „Świętej pamięci” fizyki czy geografii została już tylko jedna godzina na cały cykl nauczania w liceum, co pozostawiam bez komentarza. Co ja mogę w tym czasie zrobić? Nie będę nawet w stanie nauczyć dziecka uczyć się, poszukiwać, bo mam na to tylko 30 godzin na całe liceum. Więc co ja mu mogę wskazać? Mogę mu tylko powiedzieć: „Idź do biblioteki”.

**B.P.:** Zgadza się z tym, co państwo powiedzieli, ale poruszyłabym jeszcze jedną kwestię, a mianowicie, że w dzisiejszej szkole, w mojej ocenie, brakuje takiej zwykłej równowagi. Zakwestionowaliśmy zasadność relacji nauczyciel-uczeń. Z racji postępującej liberalizacji części w oczekiwaniach społecznych nauczyciel jawi się jako kumpel, artysta, wirtuoz, co oczywiście nie sprzyja postawom, które chciałabym u młodzieży widzieć. Kształcać nauczycieli często mówię, że w relacji z uczniem nie mogą być rodzicem, nie mogą być kumpel, muszą być nauczycielem. Prosta zasada – kumpłowi zawsze można powiedzieć: „Spadaj, ja się te-

go nie nauczę!”, a nauczycielowi nie wypada, nie można. Natomiast co się stało? Ten zakaz, że nauczycielowi nie można, został zakwestionowany przez społeczeństwo, przede wszystkim poprzez wytykanie wszystkich błędów, bolączek i myślę, że także poprzez obciążanie nadmiernymi wymaganiami. Zawsze najłatwiej powiedzieć, że wszystko zależy od nauczyciela. Oczywiście tak jest, ale ten nauczyciel jest człowiekiem i nie można mu stale, systematycznie dokładać zadań i stawiać go w takiej sytuacji, że w tym samym czasie ma zaspokajać bardzo różnorodne potrzeby uczniów, zważywszy na to, że w klasach pojawiają się też osoby z bardzo specyficznymi deficytami. W związku z powyższym pozostawienie nauczyciela samemu sobie w tej powodzi potrzeb i oczekiwań nie skutkuje właściwą indywidualizacją procesu dydaktycznego, ale takim trochę miotaniem się, żeby i temu pomóc, i tego zainspirować, i temu wzmocnić motywację. Z powodu ograniczeń wynikających z liczby dzieci, z czasu, tempa, z przekazu treści – nauczyciel rozlicza się z ilością zaprezentowanej wiedzy – zaczyna brakować czasu na wychowawczy komentarz; na to, co w relacji uczeń-nauczyciel jest najcenniejsze, co powoduje, że ja nie wykształcałam, ale wychowałam człowieka, który jest otwarty na drugiego, otwarty na wiedzę, niezależnie myślący. Tutaj upatrywałam tej podstawowej bolączki. Nie można traktować nauczyciela jak worka, do którego tylko się wrzuca, wrzuca, wrzuca i systematycznie go rozlicza.



On też musi mieć wolną chwilę, żeby tę swoją rolę zawodową zredefiniować, a on tego czasu nie ma.

Wydaje mi się również, że uczyniono szkole straszną krzywdę, bo zdeprecjonowano coś, co jednak świadczy o wielkości człowieka, a mianowicie wysiłek. Proszę zauważyć, dominuje generalnie przekonanie, że wszystko ma być lekkie, łatwe, przyjemne. Oczywiście są bardzo frapujące treści kształcenia i takie, które może troszkę mniej interesują młodych, ale wymagają wysiłku, a społeczne oczekiwanie jest takie, że: „Ty, nauczycielu, tak to przetworzysz, że to będzie lekkie, łatwe i przyjemne”.

**P.F.:** To szczególnie widać po języku polskim. Lektury wycięto bardziej niż Amazonię. Mamy brak uczenia się na pamięć. Młody człowiek nie jest czasami w stanie opanować tekstu, bo nie posiadał takiej umiejętności. Nie wypracował nawyku.

**K.B.:** Czy to nie jest tak, że coś zmieniło się generalnie w ludzkiej psychice? Idziemy w kierunku totalnej wirtualizacji, a w świecie wirtualnym wszystko jest łatwe, szybkie i przyjemne, ale równocześnie nieprawdziwe.

**J.J.:** To jest chyba właśnie *clou* tego wszystkiego. Szkoła, jak Pan dyrektor powiedział, ma wychowywać, a nam na to brakuje czasu. To jest też to, co nam najgorzej wychodzi. Natomiast przywołując popperowski podział na trzy światy, należy stwierdzić, że do świata obiektywnych wartości i treści myśli kiedyś mieliśmy dostęp przez kogoś, już nie mówię: przez mistrza, ale przez kogoś, kto nas na tę drogę wprowadził, kto wprowadził jakąś strukturę, porządek, pewne wartości z tym związane. I mieliśmy to bardzo ładnie opakowane, wiedzieliśmy do czego to jest, dlaczego to robimy, dlaczego to jest dobre. Teraz mamy dostęp nieograniczony. Bramą jest monitor, ekran, przez które możemy wszystko i natychmiast. Nie jest do tego potrzebny żaden wysiłek, jest on wręcz zbędnym elementem. Klikamy i wiemy.

**P.F.:** I nie jesteśmy nawet w stanie stwierdzić, że sięgnęliśmy po dobre i właściwe źródło informacji.

**J.J.:** Tak, ale to już jest nieważne. Ważne jest, że mamy „źródło”. Mamy dostęp do wszystkiego natychmiastowo, więc nie chcemy podejmowania wysiłku jakiejś analizy, nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do czytania ze zrozumieniem. Rzucamy okiem i wydaje nam się, że coś rozumiemy, ale w rzeczywistości mamy jedynie cegiełkę, nie mamy natomiast całej struktury, pojęcia.

**T.S.:** Chciałbym dodać, że byłem na fascynującym wykładzie profesora z Akademii Pedagogicznej w Krakowie, który mówił o tubylcach i imigrantach w sieci. Tubylcy to młodzież praktycznie od urodzenia „podłączona” do komputera i Internetu, imigranci to moje pokolenie, które rzeczywistość zmusiła do wykorzystywania tych narzędzi. Do tej pory, mówił, wszystkie pokolenia kształtowały swój umysł na podstawie wysiłku intelektualnego w dochodzeniu do prawdy, stosowania logiki, kierunkowego kroczenia od-do. Wiązało się to najczęściej z analizą tekstów pisanych, cierpliwym i pracochłonnym szukaniem źródeł wiedzy. To powodowało, w największym uproszczeniu, że szczególnie kształtowała się ta część naszych szarych komórek, które odpowiadają za logikę i wnioskowanie. Amerykańskie badania wskazują na to, że długotrwałe sięganie w młodym wieku do kultury obrazkowej, a nie rozwiązywanie szyfru słowa, powoduje, że dominować zaczyna inna część mózgu. Ta opiera się na obrazach i kolorach, jest odpowiedzialna za emocje, a nie logiczne myślenie. Dodajmy do tego, że dzięki Internetowi każda odpowiedź wydaje się być dostępna od ręki, jak towar na półce. W związku z tym, wydaje się, że my jako imigranci w sieci w kontakcie z tubylcami, wychowanymi w kulturze obrazkowej, nie mamy szans na porozumienie. Tubylcy rozumują, kierując się przeciw emocjami, bardziej półkulą odpowiedzialną za wchłanianie obrazu, a my imigranci uparliśmy się, żeby wkładać im wiedzę do głowy w sposób konwencjonalny. Pewnie nowe pokolenie nauczycieli będzie bardziej wrażliwe na sposób percepcji młodego pokolenia, bo będzie już wychowane w tym samym systemie. Nie wiem. Ale póki ja pracuję w oświacie, to jednak będę lansował tezę o konieczności zachowania szlachetnego konserwatyzmu w sposobie przekazywania wiedzy. Człowiek bowiem *de facto* się nie zmienia. Gdy czytamy teksty, które powstały bardzo dawno temu, to poza pewnymi archaizmami leksykalnymi w zasadzie stwierdzamy, że mówią to samo o człowieku, co o nim wiemy współcześnie. Istota człowieczeństwa jest zatem w dużej mierze niezmienna. Szkoła nie może być więc, moim zdaniem, nadmiernie nowoczesna. Ona musi uwzględniać tę człowieczą stałość. I niezależnie, czy tubylec w sieci, czy imigrant, to zawsze pozostanie człowiekiem, który sukces osiąga przez namysł i pracę. I szkoła musi uwzględniać tę prawdę.

**K.B.:** A jaki będzie odpowiedni nauczyciel do takiej szkoły?

**T.S.:** Pani słusznie mówiła, że nie o to chodzi, aby nauczyciel był tylko wariatem czy wirtuozem. On powinien być, i chyba bardzo często jest, tym wszystkim po trochu. Nie chcę idealizować,

ale naprawdę wydaje mi się, że na tym poziomie powinno się pozostać. Niech to nie będzie inżynier dusz, jak było w innych czasach, tylko trochę mistrz, trochę interesujący towarzysz podróży i ktoś, do kogo będzie się miało szacunek.

**K.B.:** Tylko kto go wykształci? Czy ten system, który dzisiaj funkcjonuje, jest przygotowany na to, by wykształcić kogoś takiego?

**B.P.:** Myślę, że z systemem kształcenia nauczycieli jest tak, że na razie ma on charakter reaktywny. Próbuje dokonać określonych zmian w reakcji na to, co jest. Tymczasem powinien być partycypacyjny. Z drugiej strony, skoro mamy nabór negatywny do zawodu, to przepraszam bardzo, ale jaka mąka, taki chleb. Tutaj dochodzimy do sedna, że jednak kandydat do zawodu nauczycielskiego powinien być wyjątkowym człowiekiem, nie tylko w kategorii wiedzy i umiejętności, ale także osobowościowej. Czasami słyszę zarzut, że to powrót do determinizmu, ale tak nie jest. Istnieją pewne cechy genetyczne, czy nam się to podoba czy nie. Oczywiście w trakcie czynności zawodowych wartości tych cech w jakimś sensie ulegają zmianie, ale nie aż tak drastycznie. Trzeba by zatem rekrutować tych najlepszych, ale żeby to zrobić, to musiałaby być inna pozycja społeczna zawodu nauczycielskiego, a ona nie jest obecnie najlepsza.

**K.B.:** Mówiliśmy o konkurencji negatywnej dla szkoły, jaką są różnego rodzaju źródła wiedzy, które są łatwo dostępne, ale nie wymagają wysiłku i nie uczą logicznego myślenia. Istnieją jednak instytucje pozaszkolne, które w pozytywnym znaczeniu konkurują z oświatą, dostarczając w interesujący sposób wiedzy i rozbudzając pierwotną ciekawość młodych ludzi. Są to różnego rodzaju Parki Nauki, a także takie przedsięwzięcia, jak Uniwersytet Śląski Dzieci. Po co zatem szkoła? Może edukacja powinna odbywać się w takich właśnie miejscach, skoro cieszą się one ogromną popularnością, a szkoła nie?

**J.J.:** Pani dobrze trafiła z tym pytaniem. Powiem jako osoba zajmująca się Uniwersytetem Śląskim Dzieci. Wymyśliłiśmy bardzo prostą ideę jego funkcjonowania. Po pierwsze, oferujemy dzieciom kontakt z obszarami nauki, z którymi nie mają możliwości zetknięcia się w szkole, czy gdziekolwiek indziej. Pokazujemy, jak są piękne i fascynujące, jak ciekawych rzeczy można się dowiedzieć, ucząc się różnych dziedzin. Ten „kontakt” proponujemy dzieciom jako wykłady plenarne. Nie są one ze sobą systematycznie powiązane i służą jedynie rozbudzeniu ciekawości i zainspirowaniu

dzieci, każdy jest inny i to wydaje się nam kluczowe. W momencie, gdy studenci czymś się już zainteresują, mogą skorzystać z drugiego etapu – udziału w zajęciach poświęconych interesującym ich tematom. Oferujemy bardzo szerokie spektrum seminariów, laboratoriów, wycieczek, pracy w terenie, warsztatów. Jest tego bardzo dużo, bo jeżeli wykładów jest 25 godzin, to pozostałych zajęć jest 140-150 godzin w semestrze do wyboru. Zajęcia wybiera się według indywidualnych zainteresowań. Zawsze odbywają się one w małych grupach, umożliwiając własną aktywność i zgłębianie tej dziedziny, która nas zaintrygowała. Ta prosta formuła funkcjonuje doskonale. Szkoła tak nie może działać, musi budować wiedzę i umiejętności w sposób systematyczny i to w wybranych (przez system) dziedzinach. Podmioty, takie jak uniwersytety dzieci, które działają w obszarze edukacji, realizują zupełnie inne zadania niż szkoły.



Fot. Agnieszka Sikora

tkaniach naukowych jest fajna nieskrępowana zabawa. Jesteśmy razem, bawimy się razem, kręcimy czymś. I to trochę przywraca naturalny stały charakter człowieka. Jestem razem z innymi i robię coś fajnego, a niekoniecznie dzwonię do kumpla. Mamy tu fun i snobizm, czyli dwa w jednym. Oczywiście dla młodzieży ponadgimnazjalnej oferta musi być ambitniejsza.

**B.P.:** Proszę zwrócić uwagę, że dotykamy fundamentalnego problemu – potrzeby przynależności, która u młodzieży jest wyjątkowo silna, a te relacje o rzeczowym charakterze jej nie zaspokajają. Kontynuując wątek poruszony przez dra Jarosza odnośnie pomocy szkole, chciałabym podkreślić, że wszelkie nasze uniwersyteckie oferty powinny kupiać się na żywej reakcji na potrzeby szkoły i z jednej strony winniśmy ją wzbogacać, z drugiej powinniśmy stanowić przeciwwagę dla zrutyinizowania i zniechęcenia nauczycieli.

**P.F.:** Ale to się bardzo ładnie uzupełnia i zapełnia. Myślę, że za kilkanaście lat będziemy widzieć efekty działania środowiska akademickiego na rzecz dzieci, które od samego początku są zarażane pasją poznawczą, możliwością dokonywania małych odkryć, ale samodzielnie. Natomiast był czas kilkunastu, może nawet dwudziestu lat, kiedy wokół oświaty nie działo się nic.

**J. J.:** Może więc nie powinniśmy w gruncie rzeczy zastanawiać się nad tym, jak szkołę zmienić, zreformować, tylko jak jej pomóc. W jaki sposób uzupełnić jej funkcje. Istnieje wokół niej wiele podmiotów, które mogą to uczynić – odwiedzane masowo centra nauki, wystawy interaktywne, uniwersyteckie wykłady otwarte dla szkół, festiwale nauki, Nauki Przyrodnicze na Scenie, Święto Liczby Pi, Piknik Naukowy, Noc Naukowców. To przykłady innego sposobu działania, innego sposobu uczenia i edukowania. Szkoła może czerpać z tych możliwości według potrzeb i wyboru. Sama, mając do wypełnienia inną funkcję, może ją uzupełniać w ramach tzw. edukacji pozaformalnej.

**T.S.:** Proszę zwrócić uwagę, że tutaj rysuje się nam zabawna istota współczesnych czasów, która wpisuje się w teorię o głównych kołach napędowych funkcjonowania młodych ludzi. Są nimi albo fun, albo snobizm. Fun

„Osobliwości Świata Fizyki” organizowane są na Uniwersytecie Śląskim od 1984 r. Propozycja dla Uczniowie szkół podstawowych, gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych chętnie korzystają z pokazów i zajęć.

chcą wszyscy. Ale docieranie do uczniów tylko tą drogą i pokazywanie, że nauka może być śmieszna, trochę jednak przypomina sięganie prawą ręką do lewej kieszeni. Być może część z nich się załapie, ale część nabierze przekonania, że to wystarczy. Nauka bowiem może być radosną zabawą, ale poza tym jest jeszcze wyzwaniem. Drugi sposób pozyskiwania ludzi do wysiłku intelektualnego czy zaangażowania w coś nowego to budowanie pozorów snobizmu. Dobrze jest być w dobrym miejscu, w dobrym towarzystwie, w dobrej szkole. Działalność firmowana przez Uniwersytet, o której Pan wspominał, w pewnym sensie tę przyjemność snobizmu daje. „Ja chodzę na Uniwersytet”, mówi dziecko z czwartej klasy. Ale bezsprzecznie jest to znakomite uzupełnienie oferty szkolnej i coś nowego w tym zmanierowanym świecie młodego człowieka, który wszystko „ogląda na Internecie”. Tutaj ma możliwość udziału w czymś dziejącym się na żywo, często w grupie rówieśników. To niezwykle istotne, bowiem obserwujemy dzisiaj dramatyczne zjawisko, że ludzie nie mówią do siebie twarzą w twarz, tylko kontaktują się za pośrednictwem telefonów czy e-maili. W ten sposób szukają być może jakiegoś parawanu, który pozwoli schować się, ukryć uczucia. A na tego typu spo-

Może obejmować nie tylko dzieci i młodzież, ale także samych nauczycieli, ta pomoc jest chyba jeszcze bardziej istotna. Nauczyciel jest przekąźnikiem, replikatorem memów i gdy nad nim popracujemy, nad jego komfortem i dobrym samopoczuciem, to skutki są wielokrotnie lepsze, niż gdy pracujemy tylko z uczniami. Organizujemy jako Instytut Fizyki szkolenia dla nauczycieli w CERN-ie, w Genewie – w najlepszym i najważniejszym ośrodku naukowo-badawczym z zakresu fizyki. Zabieramy na nie nauczycieli nauk przyrodniczych z całej Polski. Razem z nami przebywają w CERN-ie przez tydzień, mając kontakt z pracującymi tam naukowcami, uczestniczą w doskonałych wykładach, zwiedzają laboratoria, obserwują eksperymenty, które są komentowane przez prowadzących je naukowców. Są na samym froncie najbardziej zaawansowanej nauki. Nauczyciel po takim szkoleniu wraca odmieniony, zainspirowany i zupełnie inaczej uczy. Przełamujemy w ten sposób także inną barierę. Może nie jest to już tak wyraźne jak kiedyś, ale ciągle jednak nauczyciele są w swej pracy izolowani, nie mają kontaktu z innymi. Po wycieczce w CERN-ie grupa jest skonsolidowana. Każdy ma mnóstwo znajomych, przyjaciół, po powrocie zaczyna funkcjonować w pewnej grupie, w powiązaniach z innymi.



**K.B.:** Problemem polskiego systemu edukacji jest pewien izolacjonizm. Każdy etap kształcenia jest zamknięty w świecie własnych celów, nadal wiele przedmiotów lub sposobów ich wykładania charakteryzuje się ograniczeniem do własnej dziedziny wiedzy. Czy może nie byłoby dobrym rozwiązaniem stworzenie modelu, który pokazałby młodym ludziom powiązania pomiędzy dyscyplinami, naukami, problemami, ukazał świat wiedzy jako pewną fascynującą całość i który otworzyłby poszczególne rodzaje szkół na siebie nawzajem?

**T.S.:** To, co Pani mówi o powiązaniu, jest realizowane w różnych miejscach, w różny sposób. Szkoła pana Fabjańskiego i moja związane są umowami o współpracy z Uniwersytetem Śląskim, więc kontakt młodzieży z uczelnią jest nawiązany. Czasami wykładowcy są u nas, czasami my jedziemy na Uniwersytet, zwłaszcza do Instytutu Fizyki. W Towarzystwie Szkół Twórczych, do którego należy moja szkoła, próbowaliśmy budować takie obszary edukacyjnego współdziałania w oparciu o kenowską zasadę: niech szkoła wyższego rzędu ogarnie szkołę niższego rzędu. Próbowaliśmy to robić, ściśle i programowo współpracować z wybranymi gimnazjami i szkołami podstawowymi, ale mnie, szczerze mówiąc, nie wyszło. Natomiast koleżanki w Opolu założyły lokalne stowarzyszenie i tam jest pełna współpraca grupy podstawówek, gimnazjów z ich liceum i czasami nawet z uczelnią. Nie wiem jednak, czy dzieci mają w tym wszystkim poczucie, że są elementem większej całości, czy nadal czują się po prostu tylko u siebie w szkole. Ale faktem jest, że w ramach stowarzyszeń regionalnych to, o czym Pani mówi, ta sieć powiązań, funkcjonuje od dłuższego czasu. Moim zdaniem najcenniejszy w tym przypadku jest kontakt pomiędzy nauczycielami szkoły podstawowej, gimnazjum i liceum. Wtedy lepiej można zrozumieć wspólne cele i zarazem indywidualne uwarunkowania. Jeśli tego nie ma, a najczęściej nie ma, to w procesie edukacji stajemy się niezależnymi wyspami.

**K.B.:** Na zakończenie zapraszam Państwa tym razem w podróż w przyszłość. Jest rok 2026. Edukację kończy rocznik, który naukę w szkole podstawowej rozpoczął we wrześniu 2014 roku, pracował na *Naszym Elementarzu*, a więc uczył się na obrządkach, obcięte zostały kolejne godziny zajęć dydaktycznych, wprowadzono przepisy mające na celu dalszą biurokratyzację procesu nauczania. Jakiego absolwenta wypuszczamy w świat?

**P.F.:** Jeżeli system edukacji, programy, podręczniki, sposób przygotowania nauczycieli, inwestowanie w nich,



Fot. Agnieszka Sikora

Maturzyści korzystają z Targów Edukacji, organizowanych przez uczelnie.

a także inwestycje w szkoły się nie zmieniają, to będziemy mieli poważny problem. Społeczeństwo nie zdaje sobie sprawy, że nakłady na edukację w Polsce należą do jednych z najniższych w Europie, ale nade wszystko społeczeństwo nie zdaje sobie sprawy, że jesteśmy chyba na drugim miejscu od końca, jeśli chodzi o wydatki na edukację z budżetów rodzinnych. Funkcjonuje jeszcze takie przeświadczenie społeczne, mające swe źródło w czasach *ancien régime*, że nam się to wszystko należy i państwo nam wszystko zapewni. Darmowa edukacja nigdzie nie istnieje. Rodzice muszą inwestować bardzo mocno i wspierać edukacyjnie swoje dzieci poprzez zakup podręczników, książek, zmuszania do czytania, ekspediovania na ciekawe wyjazdy czy wyjścia do instytucji kultury lub nauki. Musi więc funkcjonować właściwa współpraca pomiędzy szkołą i domem. Natomiast jeżeli mamy się zastanawiać nad problemem jako ci, którzy tkwią w oświacie, to powinniśmy chyba przede wszystkim wybrać takich rządzących, którzy stwierdziliby, że edukacja należy do priorytetów, a tym, którzy ją wykonują, należy się po prostu szacunek.

**T.S.:** To jest trochę pytanie z tezą, że na skutek aktualnej degrengolady w tym 2026 roku na pewno będzie dramatycznie. A ja powiem, że nie. Nadzieja w tym, że człowiek w swojej istocie jest niezmienny. Moje pokolenie było indoktrynowane, wychowane po części na propagandowej literaturze typu *O człowieku, który się kulom nie kłaniał* itp., i wydawało się, że będzie przegrane, a jednak to ono dokonało ogromnego skoku mentalnego, zostawiając za sobą komunę i budując wspólną, całkiem normalną rzeczywistość. Nie bałbym się więc za bardzo, że przy tych wszystkich błędach edukacyjnych i afektach do nowoczesności, będziemy mieli w 2026 roku pokolenie samych głupków. Człowiek jest wielki.

Człowiek się obroni przed tym wszystkim. Pozostaję optymistą.

**J.J.:** Ja też jestem optymistą, zawsze. W tej kwestii także – wszystko regulują przecież niezawodne mechanizmy, którym możemy zaufać. I może na tym opierałbym swój optymizm, na takim podejściu trochę biologicznym. Prawidłowy kierunek naszej ewolucji jest zapewniony przez dobór naturalny. Oczywiście czasem historia jakiegoś gatunku może zakończyć się źle, jakiś gatunek może wyginąć, gdy ewolucja zabrnę w ślepią uliczkę. Ale holistycznie patrząc, mamy do czynienia z nieustannym rozwojem i postępowaniem. Te same mechanizmy doboru naturalnego działają także w ewolucji kulturowej. Na pewno jest wiele ślepych uliczek, ale całość z pewnością zmierza we właściwym kierunku. Mam taką wielką nadzieję. Absolwent 2026, produkt tych mechanizmów i naszych usiłowań, będzie więc na pewno inny, niż nam się może teraz wydawać, ale też na pewno odpowiednio przystosowany do warunków, w jakich będzie funkcjonował.

**B.P.:** Kiedy Pani zadała pytanie, to pierwsze skojarzenie, które mi się pojawiło – pewno pod wpływem znakomitej książki *Edukacja jaskiniowców* – że absolwent w 2026 roku będzie zadowolonym, zafascynowanym, acz zdziwionym jaskiniowcem, który powie: „A teraz wszystko zaczniemy od początku”. Z drugiej strony myślę, że czarowidztwo nie jest tym, co naprawdę jest dzisiaj potrzebne edukacji i nauczycielowi. Sądzę, że nie powinno być tak źle czy dramatycznie z prostej przyczyny, bo w oświacie jest jednak sporo mądrych ludzi i oni będą systematycznie robić to, co robią, czyli podejmować sensowne działania dla dobra młodych ludzi i dla dobra ogółu społeczeństwa.

**K.B.:** Serdecznie dziękuję za rozmowę.



### • Społeczna wiarygodność i prolongata życia

Z kapitałem ludzkim jednoznacznie wiąże się kapitał społeczny (*social capital*), którego podstawowe wartości opierają się na takich cechach jak zdolność i gotowość do kooperacji między ludźmi pracownikami, do kompromisu oraz dialogu, społecznej prawdomówności i wiarygodności. Jest przy tym oczywiste, że ten rodzaj kapitału wiąże się bezpośrednio z podzielanym społecznie systemem aksjologicznym i normatywnym, jego trwałością lub – przeciwnie – rozpadem i stanem anomii. Budowanie kapitału społecznego nie oznacza bynajmniej nierealistycznego dążenia do eliminacji kłamstwa i wiarołomności w obiegu społecznym, niewiarygodności czy nieprzyjaźni. Chodzi raczej o ich ograniczenie i działanie na rzecz marginalizacji. Za istotne przedsięwzięcia utrwalające wagę kapitału społecznego uważa należy budowanie wspólnot i wspólnotowości, zwłaszcza tam gdzie poziom atomizacji społecznej przekracza punkty krytyczne, a postawy prospołeczne ustępują egocentrycznym i występny. Do budowania takich wspólnot konieczna jest lojalność, o czym bezpretensjonalnie napisał w „Wyznaniach” święty Augustyn: *W gronie przyjaciół świadczylimy sobie drobne przysługi. Razem czytaliśmy pięknie napisane książki, razem żartowaliśmy, razem zachowywaliśmy powagę. Nawiasem mówiąc, w słowach augustiańskich znaleźć można przynajmniej częściową odpowiedź na pytanie postawione przez Umberto Eco dlaczego książki przedłużają życie.*

### • Wątroba Prometeusza

Lojalność pozostaje w związku z dwiema skrajnymi postawami ludzi: egocentryzmem i prometejskością. Egocentryzm to centralne umiejscowienie własnej osoby w świecie. Jest to praktycznie brak zdolności akceptowania innych poglądów niż własne. To ostrzeżenie świata wyłącznie z własnego punktu widzenia przy równoczesnym marginalizowaniu opinii i postaw innych ludzi. W kontekście takiej postawy mamy do czynienia z wyrażaniem lojalności wyłącznie wobec samego siebie bez możliwości wyrażania takiej postawy wobec kogokolwiek lub czegośkolwiek innego. Taka postawa jest przeciwstawna postawie prometejskości nawiązującej do mitycznej postaci Prometeusza, który wykradł ogień przynależny olimpijskim bogom i oddał go zwykłemu ludziom. Za czyn ten heros przez 30 lat przykuty był do Gór Kaukazu i skał Tartaru, a sęp, a może orzeł każdego ranka wyjadał mu wątrobę i śledzionę, które wszelako odbudowywały się do następnego ranka. Ten czyn Prometeusza charakteryzuje współcześnie postawę etyczną, dla której ideałem moralnym jest podporządkowanie działań jednostki dobru grup społecznym lub całej ludzkości. Ta postawa, na wskroś prospołeczna, to także bunt przeciwko boskim wyrokom i siłom natury, ale i cierpienie własne w imię dobrostanu ogółu.

### • Lojalność a normy moralne

William Graham Sumner, amerykański socjolog, profesor Uniwersytetu w Yale, zaproponował podział norm, z których jedne są przez członków społeczeństwa określane jako kluczowe dla niego i są to normy moralne (*mores*): *Rzymianie używali pojęcia mores w odniesieniu do zwyczajów pojmowanych w najszerszym i najbogatszym sensie tego słowa, łącznie z wyobrażeniem, iż zwyczaj służy pomyślności oraz opatrywane są tradycyjną i mistyczną sankcją, by zyskać dostateczną autorytet i nimb świętości.*



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik  
spóźnionego przybysza

## Cnota lojalności (III)

drugie to normy obyczajowe, zwyczajowe czy prawne. Do norm moralnych zaliczamy wszelkie tabu społeczne. W polskiej socjologii wyczerpującej klasyfikacji norm moralnych dokonała Maria Ossowska, wybitna badaczka, która jako pierwsze wymieniła normy moralne w obronie naszego biologicznego istnienia. To norma „nie zabijaj”. Służy ona potrzebie bezpieczeństwa, chroniąc dobro tak szczególnie wartości, jakim jest życie ludzkie. Postać „nie zabijaj” to forma zakazu. W postaci nakazu to forma zalecająca szacunek dla ludzkiego istnienia. Drugim rodzajem norm moralnych są te w obronie godności. Człowiek zadaje sobie samemu śmierć aby oczyścić się z niesławy – człowiek woli nie żyć niż dopuścić do obniżenia swojej wartości w oczach cudzych i własnych. Przykładem są samobójstwa dowódców po przegranych bitwach czy wojnach. Zasadniczą wartością jest tutaj szacunek dla samego siebie. Trzecim rodzajem norm moralnych wyróżnionych przez Marię Ossowską są te w obronie niezależności, czyli zakaz stosowania przymusu wobec człowieka. Jest to możliwość robienia wszystkiego, co nie szkodzi drugiemu człowiekowi, [...] a korzystanie przez każdego ze swoich uprawnień może być ograniczone wyłącznie względem na to, by inni członkowie społeczeństwa cieszyć się mogli tymi samymi uprawnieniami. Nikt nie powinien być prześladowany za swoje poglądy i równocześnie powinien mieć możliwość swobodnego ich przekazywania.

### • Orwell ponownie odczytywany

Czwartym rodzajem norm moralnych są normy w obronie prywatności: *Uprawienie*

*do prywatności należy do najważniejszych ze wszystkich uprawnień. Jest ono równocześnie najbardziej zagrożone i najmniej uwzględniane w naszych czasach.* Słowa te są szczególnie ważne współcześnie, gdy coraz częściej człowiek jest pozbawiony nie tylko prywatności, ale i intymności. Wszecchobecny monitoring, kamery, namierzanie telefonem komórkowym, GPS-em to tylko kilka przykładów, które pozbawiają ludzi prywatności. To bardziej udoskonalony „Rok 1984” George’a Orwella. Piątym typem norm moralnych wyróżnionych przez Marię Ossowską są, szeroko już w niniejszym tekście omawiane, normy służące potrzebom zaufania. O ile w warunkach np. wojennych do tego rodzaju norm można dołączyć „nie zabijaj”, to w czasie pokoju istnieją inne, zagrażające nieustannie naszej potrzebie ufności. Są to normy artykułowane w postaci „nie kłam”, „bądź odpowiedzialny za słowo”, „nie kradnij”, „nie oszukuj”, „nie donoś” i w końcu „bądź lojalny”. Mamy więc wyraźnie pokazany związek pomiędzy zaufaniem a lojalnością, o czym już pisałem, a co potwierdziła w swoich rozważaniach o moralności Maria Ossowska. Szóstym rodzajem norm moralnych są te strzegące sprawiedliwości. Samo pojęcie „sprawiedliwość” charakteryzuje się bogatą aurą skojarzeniową i silnym ładunkiem emocjonalnym. Marek Tulliusz Ciceron w rozprawie „O naturze bogów” pisał: *A cóż powiemy o sprawiedliwości, która przyznaje każdemu, co mu się należy? Czy wymóg ten może dotyczyć bogów? Przecież sami mówicie, że sprawiedliwość zrodziła się we współżyciu społecznym.* Dalej, w tym samym dziele, *Sprawiedliwość polega na stanowczym i nieodmiennym pragnieniu, by każdy zachował to, co mu się według prawa należy.* Tak więc lojalność wobec sprawiedliwości to akceptacja podziałów wszelkich dóbr w oparciu o respektowanie reguł prawa. Ostatnim, siódmym typem norm moralnych są te łagodzące konflikty społeczne. Normy moralne są tutaj działaniami prowadzącymi do harmonizowania życia społecznego. To przedkładanie miłości nad nienawiść, współdziałania nad współzawodnictwo czy pokoju nad wojnę.

### • Bieczna lojalność

#### – słowo na zakończenie

Lojalność to jedna z ważniejszych wartości w rozwoju ludzkości, której istota została ujęta w systemach etycznych starożytnych filozofów greckich. To cnota, którą ludzie powinni mądrze kierować się w swoim życiu. Lojalność dotyczy wszelkich relacji międzyludzkich, jak również stosunku człowieka do świata przyrodniczego i antropomorficznego. Lojalność jest idea, ponieważ jest bezinteresowna. Nie ma ceny i jest prawdziwa, gdy działa wobec wszystkich stron dialogu czy powziętej interakcji. Ale równocześnie lojalność nie może być ślepym czy bezwzględny podporządkowaniem się innej osobie, rzeczy czy idei. Zasadą lojalności jest to, że posiada w sobie element racjonalności. Jest bowiem tak, jak w podejmowanej przez Sorena Kierkegaarda, duńskiego filozofa, poety i teologa, interpretacji przygotowań dokonywanych przez Abrahama wobec aktu poświęcenia Izaaka. Ta interpretacja pozwala na uświadomienie, że nawet najbardziej lojalistyczne zachowanie zawiera w sobie ogromną dawkę wyrozumiałej kalkulacji *I rzekł: Nie podnoś ręki na chłopca i nie czyn mi nic, bo teraz wiem, że boisz się Boga, gdyż nie wzbraniałeś się ofiarować mi jedynego syna swego.*

Felieton powstał  
we współpracy z prof. UO dr hab. Anną Słiz



Ulica Strażacka 2

WIESŁAW  
KOSTERSKI

# Stąd do raju

Mysłowice, centrum,  
ul. Strażacka 2

Kamienice i podwórko tuż za budynkami Urzędu Miasta. Słonecznie, upalnie, duszno. Z głośników atakuje wirująca muzyka. Kilkanaście osób, w większości dzieci, kręci się w rytmach zumbi.

– Tańczymy, ręce w górę, teraz w bok, o tak, dobrze, dobrze! – instruuje Sabina Kryla ze szkoły tańca Extreme. – Chodźcie tutaj, bliżej, bliżej, zapraszamy wszystkich do wspólnej zabawy.

Podwórkowe klepisko opanowały dzieci. Wpatrzone w instruktorkę tańca, kręcą się podobnie, jak ona, podrygują, unosząc ręce, śpiewają. Niektóre mają pomalowane na kolorowo twarze, przypominając małych bohaterów bajek. Nie zwracają uwagi na kurz i spiekotę. Taniec – on jest teraz najważniejszy.

Miejska przestrzeń: zapomniany, obskurny, klaustrofobiczny dziedziniec. Skrzecząca rzeczywistość, jak z opowiadań Marka Hłaski. Jedno metalowe skrzydło krzywej bramy urwane, to, które zostało, podparto betonowymi

plytami. W rogu kontenery. Zwaliste, obdrapane elewacje kamienic i mur z gołych cegieł, na którego szczycie wyrosły brzozy samosiejki. W otwartych na oścież piwnicach zaduch, grzyb, łuszczące tynki.

Skarpę dotknęła gospodarna ręka, układając palisadę z opon. To już coś. Inne ręce wetknęły w ziemię parę kwiatów. Kolejny dowód zmian. Obok wdzięczą się paprocie wgrzyzione siecią korzeni w szpary między cegłami. Posadziła je natura.

Pan Heniek (tak się przedstawił), emerytowany górnik z kopalni Mysłowice, nie mieszka pod *dwójką*, przyszedł zobaczyć, jak bawi się jego wnuk, 4-letni Marcin.

– O, to ten – wskazuje na ubranego na niebiesko chłopca.

– Jeszcze więcej takich akcji powinno być w mieście – powiada. – Dzieci przecież fajnie się bawią, mają jakieś zajęcie, rodzice są zadowoleni. Tak powinno być, co najmniej raz na tydzień.

Na plac wkracza zamasztyłym krokiem mężczyzna w średnim wieku.

– Janek jestem – mówi zachrypniętym głosem.

Sandały, pod pachą zmięta reklamówka z *Biedronki*. Rozdarty modnie dzins nogawki pokazuje chude kolano,

rozpięta koszula tors. Uniósł ręce, rozkołysał je i płasa, przestępując szcudłowato z nogi na nogę.

– Gdyby tak moja żona umiała się ruszać – rozmarzył się, wlepiając wzrok w tańczącą instruktorkę.

Bogusława Chmielińska i Barbara Mróz – liderki Strażackiej 2 – zgłosiły podwórko do konkursu.

– Dostaniemy dofinansowanie, dołożymy trochę chęci lokatorów i nie będzie tak brzydko – mówią. – Skarpę uporządkowaliśmy sami. Posadziliśmy kwiaty. Postaramy się, żeby było jak najlepiej.

Tynkowaniem ścian, dzięki *odczarowanym podwórkom*, zajmie się administracja budynków. Mur też będzie doprowadzony do porządku, bo cegły z niego lecą. Syn jednej z lokatorek (pod *dwójką* mieszka dziewięć rodzin) jest budowlanem. Już pokazał, co potrafi. Farby są potrzebne, bo chce teraz trochę malować.

– Co tu zrobicie? – pytam.

– Boisko do siatkówki, kosza, zjeżdżalnię, huśtawki, nową piaskownicę – wyliczają. – I trampolina będzie, i grill zabudowany. Mamy pomysły na wszystko. Musi być ładnie.

– Podziękujmy brawami Sabinie i dziewczynom ze szkoły tańca Extre-



me! – w rolę wodzireja wciela się Michał Skiba, wicedyrektor MOK-u.

– A teraz, kochani, rozkładamy chustę animacyjną i przystępujemy do kolejnej zabawy – dyryguje. – Wachlujemy chustą i biegamy pod nią według kolorów. Ruszamy! Niebieski! Brawo, ten chłopiec był pierwszy. Zielony! Ty teraz wygrałeś. Czerwony!

Gra w kolory rozpała emocje. Sprytnie poruszający się wśród rówieśników chłopiec nosi koszulkę w barwach Barcelony z numerem klubowym i napisem *Neymar*: Hit sezonu. Czuprynę też ma topową: u góry wyrównane włosy, po bokach mocno przystrzyżone z wyraźnym wzorem. Jak piłkarskie gwiazdy z brazylijskiego mundialu. Gdyby potęga polskiej piłki zależała od fryzury, byłibyśmy mistrzami świata. Przynajmniej do lat siedmiu.

Gwar, śmiechy, radość, ruch, muzyka. Dzieci świetnie potrafią ze sobą rywalizować. W nagrodę słodczyce. Dla wszystkich.

Vis a vis Strażacka 3. Podwórko odmienione siłą zeszłorocznej rywalizacji. Zadbane, w miarę czyste, z placem zabaw, bez krzaków. Wyróżniające się z otoczenia. Na ścianie wymalowany wóz bojowy i postać strażaka. Wszak to Strażacka.

Pod *dwójką* w formie plastycznej za gości historia albo sport. Mysłowicki Detektyw Historyczny (stowarzyszenie, które ustaliło, jakie wydarzenia związane są z poszczególnymi podwórkami) podaje, że w tym właśnie miejscu przechodził przez Mysłowice Jan III Sobieski. Więc może husaria na ścianie? Drugi motyw to sport, bo nieopodal znajdowała się kiedyś hala MOSiR-u. Trzeci, dość ponury w znaczeniu, odnosi się do czasu II wojny, kiedy podobno w kamienicy siedzibę miało gestapo. Będą prelekcje na ten temat.

## Robotnicza 21. Inny krajobraz

Rozległe podwórko, a raczej osiedlowy plac. Otwarty, przestrzenny, dający oddech i poczucie swobody. Prostką parkingu wyłożony kostką brukową sąsiaduje z połaciami terenu zarośniętego bujną trawą i kępami chwastów. W tle kilkupiętrowe, pstrokate bloki i osowiełe kamienice.

Taniec ze szkołą Extreme. Zumba, jak dzień wcześniej. Tyle że dzieci trochę więcej. Może dlatego, że wokół znajduje się dużo więcej mieszkań niż przy Strażackiej 2. Ale radość ta sama, emocje te same, ten sam zachwyty. I te same wzory wymalowane na twarzach uczestników zabawy.

– Uwaga, tańczymy, tak, tak!

Pejzaż kaleczy brzydota zdemolowanego pawilonu handlowego. Parterowy budynek rozdrapali doszczętnie złomiarze. Wyrwali okna, kraty, drzwi, urządzenia sanitarne. Wewnątrz fetor i sterty brudów. Wzdłuż parkingu rząd zapchanych kontenerów i kikuty połamanych mebli. Osiedlowe wysypisko śmieci.

– Tu był kiedyś fajny sklep – opowiada 74-letni Bronisław Chmielewski, lokator spod numeru 21. – Gość miał też hurtownię. Teraz siedzi w więzieniu – taka chodzi plotka. Te śmietniki powinny być schowane, ogrodzone. Sądzę, że teraz, po tej akcji, dużo się tu zmieni.

Sięga po papierosa. Zapala.

– Wiem, że Lasok (Edward Lasok, prezydent Mysłowic od 2010 roku – przyp. red.) wszystkiego nie może zrobić, bo takie jest życie – mówi nie pytany o władze samorządowe. – Ja akurat głosowałem na Lasoka i będę głosował. Już w tej

kadencji widać, że się stara, sporo zmieniła. A Osyra (Grzegorz Osyra rządził miastem w latach 2002-2010 – przyp. red.) to dopiero narobił biedy, dziadostwa. To było ładne miasto, te Mysłowice, a widać pan, co się narobiło. Teraz trzeba długi spłacać. Słyszę, że Wójtowicz pcha się na prezydenta. No, ludzie kochani, ten to dopiero narobi.

B. Chmielewski mieszka przy Robotniczej od czternastu lat, wcześniej miał mieszkanie przy Powstańców. Nie jest Ślązakiem, pochodzi z Kujaw. Skończył szkołę górniczą i pracował na Wesołej na dole od 1958 roku, potem w myśłowickim PRG.

– Ale wcale nie było wesoło – mówi z uśmiechem, nawiązując do starych czasów. – Za Gomułki dostawaliśmy pół kilo kiełbasy, ćwiartkę wódki i paczkę sportów. Jak dobrze poszło to 100 zł. No i czyny społeczne były.

Pod *dwudziestką jedynką* znajdował się wcześniej hotel robotniczy. I tak jak stał, został oddany ludziom. Mieszkania niewielkie, klitki. Pokój z kuchnią i to wszystko. Największe ma 26 metrów. Druga część budynku to, co innego, tam są normalnej wielkości lokale. Zanim powstało osiedle były tu gliński i ogródki działkowe. Niedaleko stał kopalnianny szyb.

– Jak się tu mieszka? – powtarza pytanie B. Chmielewski, spoglądając przed siebie, w przestrzeń ulicy. – No, żyje się zwłaszcza w nocy. Jak ktoś jest obcy, to ma ciężko. W każdym mieście są takie dzielnice.

– Czerwony! Niebieski! Fioletowy! – M. Skiba rozpoczął swoją część spektaklu z odczarowywaniem podwórek.

I od razu uruchamia ducha sportowej rywalizacji. Czereda dzieciaków faluje chustą, biega, krzyczy, podskakuje w geście triumfu. Część zajada się rozdawa-



Ulica Robotnicza 21





Ulica Towarowa 4

nymi słodyczami, stojąc w kolejce do makijażu.

Jest też kilkuletni *Neymar*, ale bez ekstrawaganckiej czupryny. Każde podwórko ma chyba teraz swojego *Neymara*. Każde ma też swojego *Pana Janka*. Tego tutaj również uwiodły tancerki z Extreme – hopsa energicznie w takt latynoamerykańskiej muzyki, poruszając biodrami niczym rasowa czirli-derka.

Przy Robotniczej 21 rządzi damska ekipa: Monika Wasicka, Agnieszka Szczygieł i Małgorzata Kusztełak. Nie oglądały się na nikogo i jako pierwsze zgłosiły podwórko do tegorocznej edycji konkursu.

– Dlaczego startujemy? Bo chcemy zrobić coś dobrego, urządzić plac zabaw dla dzieci – mówią zadziornym tonem. – Pomożemy, posprzątam, porobimy wszystko. To, co damy radę, zrobimy sami. Jak dostaniemy farbę, będziemy malować. I wygramy, bo kto, jak nie my ma wygrać w tym roku.

– Zapraszamy wszystkich za tydzień, będziemy tu z wami malować złomka – finalizuje dzień na Robotniczej M. Skiba. – Do zobaczenia!

**Towarowa 4.  
Rusza uliczny spektakl**

Już z bramy widać kilkadziesiąt osób tłoczących się na dziedzińcu kamienicy. Amfiteatr pod chmurką:

funkcje sceny pełni wyłożony kamieniami płytami kawałek ziemi, muszli koncertowej – rozłożyste korony drzew.

Monika Trępiak ma troje dzieci i wnuka. Trzy pokolenia pod jednym dachem. Rodziny tu liczne. Sąsiadce urodziło się dziewięcioro dzieci, drugiej – siedmioro.

– Nie mają się gdzie podziać te nasze pociechy i chodzą po innych podwórkach – mówi. – Potem trzeba je szukać po mieście. A mają przecież duże, swoje. Trzeba więc o nie zadbać.

Pomysł MOK-u?

– O! bardzo dobry, ciekawy, coś innego, nowego, atrakcyjnego. Widać, że władcom zależy na zmianach w mieście.

Zumba przyciągnęła chyba wszystkie dzieci z kamienicy. I tutaj, jak przy Strażackiej i Robotniczej, doskonale potrafią wczuć się w charakter imprezy.

– Będzie rekord, słuchajcie, będzie rekord! – podkreśla atmosferę wydarzenia M. Skiba. – Z Sabiną tańczą dwadzieścia cztery osoby! Brawo!

– Woow! – głośny okrzyk zachwytu.

Zaraz też rozpoczyna się gra w kolor. Wypatruję *Neymara*. Nie ma go tu. Jest za to *Pan Janek*, blondyn w krótkich spodniach i tatuażem na ręce. Wyjrzał na plac i zlustrowawszy bacznie uczestników zabawy, zniknął na powrót za drzwiami korytarza. Extreme nie zwabił go swoim wdziękiem.

Ponad 100-letnie kamienice nadgryzł zęb czasu. Zmurszały tynki i ściany, spleśniały rynny, rdza pokryła brązowymi liszajami odprysków metalowe konstrukcje schodów. Na wybetonowanych

fragmentach podwórka zieleń mchu. Wilgoci tu dużo, bo słońce nie zagląda zza murów. W zaułku, na parapecie niemego okna, pomalowana na biało opona wycięta w fikuśny kształt egzotycznego kwiatu. Cóż za materia dzieła i wyobraźnia twórcy!

W przeciwnym rogu placu przyklejona do muru piętrowa dobudówka, niczym jaskółcze gniazdo ulepione pod gzymsem kamienicy. Teraz to rudera, posępny pustostan, zawalidroga. Do pomieszczeń na parterze wrzucono śmieci, które nie zmieściły kontenery, jak robiono porządki. Górę zamknięto.

Ten świat towarzyszy tu ludziom każdego dnia. Ich świat. Nielatwy, szary, chropowaty, ale własny, znany, na swój sposób bliski. Wytyczony ramionami czworoboku między Towarową 4 z jednej strony i Wałową 3 z drugiej. Wspólny grajdoł, przy którym mieszka trzydzieści rodzin. Przywiązali się do niego, choć pewnie, gdyby mogli, uciekliby stąd, gdzie wzrok poniesie.

– Trzeba zacząć od zrujnowanego podłoża, żeby nogi nikt nie skrzył – mówi z troską pani Monika. – Oświetlenie założyć, bo w ogóle go nie ma. Sami zrobiliśmy kiedyś piaskownicę, ale wszystko rozkradli. Bramy otwarte na przestrzał, widzi pan, z Towarowej na Wałową.

– Chłopcy chodzą na szkolne boisko przy Piastowskiej, do *dwójki*. Tam pograją, tu przyjdą, posiedzą. Nie mają się gdzie bawić. Zabieramy ich na kąpielisko Słupna – zwierza się. – To fajne miejsce, ładnie odnowione. I opłat nikt



nie pobiera. Niektórzy jeżdżą na Sosinę i kąpielisko Hubertus. Ale na wakacje mało kogo stać.

– Chodzi o to okno – M. Skiba wskazuje na ciemny oczołód kamienicy, rozmawiając z kilkoma osobami, wśród których są Agnieszka Hermet i Ilona Krefta, kierujące konkursem na Towarowej. – A może trzeba tam wstawić planszę i namalować rysunek nawiązujący do charakteru ulicy – rampę, towary, rozładunek.

Wzór jest pod ręką, pocztówka z widokiem kamienicy sprzed 100 lat. Zerkam na nią. Dom widziany od strony torów kolejowych i zjazdu z nasypu, gdzie rozładowywano różne materiały, rozwożąc je potem stąd po mieście, prezentuje się okazale. Towary, więc Towarowa.

Agnieszka Hermet, matka dziewięcioro dzieci (najstarsze ma 22 lata, najmłodsze 9), zafrasowana, zaniepokojona. Jej syn trafił właśnie do szpitala. Ma kłopot z sercem. Nieszczęście stało się na innym podwórku. Akurat dzisiaj, niemal w tym samym czasie, kiedy pod *czwórkę* zjrzął barwny korowód.

– Myślę, że wszystko będzie z nim dobrze – mówi z nadzieją w głosie.

Narada mieszkańców: nastrój bojowy, duch wielki, zapal spotęgowany. Oni wiedzą, co i jak chcą przebudować. Wyrównają teren, zabezpieczą studzienki kanalizacyjne, zrobią nową piaskownicę, stół i ławeczki.

Ta pocztówka dodała im chyba animuszu.

– Wygramy – zapewniają.

– Ratusz będzie miał nie lada problem, bo na każdej ulicy są sami zwycięzcy, którym trzeba będzie nagrody przyznać – wtrącam żartem.

– Na jakiś sposób jest to dla każdego podwórka zwycięstwo – słyszę pointę najlepszą z możliwych.

### Bytomska 17. Dużo zieleni

Dziedziniec wielkości boiska piłkarskiego z kamienicą pośrodku, której charakterystyczna ściana frontowa mogłaby posłużyć za gigantyczną dekorację do sztuki teatralnej o losach myślowickich mieszczan. Ale to nie teatr. Tu nie ma sceny, aktorów, inspicjenta, tu scenariusz napisało życie. Bez głaskania i taryfy ulgowej.

Spektakl dający promyk nadziei na lepszy poranek tworzy ekipa MOK-u. Oczywiście z niezawodną panią Sabiną, dobrym duchem całego przedsięwzięcia, która i tutaj skutecznie rozkręca zebrałą publiczność.

Więc zumba i ręce w górze, efektowne figury i skręty, dobre tempo i ciekawy układ choreograficzny. I dzieciarnia zahipnotyzowana widokiem tanerek. I *Pan Janek*, wysoki mężczyzna w dżinsach, który rozpaczliwie usiłuje naśladować tańczące dziewczyny. Nie-

ważne, że czyni to nieudolnie, liczą się intencje.

– Spróbujmy pobić rekord Towarowej! – apeluje M. Skiba. – Wczoraj tańczyły tam dwadzieścia cztery osoby, teraz mamy ponad dwadzieścia. Policzmy jeszcze raz! Zapraszamy wszystkich!

Nie będzie rekordu. Do rozbawionej gromady nie dołączyła grupa chłopców, która obsiadła stadnie dachy znajdujących się nieopodal blaszanych garaży. O czymś szepczą, poszturchują się, uśmiechają zawadiacko, ale zejść, nie zejdą. Niektórych skusi dopiero gra z chustą animacyjną i rozdawane słodycze.

Nie widzę *Neymara*. Tu rządzi *Lampard*, kruczowłosy brzdąc odziany w koszulkę londyńskiej Chelsea, biegający jak błyskawica za piłką.

Gwar, rozmowy, szum, dynamiczna muzyka. Wirujące podwórko. Ale gołębiami to nie przeszkadza, nie przejmują się ludźmi, chodzą im między nogami i wybierają coś z trawy. Za budynkiem dojrzałe wiśnie lecą z drzew wprost na wydeptaną do twardości betonu, gołą ziemię. Obok ogródek – parasol, krzesła, stolik – próba metamorfozy przestrzeni.

– Uczestniczymy w konkursie, bo najważniejsze jest dobro dzieci, żeby miały godne warunki do zabawy. Jest ich tutaj sporo. Przychodzą z całej okolicy – mówi Joanna Yamrozyak, matka czworga dzieci: Igora, Borysa, Emilii i Nikodema. Najstarszy z rodzeństwa Nikodem ma 15 lat, wyjechał na wakacje.

Mieszkańców denerwuje ponury widok sfatygowanej stacji rozdzielczej. Więc ją pomalują. Zrobią piaskownicę, boisko do siatkówki, wykarcają krzaki. Z drugiej strony kamienicy, tu gdzie jest skarpa ziemna, powstanie coś w rodzaju *malpiego gaju*, tor przeszkód dla dzieci, taki w wojskowym stylu. Będą miały gdzie ćwiczyć i przestaną łązić po dachach. Wszystkim pokierują trzy panie: Joanna Yamrozyak, Joanna Winckowicz i Julia Drzyzga-Ciszewska, przywódczyni Bytomskiej 17.

Już jest inaczej, ładniej, czystiej, wiewieziono śmieci. Ogarnięto zaniedbane dziesiątkami lat otoczenie.

– Wygramy, oczywiście, że wygramy. Mamy najwięcej miejsca i mnóstwo pomysłów – zapowiada J. Yamrozyak.

– Ale też roboty będzie najwięcej.

– Ja się pracy nie boję, całe życie pracuję. Sąsiedzi zadeklarowali, że pomogą. Na pewno dużo się tu zmieni, wszyscy na to czekają. Dzieci to nasza przyszłość. Prawda?

Prawda. Banalna i jakże oczywista zarazem.

\*\*\*

Akcję *odczarowanych podwórek* myślowicki MOK prowadzi od trzech lat. W zeszłym roku zwyciężyła drużyna z Powstańców 12, bijąc konkurencję ze Strażackiej i Szymanowskiego. Zwycięzcy otrzymali nagrodę ufundowaną przez prezydenta Edwarda Lasoka – elementy placu zabaw.

W lipcu i sierpniu tego roku rywalizowali mieszkańcy Strażackiej 2, Robotniczej 21, Towarowej 4 i Bytomskiej 17. Warsztaty co tydzień: zumba na inaugurację, potem malowanie przeznaczonego na złom auta, trening z zawodnikami GKS-u Katowice, happening balonowy, występ zespołu tańca irlandzkiego Galway, koncert bębniarzy i na finał zajęcia muzyczno-plastyczne.

Każde podwórko miało swoich liderów i 1500 złotych do dyspozycji. Mieszkańcy gospodarowali tymi pieniędzmi i sami decydowali, na co je wydać, jak przeobrazić swoje najbliższe otoczenie. Swoją małą, wielki świat. Podwórkowe dziedzińce pulsowały niegdyś gwarem sąsiedzkich spotkań, rozmów, zabaw, festynów. Wypełnione emocjami, tętniły życiem. Zajmują ważne miejsce w historii śląskiego folkloru.

Ten projekt, w nowym anturazie, przywołuje atmosferę tamtych lat, dni, okoliczności. Niesie w sobie przy tym coś więcej niż tylko zwykłą rywalizację. Ludzie zobaczyli, ile znaczy szlachetność intencji i szczerzy odruch serca, jak wiele da się zrobić przy skromnych środkach, ale wielkim zaangażowaniu. Uwierzyli, że naprawdę można coś zmienić, czymś się podzielić, wesprzeć innych, a tym samym i siebie.

Niemoc przekuli w sukces.



Ulica Bytomska 17

## BARBARZYŃCY (2)

To nie muszą być obcy ze wschodu, czy z zachodu,  
z południa, czy z północy, w pikelhaubach z żelaza  
lub szmacianych z czerwoną gwiazdą, nie muszą  
obywać się bez samogłosek, ani przypinać byczych  
rogów do czoła;

nie muszą przyjść prosto ze stepów, gdzie myszy  
polne zdychają z głodu, ani z zasobnych w zwierzynę,  
miód leśny i poziomkowe polany borów szwarcwaldzkich,  
ani z wiecznie kaszlących fiordów, ani ze zgiełkowej,  
zadymionej piwiarni;

to mogą być swoi, z drugiej strony ulicy, a nawet  
z twojej klatki schodowej, żona barbarzyńcy nie raz  
pożyczyła u twojej żony łyżkę soli, a sam barbarzyńca  
raz nawet grzecznie zapytał: „Przepraszam, czy u państwa  
też wysiadło światło?”

to naprawdę mogą być swoi, z którymi grałeś w dwa  
ognie w czasie długiej przerwy, którzy przed lekcją  
polskiego szturchali cię w bok: „Daj odpisać!”, których  
ty prosiłeś o pomoc, kiedy co rusz dopadali cię  
tamci zza rzeki;

swoi, z tych samych, co twoje słodkich maminych słów,  
ale i z ordynarnych przekleństw, z wycieczek w Góry  
Olbrzymie i dalej, na Wawel, z tych samych gorących  
kartofli, wygrzebywanych z popiołu, w którym leniwie  
dogorywał żar;

swoi, którzy tak samo jak ty, list do matki z kolonii letnich  
zaczynali od słów „Kochana Mamusiu”, a kończyli  
troskliwym „Zostań z Bogiem”, po latach zakręcali  
wieczne pióro i po dniu ciężkim jak walka klasowa  
uchłani padali na twarz,

aby nazajutrz pamiątkowe wieczne pióro ze złotą  
stalówką podsunąć takiemu jak ty, rycząc: „Podpisz,  
kurwa twoja mać, bo zatłukę!”, sięgając po nogę od stolka,  
którą odbili ci nerki, z nienawistną pogardą, jakiej by  
długo szukać u obcych;







ze swoimi czasem nawet jest lżej, bo od dziecka mówicie tym samym językiem, swój, jakież to ujmujące, potrafi zadeklamować *Słońce ostatnich kresów...*, i tak samo jak ty służył do mszy i wołał żarliwie: „Ad Deum qui laetificat juventutem meam!”;

to wcale nie muszą być obcy, swój też potrafi strzelić w tył głowy, wykopać spod twoich nóg pieńki, skrzynkę lub stołek i śmiać się, wciąż słysząc twoje ostatnie słowa: „Niech cię piekło pochłonie”, bo dobrze wie, że piekła innego niż to, nie ma;

ze swoim umierasz inaczej, bo kiedy obcy bije cię na odlew, padasz ścięty jak sznytka, a kiedy bije cię na odlew swój, też padasz, rozsypujesz się, jakbyś zapomniiał zabrać ze sobą własny szkielet, rozpadasz się cząstka po cząstce, a z tobą rozpada się cały świat.

## TEN DRUGI

Nie ten w ciemnych okularach, kłębek nerwów, chłopak, który parę lat temu grał w pikuty, a potem strzelał, czyli zabijał; pytanie dobre dla Szekspira: czy zabija ten, kto strzela w dobrej sprawie? ale, co to jest „dobra sprawa”, etc, etc, nie ten w ciemnych okularach i dzinsach, których nikt wtedy, ani przedtem, ani długo potem w Polsce nie nosił, obowiązywał wojskowy sznyt, z wierzchu cywil, ale w środku, czuł to każdy, zwłaszcza Niemiec, żołnierz: bryczesy, oficerki, kurtka, a nawet – do wysokich butów! – gabardynowy płaszcz i pilśniowy kapelusz, moda czasu wojny, więc nie ten w ciemnych okularach, ale ten drugi, którego rzymski profil z czuciem filmuje operator, inteligent do szpiku kości, z kindersztubą, języki: francuski i niemiecki, na mur, pewnie i włoski, na Lido od czasów niepamiętnych z mamą i tatą, ale i do Jastarni, nad POLSKIE morze, angielski raczej nie, pseudonim konspiracyjny z trylogii, matura u Rejtana, w domowych albumach jakiś dworek z kolumnkami, pradziad w czamarze, z własną partią tak długo kąsał Moskala, aż ten go dopadł i zagryzł na śmierć, gdzieś pod Irkuckiem, ten drugi, który ma wyryte na szlachetnej twarzy trzy słowa-znaki: Bóg, Honor, Ojczyzna, nie chłopiec, nawet nie młodzian piękny a posępny, żadnych sentymentów, żadnych więzów, trochę cynik, to nie czas na amory, to coś dla tego w ciemnych okularach, który się ciska, wybucha sztucznym śmiechem, pełen wdzięku, w blasku młodości, w chwilach jasności czuje, widzi, że ojczyzna przesypuje mu się przez palce, Bóg w trafionym bombą kościele wisi głową w dół, czyżby już tylko honor, miota się jak szczupak wzięty na ościę, podpala spirytus w kieliszkach, nie wesele tym razem, lecz polskie zaduszki, nie rozśpiewana chata, ale smród kanałów, wybita do nogi maturalna klasa, waha się, opiera o drzwi, które się przesuwają to w lewo, to w prawo, on razem z drzwiami w tym wahadłowym ruchu, ten drugi jest całkiem inny: albo-albo, strzelasz albo

oddaj broń, o świcie ciężarówka, do lasu, to znaczy: dokąd, pyta oczami chłopiec w ciemnych okularach, ten drugi odpowiada nikłym drgnięciem brwi, jak ten, który wie, że idzie tam, skąd się nie wraca, bierze głęboki oddech i wykonuje zagadkowy ruch prawą dłonią o długich palcach iluzjonisty, jakby coś chwycił, jakby coś z niej uwalniał, czasem mi zdarzy się wykonać ten gest, czasem westchnę głęboko, czasem odpowiem na czyjeś pytanie nikłym drgnięciem brwi.







Zdjęcia: z arch. Autorki

Kadry z filmu: Różewicz rozmawia z Günterem Grassem (foto z lewej) i Michaeliem Krügerem

MARIA  
DĘBICZ

# Moje pojednanie

## Tadeusz Różewicz i Niemcy

Taki tytuł dał Piotr Lachmann filmowi dokumentalnemu, którego premiera odbyła się w Dolnośląskim Centrum Filmowym we Wrocławiu w czerwcu 2014 roku.

To drugi film Lachmanna poświęcony Tadeuszowi Różewiczowi. Pierwszy: *Tadeusz Różewicz: Twarze*. miał premierę rok wcześniej.

Bohatera filmów i ich autora łączyła długa znajomość prywatna i zawodowa.

W gliwickim poemacie *Acheron w samo południe* pojawił się jako student.

Lachmann tłumaczył na język niemiecki prozę, poezję i dramaty Różewicza. Pierwsza książka w jego przekładzie ukazała się w 1967 roku, wydana przez Hansera w Monachium.

Od trzydziestu lat Piotr Lachmann nagrywał rozmowy z Tadeuszem Różewiczem. Zgromadził dziesiątki kaset wideo. Czasem fragmenty nagrań prezentował, na przykład na Targach Książki we Frankfurcie w 2000 roku. Kilka lat temu, zachęcany przez Poetę: „skończ wreszcie ten film o mnie”, zabrał się za porządkowanie materiałów.

Postanowił zmontować tryptyk dokumentalny, zgodnie z sugestią Poety, że dwie części nie są dobre, tryptyk to forma właściwa.

W pierwszym filmie rozwinął Różewiczowską teorię ludzkiej twarzy i twarzy ludzkości po śmierci Boga. Tu znalazły się najwcześniejsze nagrane rozmowy z Poetą, małe reportaże ze spotkań Różewicza z bratem Stanisławem – reżyserem filmowym, zmarłym w 2008 roku. Długa rozmowa w mieszkaniu profesora Ryszarda Przybylskiego, przyjaciela Poety i autora świetnych esejów o jego twórczości.

Odwiedzinom z Piotrem Lachmannem „pustelni brata Ryszarda” Różewicz poświęcił potem utwór *tempus fugit (opowieść)*, opublikowany w tomie *Wyjście*.

O ile powstawaniu filmu *Twarze* Różewicz towarzyszył z oddali, to filmu *Moje pojednanie*, już niestety nie zobaczył.

Film ma podobną, jak *Twarze* formułę. Jest to swobodnie tocząca się rozmowa z Lachmannem lub monologi mówione prosto do kamery. Dotyczą ważnych faktów, związanych z recepcją polskiej literatury w Niemczech, długich kontaktów osobistych Różewicza z niemieckimi poetami, głębokiego, twórczego wejścia w niemiecką kulturę.

Stanowi też ważne świadectwo przecięcia wojennej traumy wojennej, wczesnych gestów „wewnętrznego pojednania”. Nie była to droga łatwa, zważywszy doświadczenia osobiste Poety.

Przykuwa uwagę scena, w której Różewicz prezentuje mały tomik z tekstem Nietzschego *Ecce Homo*. Pochodzi on z tornistra niemieckiego porucznika Rudolfa Herzoga, który zginął przy forsowaniu Dniepru w 1943 roku. Świadczą o tym wpisy do tomiku. Różewicz nie pamiętał, jak książeczka trafiła w jego ręce. Skądinąd wiemy, że Różewicz zachował przedwojenne wydanie Nietzschego, z notatkami na marginesach, zapisanymi ręką starszego brata Janusza, w 1944 zamordowanego przez Gestapo. Wiemy też, że Poeta w partyzanckim plecaku nosił *Króla Duchy* Słowackiego. Pozbył się go, gdy plecak stał się za ciężki. Różewicz przez całą okupację cierpiał na głód książki. Niezależnie legalnie „nabył” niemiecką antologię poezji włoskiej w sklepie dla Niemców w Częstochowie. Opowiada, jak zdobył *Fausta* i, jak przez całe lata „rozmawiał” z dziełem Goethego. Odwiedził Weimar i domek myśliwski, gdzie na drewnianej ścianie wypisany jest krótki, wspaniały wiersz *Über allen Gipfeln ist Ruh!*...

Różewicz jest autorem wiersza *Biedny August von Goethe*, a w latach dziewięćdziesiątych zaczął pisać sztukę o synu Goethego. Nigdy jej nie skończył. Gotowe sceny zostały, jak „ruiny Piranesiego”, ale

odwiedził „w zastępstwie ojca grób Augusty na cmentarzu w Rzymie”.

Lachmann zauważa, że prawdziwie głębokie pojednanie dokonało się w kulturze, a w niemieckim słowie *Versöhnung* / pojednanie / mieści się słowo *Sohn* / syn / Różewicz, wczuwając się w syna Goethego i przemawiając w jego imieniu, „wzbogaca dziedzictwo kultury europejskiej o własne doświadczenie i o wspólne doświadczenie Polaków i Niemców”.

Ważne rolę w filmie pełnią wypowiedzi Michaela Krügera, poety i wydawcy.

To on, przedstawiciel pokolenia urodzonego w czasie wojny, po międzynarodowym spotkaniu poetów na Literarische Colloquium w Berlinie w 1966 roku, nazwał Różewicza „naszym nauczycielem Tadeuszem”, który stworzył nowy język poetycki – „formę niepokoju”.

Pojawia się Gunter Grass, jako autor wiersza o Różewiczu *Ktoś z Radomska*. Recytuje go młody aktor z towarzyszeniem perkusji. Znajomość obu pisarzy trwała dziesiątki lat. Podobnie, jak z Hansem Marqusem Enzensbergerem, który zaprosił Różewicza do pierwszego numeru, założonego we Frankfurcie w 1965 roku kwartalnika *Kursbuch*. W numerze znalazły się utwory Samuela Becketta, Jeana Sartra, Petera Weissa, Uwe Johnstona i poemat Różewicza *Non stop show* w przekładzie Karla Dedeciusa.

Enzensberger będzie jednym z rozmówców w trzeciej części tryptyku, którą Lachmann zatytułował *Dezercja...z życia*. Tytuł ma zarówno znaczenie klasyczne, w języku niemieckim *Fahnenflucht* [ucieczka spod sztandarów] i symboliczne jako „ucieczka z życia” twórców, gdy nie mają już warunków tworzenia.

Film, którego znaczeniami, jak dwu pierwszych, są *Media Kontakt* w Warszawie i *Odra Film* we Wrocławiu, ma być gotowy w przyszłym roku.

MICHAŁ  
SZALONEK

# Cicha noc

na podstawie  
prawdziwego zdarzenia

Rys. Wojtek Łuka



Noce nie należą tu do cichych, a ta jeszcze się nawet nie rozpoczęła.

Kramer stawia kołnierz i opuszcza dom ześlizgując się po ośnieżonych schodach. Bierze łyk powietrza wepchniętego mu do ust lodowatym podmuchem. W snopie światła latarni tańczy lawica śnieżnych płatków, a zachód położył się różową wstęgą na horyzoncie. Wciąż można ją dostrzec poprzez gałęzie ogołoconych z liści drzew.

Gra drucianego płotu narasta, to znów cichnie w zależności od kaprysów wiatru. Dźwięk rozwieszonych tu i ówdzie kawałków kolejowych szyn budzi w Kramerze wspomnienia, przynosi echo minionych dni i kiedy idąc zamyka oczy wyobraża sobie, że znów jest w Berlinie. St. Matthias i Apostel Paulus Kirche zdają się spierać, który z nich ma piękniejszą grę dzwonów. Jest już po wieczery wigilijnej. Zbierane talerze i kryształawy pobrzmiwiają w matczyńskich dłoniach. Lora bawi się nową lalką, a ojciec wciąż jeszcze stoi w otwartym oknie dopalając jedno z niewielu cygar, na które pozwala sobie w ciągu roku. Boże Narodzenie.

Rozkojarzony i pełen tęsknoty za tym, co minęło Kramer zapomina zasalutować strażnikowi kolejnej bramy.

– ... Już nigdy... – mówi cicho do siebie po paru krokach.

Już nigdy ich nie zobaczy. Zostali tam. Zabici i spopieleni. Za jednym zamachem. „Zamach – to właściwe słowo” – myśli Kramer. Z wszystkich okien kamienicy tryskają języki ognia, a gdzieś pośród nich pożerane płomieniami ciała małej Lory wraz z domkiem lalek i matki z jej zbiorem porcelanowych słoń, które pomimo uniesionych trąb nie przyniosły jej w tej chwili nawet odrobiny szczęścia. Cygara ojca...

Znów jest Boże Narodzenie i minął rok, od kiedy dotarła do niego wiadomość o ich śmierci.

Wraz z kolejnym podmuchiem wiatru przychodzi bolesna myśl, że od tej chwili Święta Bożego Narodzenia będą zawsze związane z obrazem wijących się w pozodze ciał. „Aż do końca...” Kramer schodzi ze środka drogi przed kolumną mężczyzn. Dopiero potem wyciąga z kieszeni dużą kraciatą chustkę i siąka w nią głośno, krocząc mozolnie przez miękki śnieg, w kierunku syjących iskrami kominów.

Wczoraj znowu były problemy z urządzeniami. Stał popękała w kilku miejscach – szczęściem odbyło się bez przemieszczeń, ale paleniska musieli wygasić na wiele godzin. Moll, ten debil, kazał ściągnąć z miasta dwu spawaczy, jak gdyby w swoim pijaństwie zapomniał gdzie się znajdowali.

Zanim przyjechałby monter z Erfurtu... – zatrzymanie procesu na cały dzień byłoby w obecnej chwili niedopuszczalne. Szczęściem znalazł się ktoś kompetentny i po kolejnych trzech godzinach można było pracować dalej.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Otto trącił go niedopitą flaszka w łokieć.

– Człowieku, nie rób takiej miny – wybełkotał – w koń-cu są święta.

No dobra, Kramer ma dosyć rozpamiętywania tego, co było wczoraj. Z jasno oświetlonej latarniami drogi, spogląda na prawą stronę – tam gdzie trwa budowa nowego odcinka BIII. Pomimo mroku widać mrowie ludzi, poruszających się ospale. „W ten sposób nigdy nie damy rady...” – Kramer na powrót staje się taki sam jak zawsze, mocno osadzony w swoim tutejszym „ja”. A któż tutaj może sobie pozwolić na nostalgię? Wydajność to słowo klucz – rzetelna praca. To na niej opiera się proces.

Po trzystu metrach Kramer przechodzi przez podwójną bramę i wkracza na zamknięty obszar – serce instalacji, do którego mogą wejść już tylko wybrańcy.

W lasku widać postaci – mężczyźni przeważnie stoją, podczas gdy kobiety wraz z dziećmi siedzą w śniegu na swoich płaszczach i kocach, znużeni, a jednak na tyle silni, by dzielić się szeptem i trzymać za ręce. Trwają modlitwy.

Raz za razem w te grupy wbija się światło reflektora, osacza je i paraliżuje na moment najdrobniejsze ruchy. Nawet kłębki pary wydają się wtedy zamierać w ich ustach.

Kramer przechodzi obok strażnika i potem obok kolejnego. Obydwaj ze swoimi psami, które zna z imienia, bo wszyscy tu należą do numeru „IV”. Praca jest trudna, „trudna, ale nie jest ciężka” jak mawia Moll. „Zobaczyć to wszystko, a jednak pozostać przyzwoitym człowiekiem...” – zdanie to tkwi w Kramerze boleśnie niczym osinowy kolek, lecz zarazem napawa go dumą.

W snopie światła sunącego po twarzach Kramer nagle zauważa coś znajomego, wzdyga się, potem mruży oczy. „Ta postać opierająca się o brzozę... Czy



to możliwe?” Strażnik z psem ustępuje mu z drogi. Zdawkowo wymieniają się świątecznymi pozdrowieniami.

A jednak nie mylił się. Parę metrów przed nim stoi Cohn, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Ten sam profil, ta sama szczupła, młodzieńcza niemal postura. Szczuplejszy może, ale nadal dobrze ubrany. Kramer opuszcza latarkę.

– Cohn? – pyta z nadzieją w głosie.

– Tak?

Dr Cohn – sąsiad i lekarz rodzinny, zarazem właściciel domu, w którym ojciec Kramera dorobił się pozycji dozorca. Zdezorientowany i pełen lęku nie poznaje go.

\* \* \*

Moll zeskakuje z motoru i wystrzeliwuje do wejścia, podczas gdy Kramer wkraza na podwórze od drugiej strony, Moll wrzeszczy i wymachuje pałąk w prawej ręce, lewą sięga do kabury.

– Ty!

Wyszukał jednego z „Sonder” i ten próbuje teraz zniknąć mu z oczu, zapaść się pod ziemię. Zgarbiony zaczyna w pośpiechu gmerać w stercie sortowanych ubrań. Otto nie jest w dobrym nastroju. Podobno Żydzi nazywają go „Malachamoves” – Aniołem Śmierci. Człowiek z czerwonym krzyżem na plecach zatrzymuje się po pierwszym uderzeniu, pośpiesznie zdejmując niebieską czapkę i chyli głowę.

– Wypiąć pierś! – wrzeszczy Otto i wciska mu papierosa pomiędzy drżące popękane wargi.

– Na wprost patrz!

Moll odskakuje parę kroków okręca się w piruecie, jest zauważalnie pijany. Ślepy na prawe oko, lewym – strzelec wyborowy.

Kramer patrzy na to nie po raz pierwszy. Chce przerwać ten cyrk.

– Oberscharführer melduje się na służbie w Krematorium IV! – salutuje, ale Moll wyciągnął już Lugera i odgania go niecierpliwym gestem. Jest wściekły.

– Ja, ja...

Więzień z papierosem w ustach stoi sparaliżowany.

– Scheisse, Kramer, daj mu ognia! To rozkaz! – dodaje, widząc, że ten się ociąga.

Kramer podchodzi i stara się zapalniczką odpalić papierosa. Udaje się za drugim razem i ledwo cofa rękę, pada strzał. Moll jest dobry. Kurewsko dobry. Szczerzy zęby.

– Stop!

Przez chwilę Kramer zastanawia się czy zawołanie to skierowane jest do niego czy jego ludzkiego wraku, któremu Moll właśnie wystrzelił z ust papierosa. Obydwaj – więzień i SS-Scharführer stoją przez chwilę w tej samej pozycji niczym po obydwu stronach lustra – nie wiedząc, co przyniesie następna chwila.

– Jeszcze raz.

– Herr Hauptscharführer, mam prośbę...

– Halt die Schnauze, Kramer. Jest wigilia. Pozwól mi się trochę zabawić, verdammt!

Jawohl, mein Hauptscharführer, ale mam pytanie...

Otto Moll nie pozostaje głuchy na problemy swoich podopiecznych, więc Kramer ma czas na przedstawienie swoich potrzeb. Prośba jest wyjątkowa, świąteczna: dawne czasy, rodzice, sąsiedzi, heimat itd.

W międzyczasie więzień próbuje czmychnąć, ale nic z tego... zatrzymuje go uniesiona lufa Lugera.

„Otto nie jest złym człowiekiem, tylko... dupkiem poprostu” – myśli Kramer.

Moll chybi, i zaraz potem od niechcenia oznajmia:

– Zrobię ci ten prezent, Hans! – wydaje się ubawiony, prawie że szczęśliwy. Klepie go po ramieniu.

– Jakie to wszystko małe... – wykonuje zamaszysty ruch ręką uzbrojoną w pistolet i już w następnej chwili przywołuje do siebie Oberkapo przekazując mu wszystkie instrukcje. Wreszcie odwraca się z pytającym wzrokiem do Kramera.

– Jeszcze szachy.

\* \* \*

Leżą w swoich łóżkach i żyją. Dzisiaj nie było więcej pracy niż zwykle. Przestrzał policzka to nic. Nadal można żreć, nie z pełną gębą, ale zawsze...



Rys. Wojtek Łuka



Chanukka, to było dawno temu. Słowo z innego świata. Nocna zmiana zakończona. Jest ciepło i wiedzą, dlaczego jest ciepło – ci od pieców, ci od ubrań, od złotych zębów i ci od kobiecych włosów. Zjedli, a kiedy się jest najedzonym to zaczyna się myśleć o innych rzeczach. Nigdy nie było inaczej. Myślą więc, co przyniesie jutro wiedząc, że przyniesie tylko śmierć wszystkim tym pięknym i pełnym życia: kobietom, ich ciałom pełnym niewinnej zmysłowości, dzieciom do samego końca tkwiącym w zabawie i starym pełnym woli i zarazem pokory. Kurwom i profesorom, matkom i niemowlęciom, ojcom, drobnym złodziejaskom, bezdomnym i milionerom – wszystkim, którzy przyjdą i zostaną stłoczeni na stojąco w bezimienną masę aż każdemu z nich zabraknie tchu. W ich oczach będą pytania, na które już nikt nie znajdzie odpowiedzi, ale nawet te twarze piękne będą do końca, do chwili, kiedy zatrzaskną się ciężkie zasuwę w stalowych drzwiach.

Potem minie dziesięć, piętnaście minut, aż niczego nie będzie już słycać, a my, zaczniemy Was wyciągać, śliskich od ekskrementów, zmienionych w czarnoskóre potwory z przekrwionymi oczyma i boleśnie wykrzywionymi twarzami, które wyłonią się z kłębowiska ramion i nóg... Śmierć jest zastygłym oceanem, każdego dnia, każdej nocy – o każdej porze.

Jesteśmy świadkami lękającymi się dotykać Was wyslizgujących się z naszych rąk. Używamy do tego pasów lub zakrzywionych lasek, przy pomocy których wrywamy Was pojedynczo z kłębowiska i wlecemy do pieców. I wciąż pracujemy, pracujemy, pracujemy, jak gdyby praca czyniła nas wolnymi, choć wiemy, że z każdą chwilą coraz bardziej stajemy się niewolnikami. Ale najgorsza jest nasza radość, że przybywa Was więcej i szara rzeka ludzi wciąż płynie. Bo kiedy opadnie, wyschnie, my sami pójdziemy drogą przez komin...

Ale rzeka nie wysychała, więc przez dwa, trzy kolejne dni mogli czuć się bezpiecznie. Może jeszcze tydzień, może dwa? Wszystko w końcu przemija, w ten lub w inny sposób.

- Moll, ten sukinsyn.
- Jak tam policzek Chaim?
- Zasnął. Daj mu spokój.
- Kramer rozpoznał swoich sąsiadów z Berlina.
- Berlin, Paris, Kroke, Amsterdam...
- Cóż ty wiesz o świecie, Icchak?
- Nadchodzi i przemija, Menachem.
- A Kramer?
- Zapytaj Noama, on ich obsługiwał.
- Noam?
- Zlituj się.
- Opowiedz.
- Wyciągnął ich z lasku i kazał nakryć do stołu.
- Ugościł ich?
- Tak. Był dobry transport. Konserwy rybne, kawior, sery, chleb, wódka. Stłukł mnie, kiedy przyniosłem wędzony boczek, a na koniec kazał przynieść szachy.
- Kto wygrał?
- Śmieją się wszyscy. Śmieją się pełnym głosem.
- Noam?
- Odwal się.
- Noam, proszę...
- Siedział z nimi przez całą noc i rozprawiali o dawnych czasach. Potem ich zastrzelili. Osobiście. Zaraz przy piecach. Kazał nam ich spalić, mnie i Chaimowi. Starego doktora, młodą kobietę i jej dzieci.
- Chaim?
- Stul pysk.
- Daj mu spać.
- Niech choć jeden z nas zawsze czuwa.

**Michał Szalonek.** Rocznic 1966. Urodzony w Katowicach. Od 1975 – 2008 w Berlinie. Robotnik sceniczny, robotnik budowlany, rolnik, tłumacz, pisarz, wydawca. 2001 – współtwórca Klubu Polskich Nieudaczników w Berlinie. 2003 – Pierwsza Nagroda w Konkursie Literackim rozgłośni Deutsche Welle za opowiadanie „Pokój”. 2007 – współtwórca wydawnictwa Feurig Verlag w Berlinie. Wyróżniany w konkursach literackich w kraju i za granicą. Mieszka i pracuje w Katowicach.



**T**omasz Moore był człowiekiem bardzo surowych zasad i ogromnego poczucia humoru. Kiedy prowadzono go na szafot, dowiedział się, że Henryk VIII w drodze łaski nakazał ograniczenie się do ścięcia go, bez zwyczajowego torturowania i męczenia. Powiedział wówczas do kata: – Nikomu z moich przyjaciół nie życzę, by udzielono mu takiej uprzejmości. Zasadniczym dziełem Morusa jest słynna „Utopia”, przedstawiająca życie w idealnym państwie, oczywiście nieistniejącym. W nim także znajdziemy elementy humorystyczne, choć niektóre o zdecydowanie czarnym zabarwieniu. Otóż jedną z zasad prawnych tego wymyślanego państwa było karanie śmiercią tych, którzy odważyli się prowadzić debaty polityczne poza parlamentem. Można sobie wyobrazić z łatwością, jak rozpaczliwie wydłubiona byłaby Polska, gdyby komuś przyszło do głowy przeforsować u nas taką poprawkę do konstytucji. Jasną stroną takiego rozwiązania byłby zapewne większy spokój w naszych domach, na ulicach, a także w mediach, bo i one, jak sadzę, podlegałyby temu prawu.

Autor „Utopii” z oczywistych względów nie wspomina o dyskusji światopoglądowej, której sam padł ofiarą. Nie należy się zatem obawiać, iż ta nieliczna populacja, która przeżyłaby pierwszy okres stosowania tego prawa umarłaby z nudów. O, nie. Być może wszędzie indziej, ale nie w Polsce. Przecież większość z nas nie tylko posiada swoje poglądy w sprawach zasadniczych i mniej zasadniczych, ale uważa za swój obowiązek uszczęśliwianie nimi bliźnich. Uczestniczyłem kiedyś w takiej dyskusji na temat tolerancji. W osłupienie wprawiła mnie wypowiedź jednego z prominentnych uczestników, który stwierdził, iż tolerancja to nic dobrego, bo zakłada obojętność, a obojętność nie przystoi chrześcijaninowi.

Wyobraziłem sobie przez chwilę, co by się stało, gdybyśmy z człowiekiem, z którym przyjaźnię się od ponad pięćdziesięciu lat odłożyli na bok ową ponoć zdewaluowaną postawę: on jest ewangelikiem, ja katolikiem. Gdybym zaczął przekonywać go do wyzności mojego wyznania nad jego, może nie byłoby drugiej nocy św. Bartłomieja, ale z pewnością nie byłibyśmy już przyjaciółmi. Z kolei jestem przekonany, że gdyby nie tolerancja mojej żony w stosunku do niektórych moich wad (słowo „niektórych” należałoby tu podkreślić) byłbym dziś najprawdopodobniej zdziwaczałym samotnikiem. Nie doszukiwałbym się

Z moich Górek  
WITOLD TURANT

## Wolność – artykuł kłopotliwy

zatem w tolerancji dzieła szatana, choć wszystko ma swoje granice.

Myślę, że podobnie jak wielu z nas, jestem w stanie tolerować różne niemiłe mojemu sercu i umysłowi poglądy dopóki, dopóty ich wyznawcy nie ingerują nadmiernie w moje życie, niekoniecznie nawet z użyciem przemocy. Na przykład bardzo nie lubię strofowania mnie za moje „lajki” na portalu społecznościowym. Jestem jednak skłonny tolerować pogląd wyrażony niegdyś pod moim adresem na gminnym zebraniu, że ludzie „stela” wiedzą lepiej, co dobre dla miejscowej społeczności. Zakładam, iż jest w tym jakieś ziarno zdrowej nieufności i być może złe doświadczenia. Natomiast byłoby mi przykro, gdyby pod takim hasłem na owo zebranie mnie nie wpuszczono. Nie mam nic przeciwko śląskiej „godce”, pod warunkiem jednak, iż nie muszę w niej pisać urzędowych pism i zdawać z niej egzaminu, gdyby przyszedł mi do głowy szalony pomysł, by ubiegać się o jakąś publiczną funkcję.

Mam także przykre odczucie ograniczania mojej wolności przez osoby czy nawet ugrupowania o różnych orientacjach, które prezentując publicznie swoje zapatrywania, do czego oczywiście mają prawo, w gruncie rzeczy starają się mi je w różny sposób narzucić i niczym przekupnie zachwalający natarczywie swój towar, pokrzykują na mnie: tego nie rób, bo spłoniesz w piekle, tak nie myśl, bo uznamy cię za idiotę. To szantaż, a więc także forma ograniczania wolności. Mam ochotę wtedy im powiedzieć: nie jestem dzieckiem. Jestem wolnym człowiekiem i jeśli zechcę to

spłonę i nikt mi w tym nie przeszkodzi; jeśli zechcę być idiotą, to nim będę. Nie wasza sprawa. Wiem jednak, że byłoby to rzucanie grochem o ścianę, podobnie jak tłumaczenie, że to narusza moją prywatność, tak jak media częstokroć naruszają mój status człowieka dorosłego, mówiąc mi, co powinienem myśleć.

Niedawno jeden z moich sąsiadów zagadnął mnie, za kim jestem, bo jak się wyraził, spotyka mnie pod kioskiem za każdym razem z inną gazetą. – To pan musi mieć niezłe namieszane w głowie. Przecież każda gazeta opowiada się z czymś innym. – Kiedy wytłumaczyłem mu, że co mam myśleć, to mniej więcej wiem, a gazety kupuję różne, żeby dowiedzieć się, co myślą inni, pokręcił głową z niedowierzaniem. Przecież media to nasze okno na świat, więc powinniśmy go widzieć takim, jakim go ukazują. Jedne mówią nam o dwudziestu pięciu latach pracy na sukces, niektóre mówią, iż sukces jeśli jest, to bardzo umiarkowany, a inne wołają wręcz o zdradzie interesów narodowych i konkurencję określają niemal mianem szatańskich wersetów, w zależności od ugrupowania, które wspierają, bądź które je wspiera. Nic dziwnego, że ten pluralizm ocen i dążeń postrzegany bywa jako ideowy zawrót głowy.

Skąd tak nagle naszły mnie refleksje o wolności? Przełom sierpnia i września to zbitka wielu rocznic związanych z utratą naszej narodowej wolności i próbami jej odzyskania. Myślę o tym z niejakim smutkiem, albowiem może to być kolejna okazja do ograniczania swobody ocen i poglądów, albowiem polska wersja pluralizmu tak często opiera się na wspomnianej już zasadzie szantażu: możesz wyrazić swoje poglądy; to ci zawsze wolno, ale pogódź się z tym, że otrzymasz etykietę zdrajcy, lewaka lub idioty czy mieszkańca ciemnogrodu. Nie tak to sobie wyobrażaliśmy w październiku 1980 roku, w ostatnich dniach sierpnia i w pełnym nadziei wrześniu, kiedy jedność była równie ważna jak wielość, ale co zrobić? Widać mamy to w genach, że trudno nam osiągnąć równowagę w życiu publicznym. Nawet gdy obserwuję chmury płynące nad moim domem w Górkach, wydaje mi się, że są zbyt gęste lub jest ich za mało; nigdy w sam raz. A ptaki w moim ogrodzie? Przecież mówi się „wolny jak ptak”. Tylko jakoś nikt nie pofatyguje się do dać, że granicą ich wolności jest kot czający się w zaroślach, na których prędzej czy później ten czy inny ptak musi przysiąść.

Z ANNA KAZEJAK o polskiej mentalności,  
współpracy z Duńczykami i „kierowaniu” debiutantami  
rozmawia MARTA BAŁAGA



Fot. z mat. prasowych

# Świat zapośredniczony

– Jak ocenia pani przyjęcie filmu na festiwalu? Samo Q&A po projekcji trwało dobre 40 minut.

– Naprawdę aż tyle? To chyba dobry znak, przynajmniej widzowie od razu nie wychodzą (*śmiech*). Wydaje mi się, że

film został przyjęty bardzo ciepło. Wczoraj mieliśmy ponad tysięczną widownię, dzisiaj było podobnie – „Obietnica” wyświetlono w olbrzymim kinie i większość widzów została, żeby się z nami spotkać. Myślę, że skoro ludzie

nie uciekają ani w trakcie seansu, ani tuż po nim, to film coś w nich najwyraźniej porusza. Moim zamierzeniem było, aby „Obietnica” stanowiła pewnego rodzaju zaproszenie do rozmowy. Chyba udało się to osiągnąć.

– **Filmy zrobione przez polskie reżyserki zostają ostatnio wyjątkowo dobrze przyjmowane poza granicami naszego kraju. Berlin jest tego doskonałym przykładem – w zeszłym roku nagrodami wyróżniono zarówno „Baby Blues” Katarzyny Rosłaniec, jak i „W imię...” Małgorzaty Szumowskiej. Dlaczego tak się dzieje?**

– Mam na ten temat swoją prywatną teorię, ale nie wiem, czy jest ona słuszną (*śmiech*).

– **Bardzo chętnie ją usłyszę.**

– Wydaje mi się, że kobiety w Polsce mają taki rodzaj... sonaru. Dużo lepiej rozpoznajemy problemy, które nie dotyczą tylko i wyłącznie Polski, ale całej kultury europejskiej. Jesteśmy w stanie opowiedzieć o nich szybciej, niż mężczyźni. Nie wiem jaka jest tego przyczyna. Ja bardziej odnajduję się w filmach koleżanek i sądzę, że ludziom, którzy patrzą na kino polskie z zewnątrz, też łatwiej zrozumieć te filmy. Wydaje mi się po prostu, że obecnie mamy szansę, żeby w końcu zabrać głos i skrupulatnie z tego korzystamy. Mężczyznom prawo głosu przysługiwało od zawsze, ale może teraz za bardzo nie wiedzą, o czym mówić.

– **Takie sukcesy jak w przypadku pani filmu, bo w końcu możliwość zaprezentowania filmu na festiwalu w Berlinie to wielkie wyróżnienie, nie do końca przekładają się na polski rynek. Najgorsze recenzje są zawsze autorstwa polskich krytyków.**

– Nie czytałam jeszcze żadnych recenzji mojego filmu i nie wiem, czy będą one miazdzące. Mam nadzieję, że nie (*śmiech*). Sama nie wiem z czego to wynika, ale mam dokładnie takie samo odczucie. „Obietnica” to koprodukcja z Danią, pracując z ludźmi za granicą widziałam, jak ten film odbierają, jak go odczuwają, na czym się koncentrują, co ich cieszy. W Polsce po pierwszych pokazach usłyszałam zupełnie inne opinie. Zagraniczna widownia przyjmuje ten film entuzjastycznie, mam więcej obaw związanych z polską premierą. Zupełnie nie wiem, czemu tak się dzieje. Czasem mam nawet wrażenie, że jest to rodzaj jakiejś zaciekłości ze strony polskiego środowiska filmowego i ze strony krytyków. Być może na tym właśnie polega polska mentalność – na równaniu do dołu, na tym, żeby tych, którzy próbują się wybić zrównywać z resztą. To absurdalne, bo jeśli my sami nie będziemy się wspierać, jeśli nie będziemy sobie sami pomagać, to będzie nam wszystkim o wiele trudniej. Życzę moim koleżankom i kolegom jak najlepiej, bo dla naszego wspólnego dobra i dla dobra naszej kinematografii ważne jest to, żeby nasze filmy były pokazywane za granicą.



– Czy to, że „Obietnica” powstała w koprodukcji z Danią wpłynęło na sam film? Ta historia mogłaby wydarzyć się w wielu miejscach, niekoniecznie w Polsce.

– Na pomysł, żeby „Obietnica” była koprodukcją wpadłam już na samym początku, w związku z czym prace nad scenariuszem zmierzały do tego, aby tę historię zuniwersalizować. Oczywiście miała być przedstawiona w konkretnych realiach, ale ważne było dla mnie to, żeby można było ją zrozumieć w każdym miejscu na świecie. Takie było od początku moje założenie. Myślę, że ten duński aspekt w filmie mocno się zaznaczył, bo wpływ na jego ostateczny kształt miał duński montażysta, dźwiękowiec i kompozytor (Morten Højbjerg, Kristoffer Salting i Kristian Eidnes Anderson – *przypis autorki*). Mam nadzieję, że przez to nabrał nowoczesnego stylu, który nie kojarzy się może z polskim kinem. Docierają do mnie czasem głosy, że film ma taki duński „sznyt”.

– Z pewnością przemyciła pani do niego duńską estetykę. Film jest bardzo piękny wizualnie, aż... pachnie czystością. Czy biorąc pod uwagę to, że sama historia nie należy do lekkich, nie chciała go pani trochę przybrudzić?

– Nie uważam, żeby był przeestetyzowany, sama tego w kinie nie lubię. Myślę, że jeśli chodzi o wizualną stronę filmu, taka estetyka jest mi po prostu bliska. Nie chciałam robić szarego, brudnego filmu, nie chciałam też go przeestetyzować, bo to byłoby największą zbrodnią. Może następnym razem pójde jeszcze dalej, jeśli tylko pozwolę mi na to fabuła. Być może wtedy zdecyduję się na to, by bardziej poeksperymentować. Pewne rzeczy w mojej głowie wyglądały inaczej, ale nigdy nie jest się w pełni zadowolonym. Ważne jest to, że teraz, kiedy jest już po wszystkim i oglądam ten film na spokojnie, myślę, że nie jest źle, że jest w porządku. Nie wstydzę się mojego filmu.

– W poprzednim filmie skupiła się pani na zagubionych dwudziestolatkach, teraz bohaterowie są jeszcze młodszy. Skąd zainteresowanie etapem wchodzenia w dorosłość?

– Myślę, że „Obietnica” nie opowiada tylko i wyłącznie o młodych ludziach. Od nich się zaczyna, ale później ta perspektywa się rozszerza, zaczyna obejmować też pokolenie ich rodziców. A skąd zainteresowanie młodymi? Może wynikało to z tego, że byli mi bliżsi niż starsze pokolenie. Niestety, to się już nieuchronnie zmienia (*śmiech*). Wydawało mi się, że opowiadając o kobiecej agresji dobrze byłoby umieścić bohaterów w takim momencie życia, kiedy rządzą nimi emocje. Nie wiedzą jeszcze, jak sobie z tym poradzić, nie mają narzędzi do tego, żeby to wszystko racjonalizować.

– Słuchajcie, idźcie dalej bo mi przeszkadzacie! (grupa młodziutek aktor

– Na tegorocznym Berlinale nie brakło polskich akcentów; Wilhelm i Anka Sasnalowie zaprezentowali swój najnowszy film „Huba”, który można było obejrzeć zaledwie kilka tygodni temu we Wrocławiu podczas festiwalu T-Mobile Nowe Horyzonty, Marcin Malaszczyk przyjechał z dokumentem „Orbitalna”, Wojciech Bąkowski – z „Pogorszeniem widzenia”, a Ewa Borysewicz pokazała krótkometrażową animację „Do serca Twego”. Największym zainteresowaniem cieszyła się jednak zaprezentowana w skierowanej do młodszych widzów sekcji Generation „Obietnica” Anny Kazejak-Dawid, zrealizowana w koprodukcji z Danią opowieść o tragicznych skutkach pierwszej miłości.

Pochodząca z Bytomia reżyserka ma na swoim koncie między innymi świetnie przyjętą nowelę „Oda do radości” oraz nakręcony w 2010 roku film „Skrzydlate świnię”. Za ten ostatni przyznano jej Kryształową Gwiazdę magazynu Elle na Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni pisząc w uzasadnieniu: „wyjątkowej kobiecie za osobowość, energię i siłę przetrwania w męskim świecie kina, za talent i pasję”. Nic dziwnego, że oczekiwania wobec najnowszej filmu od początku były wysokie.

„Obietnica” trafiła do polskich kin w marcu tego roku, w przeciwieństwie do poprzednich filmów reżyserki nie została jednak przyjęta zbyt entuzjastycznie. Co ciekawe, spodziewała się tego nawet sama reżyserka – „zagraniczna widowia przyjmuje ten film entuzjastycznie, mam więcej obaw związanych z polską premierą. Zupełnie nie wiem, czemu tak się dzieje.” – powiedziała Kazejak-Dawid na samym początku naszego spotkania w zimnym Berlinie.

– rów z filmu próbuje zwrócić na siebie uwagę reżyserki – *przypis autorki*)

– Widzę, że przywiozła pani ze sobą obsadę (*śmiech*).

– Dzieciaki.

– Zawsze przestrzegają przed pracą z dziećmi i ze zwierzętami.

– Nieprzypadkowo (*śmiech*). Trochę mnie to kosztowało nerwów, ale myślę, że ostateczny efekt jest dobry.

– W filmie pojawiają się znani aktorzy, na przykład Andrzej Chyra, pozostają jednak na drugim planie. To właśnie debiutanci dźwigają „Obietnicę” na swoich barkach. Nie wiem, czy mogę użyć takiego określenia, ale jak pani nimi kierowała?

– Myślę, że to bardzo dobre określenie. Chciałam znaleźć aktorów, którzy nie tyle potrafią grać, ile po prostu są. Okazało się to bardzo trudne i zajęło nam dużo czasu. Później, kiedy już udało się

skompletować grupę młodych ludzi mających w sobie przestrzeń na to, żeby pomieścić tych bohaterów, okazało się, że prawdziwe wyzwanie dopiero przede mną. Nie można było po prostu czegoś od nich zażądać, bo nie rozumieeli, co mają zrobić. Trzeba im było to pokazać, a czasami wręcz nimi sterować i mówić, żeby teraz poszli w tamto miejsce, a potem ruszyli ręką.

– Pozostawienie ich samym sobie nie wchodziło w grę?

– Nie. Myślę, że to mylne wyobrażenie, choć z pewnością istnieją twórcy, którzy tak pracują z naturščzykami i uważają, że wystarczy postawić ich przed kamerą. Ja tak nie pracuję z aktorami i trudno mi sobie taką pracę w ogóle wyobrazić. Dobrze wiem, co ma się wydarzyć przed kamerą, nie potrafię pozwolić sobie na luz. W „Obietnicy” starałam się połączyć ich wrażliwość z moim przygotowaniem, ale powiem szczerze, że było to strasznie wyczerpujące. Czasami, gdy na planie pojawiali się profesjonalni aktorzy, sprawiało mi to ulgę.

– Czy wsparcie doświadczonych aktorów pomogło debiutantom, czy tylko uwidoczniło ich braki w warsztacie?

– Wybrałam aktorów, którzy byli gotowi na takie spotkanie. Nie chcieli ani zastraszyć młodych, ani ich przytłoczyć. Doskonale zdawali sobie sprawę, że to oni będą musieli się do nich dopasować. „Obietnica” nie jest popisem jednego aktora, od początku chodziło o to, żeby wszyscy się nawzajem wspierali.

– Bohaterowie nieustannie siedzą na skajpie, piszą SMS-y. Tylko w taki sposób się ze sobą komunikują. Czy od początku miało to stanowić aż tak dużą część filmu?

– Rola technologii w filmie stopniowo wzrastała. Wykorzystaliśmy te różnice urządzenia po to, żeby pokazać emocjonalną pustkę. Bohaterowie filmu pragną bliskości, ale używając tych wszystkich za pośrednictwem tak naprawdę sami się jej pozbawiają. Żyjemy w czasach, w których dużo trudniej jest się napiąć przeciw siebie i powiedzieć: kocham cię, nienawidzę cię. Łatwiej to wysłać SMS-em, choć wtedy traci to znaczenie. Myśląc o naszej bohaterce i jej umiejętności manipulacji wiedziałam, że za pomocą takiego narzędzia jak skajp może ona ukryć swoje uczucia i emocje. Przez to łatwiej steruje *Jankiem*.

– Odgłos włączania skajpa to prawie motyw przewodni filmu.

– Tak, długo rozmawiałam o tym z dźwiękowcem. Początkowo chciałam nawet stworzyć wrażenie takiej kakaofonii dźwięków; tu dzwoni telefon, tu skajp, tu przychodzi SMS-y. To wszystko nas otacza, a my tak naprawdę już tego nawet nie słyszymy. Urządzenia komunikacji są w pewnym sensie głównymi bohaterami filmu.

– Dziękuję za rozmowę.

**A**nna Kazejak-Dawid ma na swoim koncie, nakręconą wraz z Janem Komasą i Maciejem Migasem obsypaną nagrodami „Odę do radości”, dokument o wczasach wagonowych „Bocznicą” oraz „Skrzydlate świnię” z udziałem Pawła Małaszyńskiego, opowiadające o grupie przyjaciół z małego miasteczka, których połączyła pasja do piłki nożnej. Jej najnowszy film, „Obietnica”, został zaprezentowany po raz pierwszy na prestiżowym festiwalu w Berlinie i porusza zupełnie inny temat – świat współczesnych nastolatków i bolesnych pierwszych miłości. Tak intensywnych, że aż prowadzących do tragedii.

*Janek* i *Lila* (Mateusz Więclawek i Eliza Rycembel) to zakochana po uszy licealna para. Pewnego dnia *Janek* popełnia głupi błąd. Dziewczyna nie jest w stanie mu wybaczyć i nieoczekiwanie z nim zrywa. Pomimo prób i zapewnień o prawdziwości żywionych do niej uczuć zupełnie go ignoruje, nie odpowiada na wiadomości i nie odbiera telefonów. Gdy zrozpaczony chłopak nie daje za wygraną, *Lila* postanawia wymóc na nim pewną obietnicę. Jeśli ją spełni, znów będą razem. To jego ostatnia szansa.

W ostatnich latach mamy do czynienia z dość absurdalną sytuacją – nagradzane za granicami kraju dzieła młodych filmowców, zwłaszcza kobiet, w Polsce przyjmowane są z jadowitą złośliwością. Krytycy nie pozostawiają na nich suchej nitki, a twórczynie skarżą się na brak zrozumienia, chorą polską mentalność i stetryczały światek filmowy, który wybiera „Wagę” na kandydata do Oscara. Trudno nie przyznać im racji. „Obietnica” to kolejny polski film, który zostaje ciepło przyjęty za granicą i kolejny sukces polskiej reżyserki. Niestety, jest to także kolejne rozczarowanie w pełni zasługujące na nieprzychylnie recenzje.

Film Kazejak-Dawid z wielu przyczyn bardzo chciałoby się polubić; opowiada o czymś innym niż Ważne Wydarzenia Historyczne, nie pokazuje polskiej martyrologii, nie pławi się we własnym nieszczęściu. Jest porządnie zrealizowaną, dobrze wyglądającą produkcją. Produkcją pustą w środku jak przysłowiowa wydmuszka.



## Mała Lady Makbet

Dramaty ukazane w filmie – nie poruszają. Emocjonalne rozterki bohaterów – nie obchodzą. W przypadku historii, która w zamierzeniu jest psychodramą dla nieletnich, stanowi to poważny problem. Wydaje się, że winę ponosi zwłaszcza przypominający szkolne wprawki scenariusz, w którym B wynika z A i prowadzi do C. Nie ma tu wielu zaskoczeń. O ile jednak fabułę można oskarżyć „tylko” o przewidywalność, w przypadku dialogów robi się znacznie gorzej. Bohaterowie „Obietnicy” nie rozmawiają ze sobą jak prawdziwe nastolatki, tylko recytują formułki od czasu do czasu wrzucając soczyste przekleństwo, żeby zrobiło się autentyczniej. Po niektórych stwierdzeniach widzowie wybuchali w kinie śmiechem i nie moż-

na ich za to winić – to film, w którym padają tak błyskotliwe spostrzeżenia jak: „Idę sikać. Poradzę sobie”, lub „Nie jestem na bieżąco. Mieszkam w Kopenhadze.”

„Obietnica” irytuje, bo irytujący są jej bohaterowie. W przerwach od hipsterskich imprez wciąż wysyłają SMS-y lub rozmawiają/onanizują się na skajpie, a emocjonalną bezsilność wyrażają poprzez... miarowe uderzanie kijem w drzewo. Anna Kazejak zatrudniła zarówno doświadczonych aktorów (w rolach drugoplanowych wystąpili między innymi Andrzej Chyra, Dawid Ogrodnik i Magdalena Popławska), jak i zupełnych debiutantów, ale jednowymiarowe role i głupawe dialogi nie pozwalają im na pokazanie swoich prawdziwych umiejętności.

„Obietnica” została zrealizowana jako koprodukcja polsko-duńska, dlatego też powstał film w założeniu uniwersalny, a w praktyce – dla nikogo. Wszyscy są piękni, mają idealne cery o złotawym odcieniu, a biel domu, w którym mieszka główna bohaterka *Lila*, aż bije po oczach. Trudno odnaleźć się w pokazywanych przez Kazejak-Dawid realiach. Gdyby nie zbrodnicze nastolatki, film można by wykorzystywać jako reklamę województwa zachodniopomorskiego.

Anna Kazejak-Dawid ma talent i siłę przebicia. Jej najnowszy film nie przekonuje, ale przynajmniej udowadnia, że nie zgadza się ona na kroczenie wytartymi ścieżkami. Pozostaje mieć nadzieję, że kolejny stanowić będzie tak potrzebny kopniak wymierzony polskiemu środowisku filmowemu. Tym razem jeszcze się nie udało.

MARTA BAŁAGA

### Obietnica

Reżyseria: Anna Kazejak  
Obsada: Eliza Rycembel, Mateusz Więclawek, Magdalena Popławska, Andrzej Chyra  
Produkcja: Łukasz Dzieciol  
Muzyka: Kristian Eidnes Andersen  
Montaż: Morten Hojbjerg  
Zdjęcia: Klaudiusz Dwulit  
Polska, Dania 2014  
97 min



Kadr z filmu „Obietnica”. Na zdjęciu Eliza Rycembel (*Lila*)



...i Mateusz Więclawek (*Janek*)



To jest późny autoportret. Witkacy przenikliwy, świdruje wzrokiem. W tle dymiące kominy fantastycznych, zrujnowanych fabryk – zgłiszcza cywilizacji. Artysta mawiał o portretowaniu – „wziąć kogoś na aparat”. I rzeczywiście, jego „aparat” to precyzyjna lampa analizująca. Bardzo ważny jest ten autoportret, bo jeden z ostatnich – 1938 r. Pod spodem „TB” (typ B – „charakterystyczny”) i skrót „2NPI” czyli nie paliłem dwa dni.

Sięgam po „Narkotyki” Witkacego. Najlepiej czyta się te teksty przed zażnięciem. Literacko jest to „czysta forma”, wchłania się frazy z rozkoszą, być może wbrew zamysłowi autora. Ta książka to głęboka i jednocześnie ironiczna analiza uzależnień pisana witkacowym językiem. Oto próbka z rozdziału o nikotynie:

„Teraz opowiem wam po kolei przeżycia tego, który palić przestał z dnia na dzień, ale niestety dopiero od jutra – te słowa piszę z parszywą «kumetą» w plugawym pysku, zatruty zupełnie, z trudem utrzymujący się przy tak stosunkowo łatwej pracy jak pisanie tego «dziełka», które tym niemniej powinno być przez każdego przeczytane i na wszystkie języki przetłumaczone. Tak, od jutra, od jutra – trudno. Ale zobaczymy, czy właśnie od jutra nie stanie się to prawdą i czy ja, Wielki Mistrz Czasowego NP., nie pokażę wam wyższej marki i czy nie przestanę od jutra palić na zawsze.”

Można otworzyć na dowolnej stronie, wszędzie frajda z czytania jest taka sama. Styl Witkacego nie do podrobienia – kawa na ławę, genialne neologizmy uparcie stosowane („Choćby stu profesorów powiesiło się na własnych kiszkach – język jest rzeczą żywą”) i przemycane przy okazji przemyslenia ogólnie:

„Ciągłe obniżanie poziomu artykułów, książek i teatru do gustu danego przekroju społecznego doprowadza do tego, że wychowuje się coraz niższej wartości pokolenia, do których poziomu znowu trzeba się obniżyć, i w ten sposób dojdzie się wreszcie do społeczeństwa kretynów, dla których naprawdę sztuki Kiedrzyńskiego będą «miezrozumiałstwem» w teatrze z powodu ich zbyt technicznej filozoficznej głębi, dla których muzyka kabaretowa nawet stanie się poważną, a wagonowa lektura dzisiejsza będzie tak trudna, jak dziś jest dla nich teoria Einsteina”

Witkacy przewidział nasze czasy, w których jeden z największych portali internetowych (z jego poczty korzystają miliony ludzi) informuje w nagłówku: „Lekarze w szoku! Kobieta zgwałcona przez kalmara”, a buźka taka ☺ lub taka ☹ zastępuje wszelkie subtelności ludzkich doznań, kiedyś precyzyjnie opisywanych w listach.

Ale dla wszystkich zajmujących się pracą intelektualną, Witkacy (mimo katastroficznych, sprawdzających się wizji o mechanizacji społeczeństwa) jest ratunkiem. I nie wiem, czy nie napiszę kiedyś o terapeutycznym oddziaływaniu tekstów Witkacego, tak jak Alain de Botton napisał o zbawiennym wpływie lektury Prousta. Witkacy opisuje np. niemożność twórczą (stan, który zdarza się przecież każdemu parającemu się pisarstwem) i proponuje metodę pisania „zastępczego”. I to, że z tej w założeniu mniej ambitnej formy może coś wyjść, bo mimo wszystko jest działaniem umysłowym.

„Zacząłem pisać tę przedmowę (do «Narkotyków» przyp. mój) z rozpaczą, nie mogąc się zabrać z powodu zatrucia nikotyną do czegoś lepszego, chcąc raz zacząć to „dziełko”, usprawiedliwić przed sobą własną

## KOLEKCJA MALARSTWA POLSKIEGO



Stanisław Ignacy Witkiewicz, „Autoportret”, 1938.

# Stanisław Ignacy Witkiewicz

swą egzystencję. Czy wszelka «twórczość» nie pochodzi z tych źródeł?”

Z perspektywy czasu Witkacy jawi się jako wieszak i mędrzec w rozumieniu cywilizacji i sztuki. Kiedyś odwiedził go Strzebiński – „sierjorny” awangardzista i krzywił się na krzykliwe portrety – bohmoazy zawieszane na ścianach. Witkacy zaśmiał się szatańsko i zgasił słynnego unistę jednym zdaniem: „To nie jest sztuka”. W ten sposób zdjął swą twórczość z piedestału i wytrącił Strzebińskiego w wszystkie argumenty. Odebrał amunicję.

Witkacy wiedział, że sztuka się kończy i dlatego robił nieustający happening pod nazwą „Firma portretowa”. Był w tym tak nowoczesny jak Kantor ze swoimi działaniami sześćdziesiąt lat później. I tak jak skrajną (według niektórych ostatnią) postacią malarstwa były unistyczne obrazy Strzebińskiego, tak skrajną postacią działania artystycznego była Firma Portretowa, kpiąca z samej siebie i ze swojej działalności.

WOJCIECH GRABOWSKI

# 44 sonety

siedemdziesięciosiedmiolatka,  
Tadeusza Kijonki  
wysnute z szelestu liści  
jego siedmiu brynowskich brzóz

MAREK PIECHOTA

Sonet zwiastuje odświętną elegancję, harmonię i dyscyplinę, domaga się mistrzostwa, choć pojawiały się też próby zamarkowania wystylizowanej, pozornej niedbałości. Wzbudza tęsknotę za arcydziełem już w konkurencji indywidualnej, czternastowersowej zaledwie serii olśnień, a cóż dopiero powiedzieć o wieloboju drużynowym – dokonaniach zespołu wysłanego do zmagania (dialogu) z czytelnikiem w ramach mniej lub bardziej rozbudowanego cyklu. Horacy, jeden z najwybitniejszych liryków wszech czasów, unieśmiertelniający ośnione stoki Sorakte w podarowanej mu przez Mecenasą w 33 r. p.n.e. (sporo tu liczbowych palindromów) posiadłości w Sabinum, nie znał tej doskonałej formy.

Sonet podobno powstał na Sycylii w XII lub XIII w., liczy więc śmiało ponad 7 stuleci. Na potrzeby tej recenzji przyjmijmy, że ma ok. 777 lat. Filologom kojarzy się z włoską poezją erotyczną, z Dantem Alighierim, który uczynił adresatką swych lirycznych precjozów Beatrycze Portinari, zresztą już po jej śmierci (jest bohaterką części z ok. 80 liryków zbioru *Vita nuova*, po 1292) oraz z Francesco Petrarą, który dedykował do dziś nieodgadnionej Laurze (może żonie szlachcica Hugona de Sade?) spisany w języku tokańskim w l. 1330–1365 starannie skomponowany zbiór „dziennik duszy” *Il Canzoniere* (tam m.in. 317 sonetów).

Sonet Włosi dzielili na cztery strofy: dwa czterowersze (tetrastychy) i dwa tercety. Osiem wersów oddawano narracji lub opisowi, kolejnych sześć – liroyce lub refleksji filozoficznej o nadrzędnym znaczeniu wobec treści tetrastychów. Rymowano w rytmie *abba abba cdc dcd*. Poeci francuskiej *Plejady* (m.in. Pierre Ronsard) eksper-

mentowali w XVI w. z formą, tercety zastępowali dystychem i kolejnym czterowerszem *cc deed* lub trzema dystychami *cd cd ee*. Poeci angielscy nie chcieli naśladować Włochów i Francuzów: Edmund Spencer skłaniał się ku trzem tetrastychom i dystychowi (*abab bcbc cdc d ee*), William Szekspir ograniczył się do dwóch czterowerszy i sekstyny *abab cdcd efefgg* (trzy strofy, czternaście wersów – najbliższej liczby π). Dbano o równozgłoskowość w wersach.

Nasz Jan Kochanowski umieścił w kolejnych księgach *Fraszek* tylko trzy sonety: *Do paniej* (I 97) w typie czterech strof Spencera, ale o odmiennym układzie rymów (*abba cddc efefgg*), *Do Franciszka* (II 105) i *Do St. Wapowskiego* (III 24) – w typie włoskim. Dopiero Mikołaj Sęp Szarzyński, poeta *post Cochanoivium primus*, pokusił się o napisanie niewielkiego cyklu: dochowało się sześć sonetów, pięć typu włoskiego (Sęp rymował tercyny w rytmie *cdc dee*) i jeden bliższy formie Spencera. Bez sonetu V *O nietrwałej miłości rzeczy świata tego* Sienkiewiczowskiemu Ketlingowi zabrakłoby słów i słynny monolog „Kochanie to niedola ciężka...” z *Pana Wołodyjowskiego* byłby zapewne o akapit krótszy.

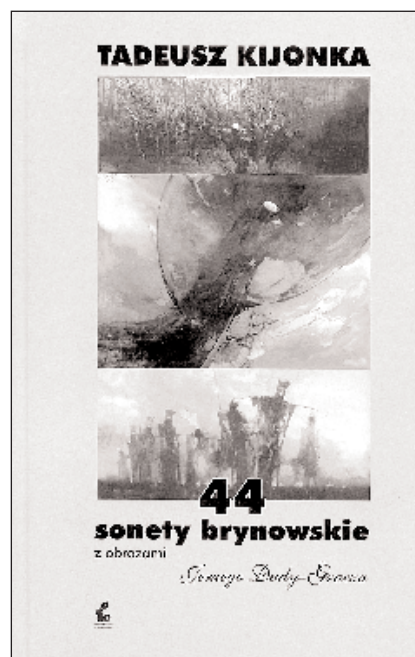
Sławę gatunku ustalili później Sebastian Grabowiecki, Jan Andrzej Morsztyn, Daniel Naborowski i Stanisław Herakliusz Lubomirski, jednak przez zaniechanie doby Oświecenia w polskiej sonetosferze wytworzono próżnię, w którą wtargnął z impetem dwoma rewelacyjnymi na polskim gruncie cyklami Adam Mickiewicz. *Sonety krymskie* i *Sonety odeskie* zaowocowały jednak także potopem sonetomanii. Ktoś powiedział, że marzeniem każdego Polaka w XIX w. było: napisać wiersz

(najlepiej gdyby to był sonet) oraz poleć za Ojczyznę. Prof. Józef Bachórz doliczył się w obrębie romantyzmu ok. 400 autorów wierszy. Gdy młodziutki Juliusz Słowacki wpisał na karty sztambucha swej mamy Salomei sonet *Już północ...*, na sąsiedniej stronie dopisał się sonetem pastiszem o chrapaniu jego wuj, młodszy brat mamy Jan Januszewski (zginął w powstaniu listopadowym).

Przerywam ten wywód. Nawet tak pobieżne referowanie „dziejów sławy” sonetu, doskonale znanych Tadeuszowi Kijonce, absolwentowi polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego roku 1960, musiałoby obejmować kilkadziesiąt nazwisk, kilka tysięcy tytułów cykli i poszczególnych wierszy, tudzież kilkadziesiąt tekstów anonimowych (garść nazwisk znajdzie Czytelnik w posłowniu omawianego tu tomiku kokieteryjnie nazwanym przez Edytę Antoniak-Kiedos *Nie tylko o 44 sonetach*). Sonety pisał także, wiosną 1939 roku, Karol Wojtyła. Wspomnę tu jednak o nowatorskich poczynaniach Stanisława Barańczaka, o jego *Sonetach łamanych* już u progu poetyckiej sławy zapowiadających dojrzałą *Chirurgiczną precyzję*.

Sonet ma swoje nieśmiertelne tempo, podejrzewane często o dostojność, słuch poetycki nieomylnie sprawia, że dobry autor nie spieszy się z pointą; przedwczesny wydzźwięk pali na panewce proch – z tego strzału nie będzie zdobyczy; spóźniony dośpiew – wiedział o tym Dante – już znużonego dopada słuchacza. Sonet to bodaj jedna z najtrudniejszych form, ustępuje tylko vilanelli.

Trzymam w ręku późny, a przecież młodzieńczo witalny, znakomicie doj-





rzały i przepięknie wydany, niewielki tomik siedemdziesięciosiedmiolatka, Tadeusza Kijonki: *44 sonety brynnowskie z obrazami Jerzego Dudy-Gracza* – edycję wysmakowaną Wydawnictwa Sonia Draga (Katowice 2014, s. [108]) – dedykowany „Zonie Zofii / i córce Justynie”. Wabi oko i zmusza do zastanowienia niepokojąca okładka zaprojektowana przez Dariusza Gawlika – relacje pomiędzy reprodukowanymi obrazami „wnikliwego satyryka”, na dobrej klasy papierze, a następującymi po nich sonetami zasługują na odrębne studium. Format świetnie dobrany dla wzrostu sonetu, lecz dla ogromnych płócien gorset to przyciasny; to jedyny mankament, jaki dostrzegam w tej edycji, ale widzę też, że cykl „Chopinowi”, obficie tu reprezentowany, składa się z 313 obrazów (znów palindrom).

Na pytanie Małgorzaty Kąkiel: „kto zdecydował o ozdobieniu tomiku obrazami Jerzego Dudy-Gracza?”, Kijonka odpowiada: „– To był mój pomysł. Byliśmy przyjaciółmi. Te obrazy pochodzą z jego wielkiego albumu chopinowskiego” (M. Kąkiel: *Śląsk, ziemia obolala – rozmowa z Tadeuszem Kijonką*, „Przeгляд”, nr 28/2014, s. 43). Nie zgadzam się z frazą Kąkiel „o ozdobieniu”, nie ma tu żadnego „zdobnictwa”, jest subtelna gra znaczeń naddanych, zamierzonego przenikania się sztuk, przywołująca kontekst myśli – wedle *Żywota wielkich mężów* Plutarcha – Simonidesa z Keos, powtórzony przez wspomnianego tu Horacego *ut pictura poësis* (*Ars poetica*, 361). „Poezja (poemat) jak obraz” – w tym tomiku zarówno obrazy malarza, jak i „plastyczne” myślenie kolekcjonera i dobrego użytkownika słów przenikają się subtelnie w ekfrastycznej ekwilibryście, oświetlają wzajemnie swoje osobne znaczenia i nabierają nowych w zespoleniu.

**O** *Sonetach brynnowskich* usłyszałem podczas uroczystości, gdy wręczał mi Jubilatowi tom *Po pierwsze: Śląsk. Tadeuszowi Kijonce w siedemdziesiątą rocznicę urodzin* (red. M. Kisiel, T. Sierny, Katowice 2007, ss. 453). Czytał je Autor w Bibliotece Śląskiej charakterystycznym, pewnym, a jednak pełnym liryzmu głosem, wybijając nogą rytm frazy epickiego w naszej tradycji trzynastozgłoskowca. Podczas powrotu do Tarnowskich Gór (kolega Jurek Paszek świadkiem) rozmawialiśmy niemal wyłącznie o tych sonetach. W sprawozdaniu z tego święta poezji fakt ten ostał się jako „przeczytanie 3 wierszy” (J. Starzyk: *Ach, co to był za jubileusz?* „Śląsk”, nr 12/2007, s. 47). „Uczcili wszyscy gościa – nie wszyscy poznali” – domykam ten akapit ostatnim wersem III spośród *Sonetów odeskich*; „gościem” u Mickiewi-

cza był „anioł”, ukochana bohatera lirycznego, nie sonet.

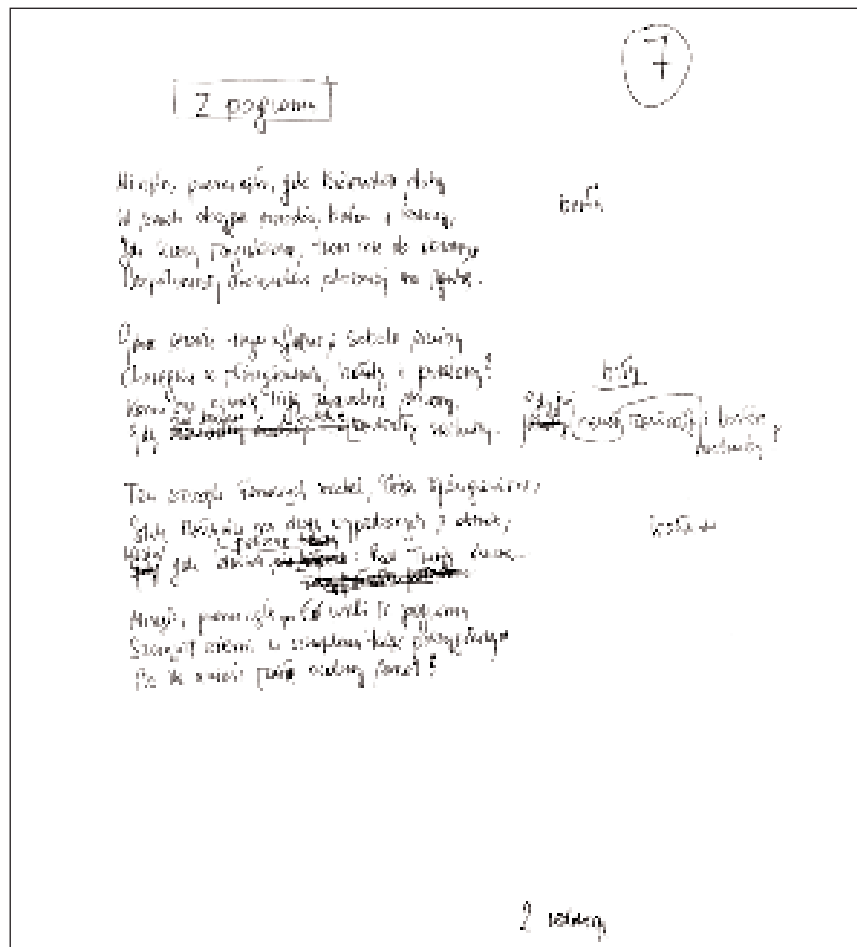
Przegapiłem druk 12 sonetów Kijonki w „Twórczości” i kolejnych 9 tamże, dopadłem je dopiero w obszernym wyborze jego liryki: *Czas, miejsca i słowa [wybór wierszy]*. (Akwaforty Jana Sznatlocha, Katowice 2013, ss. 462, ze świetnym [wstępem] Mariana Kisie-la). Kończył ten tom rozdział *Z sonetów brynnowskich* zawierający 14 wierszy (*W godzinie pytań, Do kresu, Flotylla, Porto Heli, Z pogromu, Syzyf, Konsylium, W ogień, Wyspa, Co noc, Do końca, Młyny Boże, W letargu, W zapaści*), ale przecież Poeta w przejmujący sposób zęgnął się wcześniej z bratem Edwardem w sonecie *Wolanie*, otwierającym rozdział *Pożegnania*.

Już w tym sonecie pojawia się czytelnia, choć delikatna aluzja do *Stepów akemańskich* Mickiewicza: „Słyszysz, nasłuchuj, kto i skąd cię woła” i konstytuuje się „sonet” jako bohater, interlokutor, współrozmówca, a może raczej adresat tej liryki układanej na kształt *soliloquium*, w którym nie ma przesadnie narzucającej obecności Boga, ale z całą pewnością jest Poezja („kiść sonetu” to jedna z wielu znakomitych metafor Kijonki). W jednym z wywiadów Autor nazywa sonet „pewnego rodzaju bytem”, może nawet swoim *alter ego*. Powtarza się też fraza o „śniegu przezczystym”, niemal

ramowo, w pierwszym i przedostatnim werse.

W rozdziale ściślej „domowym”, *Z imieniem Śląska*, czytam kolejny wiersz z przejmującą pointą: „Tylko sonet mi został – gdy łka śląska smuta” (ostatnie słowo jest też tytułem wiersza). To dojrzała liryka, w żadnym wypadku nie są to *Sonet* *Byronowskie*. Niezwykłość tomu *Czas, miejsca i słowa* zdziwiła samego Autora, gdy zrezygnował z reguły chronologicznej, pozwalającej „uchwycić rozwój twórczości poetyckiej z książki na książkę. Wybór został ułożony według głównych nurtów i rdzeni tematycznych” (*[wybór, który powstał]*, s. 11) i tych obszarów zainteresowań starczyło aż na 17 rozdziałów imponujących rozległością myślowych horyzontów i niemal niezauważalnym warszatem rytmicznym (to rzadki dar). Tam też znalazłem anons, że *Sonet* *brynnowskie* są gotowe do druku.

Jak powstawały? – Dowiadujemy się z wywiadu udzielonego Marcie Odziemek: „O tym, że będę pisał sonety, zdecydował przypadek. Otóż, kiedyś posadziłem w moim ogrodzie siedem brzoź. Każdej jesieni, kiedy wchodziłem do swojego domu, do przedsionka wpadała za mną taka chmura szeleszczących liści. I te porzucone liście stały się powodem, dla którego napisałem pierwszy sonet. A potem pojechałem na Równi-



Rękopis sonetu Z Horacego

cę, gdzie roztaczał się cudowny widok na pokrytą śniegiem Czantorię i wymyśliłem wersy kolejnego sonetu, nawiązującego do słynnej frazy François Villona „Gdzież są te niegdyśjsze śniegi” (M. Odziomek: *Sonety same chciały się pisać*, „Gazeta Wyborcza”, Piątek 27 czerwca 2014, s. 12). Horacy patrzył na Sorakte, Kijonka – na Czantorię, Dantego po zaświatach *Boskiej Komedii*, po *Piekle* oprowadzał Wergiliusz, po *Raju* – Beatrycze, Kijonkę po Niebie i Piekle śląskich krajobrazów, nie tylko okolic Radlina i Brynowa, i teże duchowości (ostrożniej może: mentalności? wrażliwości?) oprowadzają Horacy, Villon i Mickiewicz, i wielu innych – tak obszerny cykl ma tyle tajemnic, ilu znajdzie czytanych czytelników gotowych wypłynąć na ten „przewrót oceanu” znaczeń i odwołań do kultury wysokiej oraz wszelkich odcieni ludzkich odczuć.

Jak „się” pisały te sonety? – w pewnym momencie „okazało się, że jest ich 24, więc można by już wydać tomik. Przekroczyłem jednak tę liczbę i pomyślałem sobie, że wyznaczę sobie następną, symboliczną granicę. Wymyśliłem liczbę 33, oznaczającą wiek chrystusowy, symbolizującą okres przelomu. No ale znów ją przekroczyłem! Pomyślałem wówczas – piszę tyle, aż będzie tych sonetów 44 i się zatrzymam. I tak też zrobiłem, choć nie było łatwo, ponieważ one dalej chciały się pisać. No ale przerwałem. Stwierdziłem, że liczba ta z jednej strony zmusza czytelnika do szukania wątków romantycznych, z drugiej zaś nie musi znaczyć nic. Jest mocno osadzona w kulturze literackiej i to wystarczy” (tamże).

Tytuł wywiadu, że *Sonety same chciały się pisać*, jest genialnie i prowokacyjnie myślący. Dotyczyć może jedynie idei genezy, pewnej konieczności, z którą Poeta musiał się zmierzyć. Mówią niektórzy, że za pióro powinno się chwytać dopiero wówczas, gdy już nie można nie pisać... Na szczęście, poza reprodukcjami obrazów Jerzego Dudy-Gracza, w 44 sonetach brynowskich widzimy także rzecz bezcenną dla tekstologów i edytorów – podobizny brulionów trzech sonetów: ileż tam rękopiśmiennych przekreśleń, nadpisań, dopisań, podpisań, przedpisań i przetworzeń – literowych i słownych, niekiedy całych zwrotek pisanych na nowo, ileż prób pomieszania ustalonych już szyków słów...

Weźmy pierwszy z tych wierszy pysznie ilustrowanych stadium brulionowym: *Z Horacego* (pierwotny, słusznie zarzucony – czego nie będę tu rozwijał – tytuł *Z Horacy*), z introdukcją oczywistą (choć nieoczywista jest tak wczesna pozycja tego wiersza w cyklu, tym bardziej że nie było go w zbiorze *Czas, miejsca i słowa*) „Non omnis moriar – kto żyje, chce wierzyć”. We

wczesnych stadiach tworzenia sonetu Autor nie rozważał nawet klamry, powtórzenia w przedostatnim wersie tej *nomen omen* nieśmiertelnej Horacjańskiej frazy. Największy podziw budzą jednak próby „poprawiania” świetnych już rozważań i umiejętności (ziomylny, absolutny słuch literacki, zwany talentem) rezygnacji z tych zbędnych, pogarszających efekt poprawek. Ileż namysłu wymagał ostatecznie wers ostatni i rezygnacja z przestawienia szyku, z pozornej „lepszości” rozwiązania „Bo co do słów tych ten sonet dopowie”, na rzecz prostoty (naturalności i pewnego dostojęstwa) wersji wcześniejszej, która się na szczęście ostała: „Bo co ten sonet do słów tych dopowie”. Jak to dobrze, że Kijonka obywa się bez komputera, który nie unieważnia, a unicestwia wersje wcześniejsze i pozostawia „produkt finalny”, znacznie mniej ciekawy dla filologów niż brulion bliski palimpsestom.

A mamy jeszcze do wdzięcznych rozważań podobizny brulionów dwóch wierszy: *Z pogromu* (z umiarkowaną liczbą interwencji, rzecz jednak nie w ilości, a w jakości poprawek, a przecież w pamięć bodaj najpełniej zapadają frazy nieskalane poprawkami: „Komu na chwałę biją zniewolone dzwony” czy „Stuk kosturów na drogę wypędzonych z domu” – jakby „się napisały” z bezwstydną lekkością) oraz *Na wylot* (tu najwięcej poprawek na początku tekstu, ale i w środku znakomita podmiana „Władczych szalbierzy” na „Tych szarlatanów”, którzy zupełnie przypadkowo i nie w pełni synchronicznie zbiegli się w tyglu kultury współczesnej z tytułem książki Jerzego Stefana Ossowskiego: *Szarlatanów nikt nie kocha. Studia i szkice o Galczyńskim*, Kraków 2006).

Kijonką zdecydowanie zawładnął sonet włoski w wersji trzynastozgłoskowej dominującej nad jedenastozgłoskowcem (w proporcjach trzy do jednego), w tetrastychach z rymami okalającymi (*abba abba*). Sporadycznie w trzech tylko sonetach (*Konsylium*, *Leśnica* i *Final*) pojawiają się rymy męskie w wersach okalających czterowiersze i wówczas są to wersy dwunastozgłoskowe. Podobnie na zasadzie wyjątku pojawia się rym męski w tercynach (w sonecie *Do końca* – „sen”, „tlen”, „scen”). O ile jednak w obrębie części poświęconej głównie na narrację lub opis Autor stosuje się do zasad, o tyle w liryczno-refleksyjnych tetrastychach pozwolił sobie na mistrzowską wirtuozerię, rzadko spotykaną w twórczości jednego autora, w jednym cyklu – nigdy. Rozpoznał tu jedenaście wariantów rymowania: najczęściej widzę rytm *cdd ccd* (w 12 sonetach), *cdc ddc* (w 6), *cdc dcd* (w 5), rytm *cdc dcc*, *cdd cdc*, *cdc ccd*,

*cdc cdd*, *cdc dee* realizowane są w 4 sonetach każdy, rytmy *ccd dcd* i *cdc cdc* mają po dwie realizacje, wreszcie sonet ostatni *W zapaści* ma formę niepowtarzalną *cdd dcc*. A cóż powiedzieć o maestrii rymów wewnętrznych? Osobny temat to muzyczność tego wiersza. Sens (Kijonka) panuje nad formą, forma nie przeważa.

Osobny temat to sentencjotwórcza skłonność – bliska sonetowi, nieprzesadnie dotąd wykorzystywana – do gnomicznego skrót; wyrwę z kontekstu tylko dwa przykłady: „Tyle twego co sonet gdy już minie życie” (pointa wiersza *Co fala*; tytuły też falami powracają w cyklu: *Co echo*, *Co fala*, *Co noc*, *Co, kto, gdzie?*...), „A czas ma czas do końca – i na wszystko czas” (ósmo wers sonetu *Final*, czyżby było to echo: *Vanitas vanitatum et omnia vanitas* z *Księgi Koheletha*?). Osobny temat: wydaje się, że Kijonka rozmawia z Bogiem w kościółku św. Michała w Parku Kościuszki w Katowicach (*Modlitwa*, *Młyny* – pierwotny tytuł *Młyny Boże*, *Pasjans*, ale też w sytuacjach granicznych, w szpitalu – *Konsylium*, *Przebudzenie*, *Finisz*, *Do końca*, *Na kolanach*), nie w Archikatedrze Chrystusa Króla i powodem tej refleksji jest kolejna lektura cyklu, któremu patronuje oprócz wyimków z albumu Dudy-Gracza także barwny drzeworyt Pawła Stellera ze zbiorów Muzeum Historii Katowic z wizerunkiem tegoż ludowego sanktuarium.

Ile lektur, tyle odkryć. A nie wspominałem nic o erotykach (znakomite: *Łaska*, *Wyspa*). A motyw pamięci wielorako rozkłączony, zakorzeniony w autobiografii, pamięci o swoim dzieciństwie (*W zaspie*, *Na wylot*), o Mamie (*W zaspie*, *W objęciach*, *W żalu*, *W zapaści*), o bracie (*Wołanie*), o przyjaciółkach (*Porto Heli*, *Świadek*, *Popiół*), przepływającej przez rodzinny Radlin Leśnicy (*Leśnica*, *Co echo*), o Śląsku i Polsce takich, jakich już nie ma (*Z pogromu*, *Smuta*). Ile lektur, tyle odkryć. W sonecie pierwszym *Do kresu* widzę półwers: „Z gór zeszyły śniegi” i przypomina mi się nie tylko Sorakte Horacego i Czantoria Kijonki, ale nadto *Pierwiosnek* Mickiewicza („wstęp” do *Ballad i romansów*): „Z gór białe nie zeszyły pleśnie”. Powrót do prostoty. Ale Mickiewicz wtedy dopiero się uczył.

Rytm tych wierszy jest tak porywający, że kolejny raz udało mu się wtargnąć do prozaicznej recenzji, wpycha się do pointy: Sonet pokochał Tadeusza, A on się tylko mu odwdzieczył! (Rozważałem zamiast banalnego słówka „pokochał” bardziej dynamiczne i drażliwe „pochłonał”, ale komputer beznamiętnie zareagował na naciśnięcie klawisza „Delete” i nie pozostał po tej szarzy żaden ślad.)



2 zł – tyle kosztowały „Poglądy” nr 13. (szczęśliwy dla Michała). Wydane zostały w Katowicach, na początku lipca 1964. To było rok po Michałowej maturze.

— Miałem 19 lat – rozpoczyna opowieść. – Dzięki tym właśnie „Poglądom” zostałem na Śląsku. A miałem inne plany – przyznaje. – Zdawałem w Warszawie na prawo. No dobra, oblałem. Rosyjski!

Michał trafił do tego literackiego pisma dzięki Tadeuszowi Kijonce. Na jego wieczór autorski w Częstochowie przyniósł swoje wiersze. Kijonka przeczytał. Wroński zachwycił. Kijonka zaproponował debiutancką publikację w „Poglądach”. Tak się to wszystko zaczęło.

Tadeusz Kijonka namówił młodego Wrońskiego, żeby zdawał do Wyższej Szkoły Pedagogicznej na polonistykę. Niespokojna dusza Michała wytrzymała tam aż dwa lata. Przyszły literat ponownie wyleciał przez rosyjski.

Tę niespokojną, artystyczną duszę Michał Wroński być może otrzymał wraz z genami ojca, Edwarda, który był częstochowskim plastykiem. Pojawia się on zresztą często w twórczości gliwickiego literata jako *alter ego*.

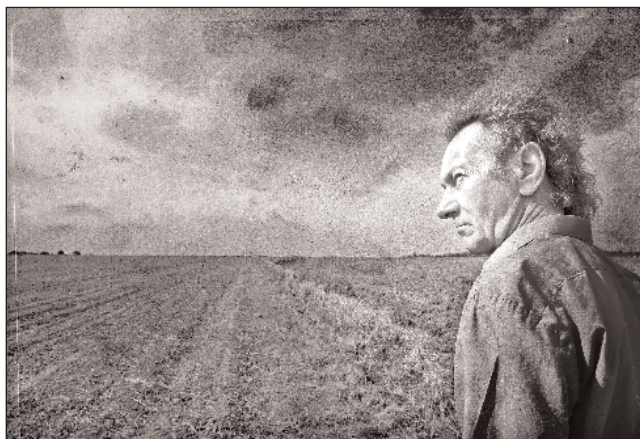
Krótką przygodą z uczelnią wyższą otwarła przed Michałem inną jeszcze, ale bardzo znaczącą dla jego przyszłości drogę. Otóż Wroński miał swój teatr, a teatr Wrońskiego miał przez czas jakiś swojego Michała. Grupa nazywała się METYS (od Międzyuczelniany Teatr Studencki). Grała na małej, nieistniejącej już scenie Wyspiańskiego (przy dawnej ulicy Wieczorka), a spod pióra „syna Edwarda” wylaniała się pierwsza satyryczna sztuka z elementami happeningu – *Linomachina, czyli kołowrotek świata*. Na scenie tej Wroński wystawiał także swoje jednoaktówki.

Potem Michał dostał urlop dziekański. Ten swoisty bufor między studiowaniem a niestudiowaniem wykorzystał na pracę w księgarni. Tak. Został księgarzem. Co więcej, praca pośród książek bardzo przypadła mu do gustu. Tymczasem pojawiło się kolejne wyzwanie...

Do Wrońskiego zgłosiła się Rada Okręgowa z postulatem, żeby budował klub studencki. I Michał budował na placu Wolności klub pod nazwą „Puls”. Przez rok. Zadanie było pracochłonne, a budowlancy powolni. Tak zakończyła się i ta przygoda pisarza.

Od 1964 roku Michał pisał słuchowiska. Pierwszym były *Miejscówki*. Kolejne emitowane były prawie co miesiąc w Radiu Katowice. – Żyłem jak lord – śmieje się dzisiaj Wroński. I z sentymentem wspomina tamtą znakomitą atmosferę, jaka panowała w redakcji literackiej rozgłośni. – Pozbierałem papiery

## Michałowi Wrońskiemu, z okazji 50-lecia pracy twórczej



Fot. Maciej Pokora

## Będę żył do 2040 roku

i przyglądam się im. Fajne miałem życie – rzuca ni stąd ni zowąd, przerzucając zebrane na stoliku zapiski skrawków jego własnej historii.

W radio Michał poznał szefa telewizji kulturalnej. Ten, niemal od razu, zaproponował mu pracę w Telewizji Katowice, w programie zatytułowanym „Przymat”, wzorowanym na ogólnopolskim „Pegazie”. Jako redaktor kulturalny Michał pracował tam 3 lata.

Jednocześnie spełniał się w pracy ze słowem. U Gogolewskiego, ówczesnego dyrektora Teatru Wyspiańskiego, zaczęli wtedy swoją karierę Ewa Dałkowska, Marek Kondrat i Krzysztof Kolberger. Była to silna, prężnie działająca grupa. Współpracowali z Michałem przez dwa lata. Potem poszli w świat. Dłuższą i bliższą współpracę nawiązał Michał jedynie z Ewą Dałkowską, która często śpiewała w jego telewizyjnym programie. Później, w czasach Banialuki, napisali wspólnie sztukę dla dzieci.

– Pracowałem w telewizji, kiedy dyrektor Jerzy Zitzman zaproponował mi pracę w Baniuale – wspomina Wroński. Był rok 1973. Michał został kierownikiem literackim bielskiego teatru. – Zamówili u mnie i Ewy Dałkowskiej bajkę. Pisaliśmy ją w kawiarni „Kaktusy” w Katowicach, przy koniaku. Miałem taki stary zeszyt. Ewa rzucała pomysły, ja pisałem dialogi. Kłůła mnie szpilką, gdy przestawałem – śmieje się mój rozmówca. – Wystarczyły dwa takie spotkania i bajka była gotowa. Tak powstawały *Dziwne przygody Mazika i Ufa*.

Rok 1974. Zadzwonił telefon. Po drugiej stronie słuchawki siedział Janusz Mentel, kierownik muzyczny Wojewódzkiej Agencji Imprez Artystycznych ESTRADA. – Zostałem jej kierownikiem literac-

kim – ciągnie opowieść Michał. I z uśmiechem wraca do cudownych lat 70., w których wiele się w jego twórczości działo. W 1972 roku „zaliczył” debiut teatralny sztuką *Pieczeń po hindusku* i jednoaktówką *Dookola*. Wystawione one zostały w zabrzańskim Teatrze Nowym, którego sternikiem był wówczas „wspaniały człowiek” – jak mówi o nim Wroński – Mieczysław Daszewski. W tym też okresie pisał Michał w „Poglądach” felietony z elementami recenzji, które ukazywały się w cyklu pt. *Kartki Teatralne*. Powstawały też bajki i wiersze.

Dwa lata po tym, jak Michał objął stanowisko dyrektora literackiego ESTRADY, ponownie zadzwonił telefon, który zmienił jego życie. Tym razem na linii był przyjaciel Wrońskiego, Stanisław Horak, który zaproponował mu kierownictwo literackie gliwickiej Operetki. – I tak rzuciłem ESTRADĘ dla Operetki, w której przeżyłem najpiękniejsze 20 lat mojego

życia – wzdycha artysta. W Gliwicach kupił mieszkanie, urodziły się dwie córki. To miasto stało się jego miejscem na Ziemi.

Jak to nieraz bywa, po 20 latach stracił pracę, która dawała mu spełnienie i godziwe wynagrodzenie. Z „cieplej”, jak sam wspomina, posadki trafił w objęcia rzeczywistości, w świat milczących telefonów i oddalających się przyjaciół.

Taka sytuacja zmusiła go do częstsze- go sięgania po pióro. – Wszystko ma swój sens – mówi dziś w nieco filozoficznym tonie. – Od 2010 roku jestem emerytem. Życie jest moją inspiracją. Wydaję 6 książek rocznie, robię zdjęcia, rzeźbię. Na świecie jest ponad 1000 moich aniołów. A moje wiersze, przetłumaczone na hiszpański, czytają nawet w Meksyku – nie ukrywa dumy.

Do Meksyku Michał trafił przez komputer. Przed komputer Michał trafił przez *Jaśnie Pana*, swoją sztandarową sztukę, za którą kupił sobie wirtualne okno na świat. Przez to okno trafił do Internetu, na Facebooka i bloga *Kraina Zielonego Pojęcia*, którego założyła mu córka. Tam zbudował swój mały świat, wdzięczne audytorium, głodne jego twórczości.

Jeśli wierzyć w znaki na niebie i ziemi, które nie śniły się filozofom, Michał nie miał wyboru. Musiał zostać literatem. We wstępie do *Almanachu Młodych*, wydanego tuż po pierwszym debiucie nieopie-rzonego pismaka, Artur Międzyrzecki zawyrokował, że będzie poetą. To były prorocze słowa.

– Wymyśliłem, że będę żył do 2040 roku – powiedział kiedyś Michał. Będzie miał wtedy 95 lat. Nie wypada mu zatem życzyć tradycyjnej „setki”. Chyba że 100 lat aktywnej pracy twórczej.

ADRIANA URGACZ-KUŹNIAK

Na początku XIX wieku w Anglii skonstruowano pierwsze wagi sklepowe z talerzami ponad systemem dźwigni. Były udoskonalonym modelem wynalazku Gillesa Personea de Roberval'a z 1669 roku. W Niemczech i na Śląsku nowoczesnym wagarstwem zajęła się Cesarska Komisja Normowania i Legalizacji. Zunifikowany system ważenia wprowadziła w życie dopiero w latach 80. stulecia pary i żelaza.



Anons najstarszej fabryki wag założonej w 1879.

# Katowickie wagi od Brattiga

HENRYK SZCZEPAŃSKI

„W każdym państwie i państewku [niemieckim] inny pieniądz, inny system miar i wag, dość często dwojakięgo i trojakięgo rodzaju w tym samym państwie. A z tych wszystkich niezliczonych rodzajów monet, miar czy wag ani jednej nie uznawano na rynku światowym. Cóż więc dziwnego, że kupcy i fabrykanci... musieli oprócz tych wszystkich krajowych monet, miar i wag używać jeszcze zagranicznych” – pisał Fryderyk Engels o Niemczech sprzed 1871 roku.

## Jak drzewiej nad Rawą ważono?

Aż do lat 80. tamtego stulecia, w Katowicach, tak jak na całym pruskim Śląsku panował chaos pomiarowy. Cechała go różnorodność miar i wag, w ciągu wieków ustanawianych lokalnie dla każdej miejscowości, organizacji kościelnej bądź kupieckiej a nawet prywatnych właścicieli wiejskich. Miały na to wpływ miejscowe stosunki społeczne, zwyczaje i zmiany przynależności państwowej tych okolic. W powiatowym Bytomiu zboże mierzono w szeflach. Pod tą nazwą kryły się 3 różne miary, każda o innym litrażu: stara targowa (207 litrów), stara zamkowa (184 litry) i kościelna (224 litry). Decemscheffel służył do oddawania dziesięciny kościelnej a w tak zwanym Dominialscheffel

oddawało się daniny panu. Korzec owsiany, różnił się od korca zwykłego – czasem przewyższał go nawet dwukrotnie. W okolicznych wioskach miara pojemności pól rolnych była na ogół większa niż w Katowicach.

Od 1816 r., wieś Katowice administracyjnie należała do powiatu Bytom, jednego z 16 w rejencji Opolskiej. W tym czasie, w ramach reform Steina i Hardenberga, na ścianach magistratu w Raciborzu i Pszczynie zamontowano wzorce „stopy pruskiej” i „łokcia berlińskiego” obowiązujące wszystkich Ślązaków. To były pierwsze próby ujednoczenia powszechnie obowiązujących norm po 1834 r. gdy utworzono Deutscher Zollverein (Niemiecki Związek Celny) zaczęto wprowadzać nowe jednostki, nawiązujące do francuskiego systemu metrycznego z czasów rewolucji 1795 roku.

Od 1868., po przystąpieniu Prus do Związku Północno-Niemieckiego (N.D.B.), w Katowicach, od 3 lat rządzących się prawem miejskim, tak jak na całym Śląsku zainicjowano wprowadzenie nowych królewskich przepisów zbliżających do stosowania systemu metrycznego, potocznie zwanego „francuskim”. Planowano, że w życie wejdą po czterech latach przygotowań – w rzeczywistości weszły dopiero po kilkunastu. Już na początku lip-

ca 1868 r. redaktor Teodor Heneczek wspólnie z proboszczem Alojzym Fickiem, na łamach „Zwiastuna Górnoszląskiego”, wydawanego w pobliskich Piekarach, polskich czytelników zachęcał do poznawania sekretów ważenia na sposób francuski:

„Dziesięć gramów jest dekadangram czyli lut, 100 dekadangramów lub 1000 gramów tworzą jeden kilogram, 1 kilogram ma dwa fony; więc jeden font jest 50 dekadangramów czyli lutów. 50 kilogramów jest 100 fontów, czyli 1 centnar. Gram jest podzielony na 10 decygramów, 1 decygram na 10 centygramów, centygram na 10 miligramów.

Moi ziomkowie łomajcie sobie głowy a uczcie się zawczasu, abyście na 1. stycznia 1872 r. byli przygotowani.”

Dopiero cesarskie rozporządzenie Wilhelma I Białobrodego z 1884 r. ostatecznie zunifikowało system miary i wagi w całym państwie niemieckim i spowodowało przestrzeganie norm systemu dziesiętne- go jakiego w 1875 r., w Paryżu, ustanowili sygnatariusze Konwencji Metrycznej. Od tej pory katowickich kupców, producentów i nabywców obowiązywały te same przeliczniki odnoszone do etalonów znajdujących się w Sevres pod Paryżem.

Wiek XIX był porą przeskoku technologicznego we wszystkich dziedzinach życia, także w metrologii. W sklepach i na targowiskach, obok od stuleci legalnie używanych wag równoramiennej czy bezmianów pojawiły się konstrukcyjne nowe – wagi stołowe i dziesiętne. W użyciu, poza obrotem handlowym, były także wagi nielegalizowane. Od XVIII wieku w gospodarstwie wiejskim, a także w wojsku, używano wag sprężynowych, ze względu na kształt mosiężnego cyferblatu zwanych „księżycowymi” (Mondwaage), za pomocą których odmierzano ilość obroku dla konia. Inną ich odmianą były wagi domowe (Haushaltswaage, Wirtschaftswaage) wykorzystywane w kuchni do ważenia mąki, cukru bądź innych podobnych produktów. Tak jak zegary pełniły funkcje użytkowe, ale również i dekoracyjne. Dzięki oryginalnej prezencji wciąż są ozdobą starożytnych wnętrz. Nie grzeszyły jednak precyzją pomiaru. Takimi wagami, ale o konstrukcji nienadającej się do użytku w sklepie były wagi uchylny. Używano je do określania jakości przędzy lub gramatury papieru. Szczególnie popularne stały się wagi Jakoba Maula wykorzystywane do ważenia niewielkich przesyłek pocztowych albo rozmaitych składników do wypieku ciasta. Tych wag nie dopuszczano do obrotu handlowego. Dopiero połączenie mechanizmu uchylnego z wagą stołową Roberval'a przyniosło powstanie wagi odważnikowo-uchylnej, zwanej także sklepową lub pocztową. Zadośćuczyniła wymaganiom metrologów, co umożliwiło jej legalne użycie w handlu. Choć początkowo na kupieckiej ładzie dominowały wagi stołowe z czasem wyparły je sklepowe, ponieważ szybciej ważyły i posiadały czytelny dla klienta cyferblat ze wskazówką.

W latach 80. XIX stulecia powiatowe Katowice jako duży ośrodek obrotu towarowego potrzebowały dokładnych i spraw-



nie działających urządzeń pomiarowych. Poza węzłem kolei żelaznych, urzędem pocztowym, wielkimi spichrzami i młynami zbożowymi, licznymi warsztatami rzemieślniczymi i usługowymi, kilkoma kopalniami i hutami istniało tutaj kilkanaście hurtowni, około 100 sklepów w tym apteki i drogerie, kilkadziesiąt restauracji, piwiarni i cukierni. W mieście funkcjonowała fabryka mydła i wytwórnia ceresu; dysponowały własnymi punktami sprzedaży. Do tej liczby placówek należy jeszcze dodać kilkaset innych mniejszych i większych podobnych firm na terenie powiatu katowickiego i dopiero takie zestawienie obrazuje wielkość zapotrzebowania na usługi wagarskie w kajzerowskich Katowicach w czasach la Belle époque.

### Arkana ważenia

Nabywcami wag byli głównie sklepikarze, rzeźnicy i drogerzyści a nierazko gospodynie domowe. Kontrola napraw i właściwego użytkowania urządzeń ważących w placówkach handlowych oraz innych instytucjach należała do zadań miejskiego metrologa. Jego głównym zadaniem była legalizacja narzędzi wykorzystywanych do ważenia lub ich uwierzytelnienie. Badając wagi oceniał ich właściwości metrologiczne, między innymi: czułość, poprawność, wierność, dokładność, pobudliwość. Błędy spowodowane niedokładnościami ramion wagi pozwalały mu wyeliminować specjalne metody przeważania, między innymi poprzez dwukrotne ważenie z zamianą szalek.

Profilaktycznie, doświadczony mistrz metrologii zalecał aby waga była starannie wypoziomowana, osłonięta od nawiewów powietrza i funkcjonowała w stałej temperaturze. Ze względu na wagone przedmioty, klasyfikował wagi na handlowe, spożywcze, medyczne i jubilerskie. Wśród handlowych i spożywczych rozróżniał: kramarskie, mięsne i rybne. Różnorodność produkcji wagarskiej dobrze ilustruje ponad 400 eksponatów licząca kolekcja zgromadzona przez Marię i Marka Sandeckich z Włocławka. Należy do największych polskich zbiorów tego rodzaju. Zdominowały ją wagi stołowe, często o wyszukany wzornictwie i oryginalnym modelunku. Uwagę przykuwa ponad 80 egzemplarzy wag kuchennych sprężynowych, będących oczkiem w głowie pani Marii. Można je oglądać na stronach internetowych. Są chlubą Polskiego Stowarzyszenia Kolekcjonerów Wag.

Do najliczniejszego grona „pacjentek” katowickiego urzędu miar należały różnego rodzaju wagi decymalne. Głównymi elementami sprężynowej były: sprężyna śrubowa, pierścień, skala i haczyk. Dźwigniowa prosta została wyposażona w:

uchwyt do zawieszania, nóż łożyska nożowego, ramię i szalkę, a przesuwnikowa jednoszalkowa, prócz wspomnianych już elementów wyróżniała się ramieniem z podziałką i ruchomym odważnikiem. Te, których używano w XIX i XX wieku dziś są już eksponatami lamusów zapomnianych pamiątek bądź rarytasem prywatnych kolekcji. Można je oglądać w Muzeum Kupiectwa w Świdnicy na Dolnym Śląsku. Dziewiętnastowieczne wagi używane w Prusach, na Pomorzu i na Śląsku eksponuje jeden z działów Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu. Zgromadzono tam wagi o różnych mechanizmach i zasadach działania, od prostych równoramiennych wag szalkowych (odważnikowych) i bezmianów (wag przesuwnikowych), poprzez złożone wagi typu Roberval’a i Berangera, aż po sprężynowe i uchylne, działające bez użycia odważników.

Obecnie, w sklepach, instytucjach i laboratoriach, wagi mechaniczne i sprężynowe zostały zastąpione przez ich elektroniczne modele.

Nieodłącznym akcesorium dawnych wag były odważniki. W handlu i przemyśle stosowano zwyczajnie, z żeliwa i mosiądzu; w farmacji, jubilerstwie i w laboratoriach przemysłowych potrzebne były trwalsze i dokładniejsze z mosiądzu niklowanego lub chromowanego. Jeszcze bardziej precyzyjnie były wykonane techniczne, z mosiądzu niklowanego lub chromowanego oraz z niemagnetycznej stali nierdzewnej, stosowane do ważenia w laboratoriach przemysłowych i naukowych. Odważniki o masie mniejszej niż 1 g wykonywano z tak zwanego nowego srebra

i aluminium. Wszystkie były odlewane według ściśle określonych procedur, a następnie sprawdzone i legalizowane przez wyspecjalizowane komórki państwowego urzędu miar i wag.

Gwichty odlewane z żelaza wypełniano ołowiem a w powstałym zagłębieniu wyciskano stempel legalizacyjny i określenie jego ciężaru. Produkowano odważniki składane, jako nakładki zwielokrotnienia podstawowej jednostki. Układano je jeden na drugim. Dla celów naukowych używano złożonych bądź niklowanych, a także wykonanych z kryształu górskiego albo platyny. Produkowano je w różnych formach: misczkowych, cylindrycznych, wielobocznych, sferoidalnych, a nawet zoomorficznych.

W aptekach i warsztatach złotniczych używano odważników porcelanowych. Powszechnie znaną jednostką miary były karaty. Ich nazwa pochodzi od nasion chleba świętojańskiego, dawniej zastępujących odważniki. W jubilerstwie określa się nimi ciężar pereł, diamentów, innych szlachetnych kamieni a także zawartość złota w stopie; czyste liczyło sobie 24 karaty (1 karat = 0,2 g). Warto przypomnieć, że jedną z najstarszych miar wagi było ziarno pszenicy. Jako wielokrotność, w starożytnym Egipcie, a potem Rzymie było przeliczane na libry i talenty.

### Fabryki wag

Najstarsza górnośląska Fabryka Wag powstała w Katowicach. Produkcję rozpoczęła w 1879 r. Znajdowała się na parceli przy Holtzstrasse 14 (obecnie: Mariackiej). Jej hale mieściły się w jednopiętrowej oficynie, która przetrwała do naszych czasów.

W domu frontowym, na piętrze, u schyłku wieku parę i żelaza, znajdowało się mieszkanie właściciela, a na parterze, biura i kasy Volks Banku – Banku Ludowego. Okazała mieszczkańska kamienica jak i warsztaty konstruujące wagi pomostowe i decymalne, zwane też przesuwnikowymi, były własnością Gustava Brattiga. Budynek i parcelę kupił od znanego w Katowicach Heinricha Knappego, rendanta dóbr dworskich Thiele-Winklerów i długoletniego prezesa komitetu budowy najstarszych katolickich świątyń miasta. Do mistrza Brattiga należał także sąsiedni dom pod numerem 16. Ten z neorenesansową elewacją z 1896 r. zaprojektowany i wymurowany przez Caspra Leopolda.

Początkowo firma Gustava Brattiga występowała pod szyldem „Brückenwaagen Und Geldschrankfabrik” czyli „Fabryka Wag Pomostowych i Kas pancernych”. Obok stalowych, ogniotrwałych sejfów, produkowała maszynowe urządzenia przeczna-



Katowice, Mariacka 1. Najstarsza kamienica Brattigów

Fot. Joanna Owczarek



Katowice, Starowiejska, widok na dawne hale fabryczne Brattiga

czony do ważenia dużych ładunków w przemyśle i handlu hurtowym. Po zabudowaniu w podłożu, służyły do mierzenia ciężaru ulokowanego na przyczepach samochodowych, wozach lub wagonach kolejowych. Ważono na nich konie i krowy.

Pod koniec lat 80. XIX wieku Gustav zmienił profil produkcji. Jako Kunstschlosser specjalizował się w ślusarstwie precyzyjnym i artystycznym. Teraz z jego warsztatów wychodziły głównie wagi stołowe. Firmę prowadził wraz z synem Paulem. Zmarł w 1896 r. Na początku XX wieku Anna Brattig, wdowa po Gustawie, sprzedawała jego dwa domy przy Holtzstrasse, a w 1904 r. od strony podwórza, wspólnie z synem wybudowała nową halę fabryczną z głównym wejściem od Altedorfstrasse 3 (obecnie Starowiejskiej).

Po śmierci ojca Paul kontynuował działalność firmy. Z jego warsztatu wciąż wychodziły wagi decymalne, a wiosną 1897 do produkcji, ponownie wprowadził kasy pancerne. Wkrótce potem wszedł w kooperatywę z Lotharem Fritschem, sąsiadem z Holtzstrasse 18, właścicielem fabryki piłników. Po 1912 r. Fritsch wystąpił ze spółki i przeniósł się do Berlina. Firma Brattigów produkowała wagi przez prawie pół stulecia. Stały na ladach większości katowickich sklepów i cieszyły się znakomitą renomą.

### Do fabryki snów

Podwórka domów przy Mariackiej łączyły się z podwórkiem posesji przy Starowiejskiej. Tam stały hale fabryczne, w których łomotały tokarki, frezarki i wiertarki. To była kraina dzieciństwa Willega Fritscha, syna Lothara, który w 1901 r. urodził się w kamienicy przy Mariackiej 18, a potem mieszkał w domu Sonnenfelda przy Mariackiej 7. Po latach został jednym z największych gwiazdorów niemieckiego kina. Ze względu na urodę był porównywany z Eugeniuszem Bodo, bożyszczem polskich ekranów okresu międzywojennego.

Po przeprowadzce do Berlina czternastoletni Willy podjął pracę w tamtejszych zakładach „Siemens-Schuckertwerke GmbH.” Początkowo terminował w zawodzie mechanika, pod okiem ojca, który był tam kierownikiem jednego z wydziałów. Niebawem jednak porzucił imadła i szlifierki. Postanowił spróbować szczęścia na scenach teatralnych a potem w atelier fabryki snów, jaką była niemiecka wytwórnia UFA.

### Ostatnie lata firmy Brattigów

W czasie powstań śląskich fabrykę inż. Paula Brattiga kupili dwaj żydowski kupcy Josef Guttmann i Simon Fürstenberg z Będzina. W kwietniu 1923 r. na skutek wystąpienia ze spółki Guttmanna, jedynym właścicielem firmy został Fürstenberg. Od tej pory nosiła nazwę: „Pierwsza Górnośląska Fabryka wag i wyrobów metalowych Szymon Fürstenberg, dawniej Paul Brattig, Erste Oberschlesische Waagen- und Metallwarenfabrik Simon Fürstenberg, vormals Paul Brattig”.

W polskich Katowicach niemłody już inż. Brattig zrezygnował z pracy zawodowej i poświęcił się działalności społecznej. Należał do elity Stowarzyszenia Przemysłowo-Gospodarczego a po 1922 r. był radnym katowickiego samorządu.

Po 1923 r. w pomieszczeniach dawnej fabryki wag Alfred Dittrich otworzył „wytwórnię sprężyn i resorów”. Warsztat o identycznym profilu funkcjonował na tej parceli jeszcze w 2013 r.

### Katowiccy producenci

Na przełomie wieków Brattig i Fritsch mieli wielu konkurentów, katowicki rynek wagarski oferował liczne urządzenia produkowane w różnych miastach Śląska i II Rzeszy. W Gleiwitz – Gliwicach „Oberschlesische Waagenfabrik” – Górnośląską Fabrykę Wag prowadził August Böhmer, który po 1922 r. przeniósł firmę do polskich Katowic. W pobliskim Beuthen – Bytomiu, przy Dyngosastrasse

funkcjonowała fabryka wag Alberta Wenglera. Inż. Ernst Hese, miał w tym mieście przedstawicielstwo berlińskiej firmy „A.C. Hermann”, a inż. Chuchul – „Redekera” z Bielefeld. W Königshütte, czyli w Królewskiej Hucie, inż. R. Schneider, był reprezentantem firmy „Heinrich Heine” z Essen. We Wrocławiu Brückenwaagenfabrik oferowała wagi pomostowe C. Hermann. Spośród stołowych wag równomiernych złożonych tamtych czasów popularność i uznanie zdobyły sobie wagi stołowe systemów: Pfanzedera-Robervala, a także Berangera.

W okresie międzywojennym prócz konstruowanych w miejscowych warsztatach, w katowickich składach i magazynach sprzedawano też wagi i odważniki sprowadzane spoza Śląska, z Berlina albo z lubelskiej fabryki Wilhelma Hessa. Stanowiły znaczącą pozycję importu z Niemiec. Detaliczną sprzedażą tych urządzeń zajmowało się kilka sklepów w centrum miasta, między innymi: „Górnośląska Fabryka Wag” Augusta Böhmera przy ulicy 3 Maja 21, z niemieckich Gliwic przeniesiona tutaj po 1922 r., albo van Berkela przy Kopersnika 11, który prócz wag uchylnych oferował „maszyny do krajania wędlin”. Przy tej samej ulicy pod numerem 4, Stanisław Dłuski miał w ofercie: „Wagi wagonowe, wozowe, dziesiętne i stołowe”. Skład „Subito”, przy Marszałka Piłsudskiego 64 specjalizował się w sprzedaży wag automatycznych.

Böhmer uruchomił też własną Fabrykę Wag mieszczącą się przy Sobieskiego 7. Pod identycznie brzmiącym szyldem prężnie działała podobna firma Maksymiliana Brzeskiego i Leopolda Paździerskiego z warsztatem przy Wandy 54 (obecnie: Curie-Skłodowskiej). Tam można było też zlecić naprawę urządzeń ważących albo wykonanie innych usług ślusarsko-mechanicznych.

W okolicy Katowic, za najstarszą uchodziła założona w 1919 r. wytwórnia Wilhelma Mainki reklamująca się jako: „Pierwsza Król. Hucka Fabryka Wag”. Siedzibę miała w Chorzowie przy ulicy 3 Maja 94/96. Początkowo mieściła się przy Wodnej 9.

Pod nazwą „Waga” funkcjonowała Fabryka Wag i Maszyn mająca siedzibę w Bielsku przy ulicy Długiej 13. Była potentatem w tej branży. Specjalizowała się w produkcji urządzeń na licencji austriackiej fabryki wag – patent I system „Schember”. Miała przedstawicielstwo w Krakowie. Jej plakat reklamowy zapewniał, że: „Dostarcza na dogodnych warunkach: wag wagonowych, samochodowych, wozowych, magazynowych i dziesiętnych. Wag specjalnych dla przemysłu górnictwo-hutniczego, cukrowniczego młynarskiego, rolnictwa itp.” Przyjmowała zlecenia na: „remont wszelkich wag i przygotowanie do wtórnej legalizacji.”

Wagi wagonowe i wozowe znajdowały się także w ofercie rybnickiej Fabryki Maszyn. Produkowała je obok urządzeń transportowych dla kopalni i kamieniołomów.



Pół wieku temu w dalekim Tokio



„Kangur z Zabrze”, czyli Józef Szmidt, dwukrotny mistrz olimpijski w trójskoku.

# Śląskie złoto z Japonii

JERZY  
MACHURA

Podczas ostatnich Igrzysk Olimpijskich, rozgrywanych dwa lata temu w Londynie, polscy reprezentanci sięgnęli w sumie po 10 medali, w tym dwa złote (przypomnijmy: kulomiot Tomasz Majewski i ciężarowiec Adrian Zieliński), dwa srebrne i sześć brązowych. W gronie nagrodzonych sportowców widnieje tylko jedno nazwisko przedstawiciela śląskich klubów, a dokładnie Śląska Opolskiego. Bo w rywalizacji najsilniejszych ludzi globu, w kategorii 105 kg, brązowy medal zdobył sztangista Budowlanych Opole, Bartłomiej Bonk. Krótka jest zatem „lista” naszych medalowych zdobyczy w stolicy W. Brytanii. A przecież, starsi kibice to pamiętają, bywały lata, gdy śląscy sportowcy święcili wielkie triumfy na olimpijskich arenach.

Nadarza się doskonała okazja, by nie-co sięgnąć pamięcią wstecz i wspominać Igrzyska Olimpijskie w Tokio, bo właśnie w październiku minie 50 lat, gdy sportowy świat po raz pierwszy, o olimpijskie wawrzyny, rywalizował na azjatyckim kontynencie, właśnie w stolicy Japonii. Okazja tym przyjemniejsza, gdyż reprezentacja Polski zdobyła wtedy aż 23 medale, w tym 7 złotych, 6 srebrnych i 10 brązowych. Tak, tak, to nie pomyłka, a dorobek ten wywindował na 7 miejsce w klasyfikacji medalowej, za USA, ZSRR, Japonią, Niemcami, Włochami i Węgrami – w gronie 93 startujących wtedy państw. Wspominanie to dla nas będzie tym przyjemniejsze, gdyż sportowcy z naszego regionu aż czterokrotnie stawali na najwyższym stopniu podium, odbierając „złoto samurajów”, jak wtedy mówiono.

W Tokio mistrzem olimpijskim w trójskoku (podobnie jak cztery lata wcześniej w Rzymie) został Józef Szmidt z Górnika Zabrze, niespodziewane złoto w turnieju indywidualnym florecistów wywalczył Egon Franke z Piasta Gliwice, w rywalizacji bokserów czempionem wagi półśredniej okazał się Marian Kasprzyk z BBTS Bielsko-Biała i wreszcie, w sztafecie sprinterek jedną z czterech złotych dziewcząt była Halina Górecka (obok Teresy Ciepły, Ireny Kirszenstein (później Szewińskiej) i Ewy Kłobukowskiej, biegaczki z zabrzańskie Górnika. Można więc powiedzieć, że sportowcy ze Śląska zdobyli w Tokio 3 i ¼ złotych medali, czyli prawie połowę z całego polskiego złotego dorobku na XVIII Olimpiadzie! A przecież nie wolno zapominać, że inny nasz bokserowski mistrz z Tokio – Jerzy Kulej, choć w tym okresie walczył w barwach warszawskiej Gwardii, to jednak pięściarskiego rzemiosła uczył się w częstochowskim Starcie.

Powspominajmy zatem...

Wspomnień czar...

14 X 1964 r. Piąty dzień igrzysk. „Gliwiczanie Franke mistrzem floretu” – tytułowała ówczesna „Trybuna Robotnicza” radosne wieści z Tokio, pisząc dalej: „Dużym sukcesem dla naszego florecisty – Eгона Franke, było zakwalifikowanie się do finału olimpijskiego. Każde w nim miejsce nie wyłączając nawet czwartego, zadowalało nas bardzo, a już jeden z medali – naprawdę uszczęśliwiał kibiców w kraju. Egon Franke – wychowanek Gliwickiego Klubu Sportowego i pracującego w nim trenera Zbigniewa Czajkowskiego, przeszedł na planszy w Tokio sam siebie. Walczył fenomenalnie, odnosząc największy sukces w swej karierze – zdobywając złoty medal olimpijski i tytuł mistrzowski.”





Tak bawili się polscy olimpijczycy na Balu Mistrzów Sportu, podsumowującym rok 1964. Pierwszy z lewej Marian Kasprzyk, obok Ewa Kłobukowska i Andrzeja Badeński. Oj, były wtedy powody do radości, były...

Franke pokonał wtedy wszystkich pozostałych trzech finalistów: Austriaka Loserta i Francuzów Revenu i Magnana. To właśnie wygrana z tym ostatnim, ówczesnym mistrzem świata, otworzyła Polakowi drogę na Olimp. Florecista z Gliwic okazał się jednym z największych bohaterów tokijskich igrzysk – nie tylko w polskiej skali – bo nie skończył na jednym medalu. Oprócz indywidualnego złota, przywiózł do kraju także srebro, za wicemistrzostwo w turnieju drużynowym (wspólnie z Witoldem Woydą, Zbigniewem Skrudlikiem, Ryszardem Parulskim i Janem Różycim).

W 1973 r. Egon Franke, za zgodą ówczesnych władz, wyjechał z żoną (też florecistką Elżbietą Cymerman) i synem do Włoch, gdzie przez 24 lata trenował kadrę florecistów Italii, a potem zajął się szkoleniem szermierczej młodzieży w Turynie.

\*\*\*

**16 X 1964 r. Siódmy dzień igrzysk.** To dzień Józefa Szmidta. „Kangur z Zabrza” – jak o nim mówiono, raz jeszcze udowodnił, iż jest tytanem trójskoku. Drugie mistrzostwo olimpijskie miało tym większy ciężar gatunkowy, gdyż wywalczył je jako rekonwalescent. Pojechał bowiem do Tokio z nie do końca wyleczoną kontuzją. I wygrał, dystansując dwóch skoczków ZSRR, ustanawiając przy tym rekord olimpijski 16,85 m!

„Godzina 13.10. Na kop. «Ludwik-Concordia» w Zabrzu uruchomiono

cały radiowęzeł; przez wszystkie głośniki słychać było głos Bohdana Tomaszewskiego opisującego przebieg trójskoku w Tokio. Pod jednym z megafonów wśród sporej grupki górników, stoi brat rekordzisty świata – Edward, którego wszyscy pamiętamy z występów na bieżni, kiedy to zdobywał tytułu mistrza w kraju i reprezentował Polskę w meczach między państwowych. – Nie wierzyłem, by Józef mógł coś zdołać w Tokio. Kontuzja była za poważna, a konkurencja za silna, by w ciągu miesiąca odrobić zaległości. Rano spokojnie zje-



Najlepszy oszczepnik 1964 roku Janusz Sidło, w Tokio tylko czwarty...

chałem na dół i wykonywałem swoje obowiązki, podczas gdy od godz. 10 dyspozytor szukał mnie po wszystkich oddziałach, chcąc oznajmić radosną wieść. O drugim złotym medalu Józka dowiedziałem się od dzwignowego, kiedy byłem już na powierzchni. Zaskoczenie moje nie miało granic, ale radość była jeszcze większa. Drogo mnie ten medal będzie kosztował: na kopalni porobiłem kilkanaście zakładów, nie wierząc w końcowy sukces mojego brata...” – relacjonował z Zabrza echa sukcesu Szmidta dziennikarz cytowanej już „TR”.

Józef Szmidt wyjechał w 1975 r. z rodziną do Niemiec. Pracował w Ludenschied, najpierw jako instruktor sportu, a później jako kąpielowy w klinice medycyny sportowej. W latach dziewięćdziesiątych wrócił do Polski, ale nie na Śląsk. Na Pomorzu kupił posiadłość. Prowadzi gospodarstwo rolne w miejscowości Żagózd w gminie Drawsko Pomorskie i... rzadko uczestniczy w uroczystościach czy spotkaniach organizowanych przez PKOl i PZLA, niechętnie też udzielając wywiadów dziennikarzom...

\*\*\*

**21 X 1964 r. Dwunasty dzień igrzysk.** Polskie sprinterki należały do grona kandydatek do medali, ale przecież złoto zdawało się być zarezerwowane dla sztafety USA, mającej w składzie triumfatorki biegów na 100 m – Tyus i 200 m – Mc Guire. A jednak do Polki kończyły rywalizację jako pierwsze w czasie nowego rekordu świata 43,6 sek. Na trzeciej zmianie biegła Halina Górecka – dziewczyna ze Śląska. Góreckiej polskie kroniki olimpijskie nie poświęcają zbyt wiele miejsca, w porównaniu do pozostałych trzech chżyżonogich uczestniczek pamiętnego biegu w stolicy Japonii. Może dlatego, że jako jedyna musiała się zadowolić jednym medalem, podczas gdy Irena Kirszenstein zdobyła w Tokio jeszcze dwa srebra – na 200 m i w skoku w dal, Ewa Kłobukowska – brąz na 100 m, a Teresa Cieplý – srebro na 80 m ppł. A może z innego powodu? Górecka w 1965 r. nie wróciła z NRF, gdzie wyszła za mąż. Mało tego, podczas IO w Meksyku '68, już pod nazwiskiem Hermann startowała w niemieckich barwach, właśnie w sztafecie.

Sportowa biografia Bożeny Góreckiej godna jest utrwalania nie tylko z powodu sukcesu w Tokio. Pochodząca z Chorzowa lekkoatletka, rozpoczynająca karierę w miejscowym AKS-ie, pod panieńskim nazwiskiem Richter, reprezentowała Polskę także na olimpiadach w Melbourne i Rzymie. Ze stolicy Włoch też przywiozła medal – brązowy w sztafecie.



\* \* \*

**23 X 1964 r. Czternasty dzień igrzysk.** Trzy złote medale dla Polski! Czy może być piękniejszy dzień? Słynna polska „szkoła boksu” święciła triumf, a niezapomniany „Papa” Stamm płakał ze szczęścia. Bo, jakże inaczej, skoro aż trzech jego podopiecznych stanęło na najwyższym stopniu podium, i to w trzech kolejnych kategoriach! To był prawdziwy festiwal Mazurka Dąbrowskiego! Dodając do tego, że nasi mistrzowie pokonali w finałowych walkach przedstawicieli światowej potęgi w boksie, reprezentantów ZSRR, obraz naszej victorii nabiera tym mocniejszych barw. Nigdy wcześniej i nigdy później polscy olimpijczycy nie zdobyli trzech złotych krążków jednego dnia.

Na ringu w Tokio najpierw Józef Grudzień, potem Jerzy Kulej, i wreszcie najbardziej niespodziewany triumf Mariana Kasprzyka. Niespodziewany, bo choć bielszczanin z Rzymu przywiózł brąz, to w Tokio nie liczono na jego triumf. W finale dokonał jednak heroicznego wyczynu i zwyciężył faworyzowanego Ricardasa Tamulisa (ZSRR), walcząc ze złamanym palcem prawej ręki.

Marian Kasprzak jako sportowiec był postacią kontrowersyjną. Wiązał się z nim mit zawiadki, nie zawsze szanującego prawo. Toteż mogły dziwić słowa, które usłyszałem od niego, telefonując po latach, gdy Kasprzak przeszedł poważną operację, gdy jego żona była ciężko chora: – W Tokio sięgnąłem po złoty medal, ale moim największym sukcesem jest to, że wróciłem do Boga. Zawsze byłem wierzący, ale teraz naprawdę zbliżyłem się do Boga, i wiem, że żyję. Gdy byłem chory dopiero wszystko to zrozumiałem. Żadne medale, ale to właśnie jest moim życiowym sukcesem.

Że nie był to wynik chwilowego zalamania, potwierdziły następne czyny pana Mariana. Otóż, już po śmierci żony, Kasprzak postanowił ofiarować złoty medal z Tokio Matce Boskiej Częstochowskiej. Pojechał na Jasną Górę i tam zostawił najcenniejszy dowód swego mistrzostwa.

\* \* \*

Na arenach Tokio olimpijczycy związani z naszym regionem zapisali swe nazwiska także na liście brązowych medalistów. Niewątpliwie najlepszy polski bokser wszech czasów, bielszczanin Zbigniew Pietrzykowski (o którym szeroko pisaliśmy w lipcowym wydaniu „Słaska”) zdobył brązowy medal w kategorii półciężkiej. Jedną z dziesięciu polskich siatkarek, które przyczyniły się do zdobycia brązu przez polską drużynę (za ekipami Japonii i ZSRR) była Krystyna Czajkowska Rawska, pochodząca z Sosnowca, a grająca w klu-



*W pierwszym w historii Igrzysk Olimpijskich turnieju siatkarek Polki zdobyły brązowe medale, a w tym gronie była Krystyna Czajkowska – Rawska.*

bowych drużynach m.in. Górnika Katowice i Kolejjarza Katowice. Godzi się wspomnieć jeszcze o oszczepniku z Szopienic, Januszu Sidle wicemistrzu olimpijskim z Melbourne (1956), który w sezonie 1964 nie miał sobie równych na rzutniach całego świata, ale w Tokio szczęście mu nie sprzyjało i zajął czwarte, wysokie ale „najgorsze” dla sportowca miejsce...

#### Mniej, coraz mniej...

**Tak** było w Tokio, ale skoro już wspominamy, to jeszcze trochę faktów z następnych Olimpiad. Na kolejny olimpijski triumf z udziałem śląskich sportowców trzeba było czekać aż osiem lat. W 1972 r., w Monachium rozpoczęła się wspaniała era piłkarskiej drużyny trenera Kazimierza Górskiego. Polacy eliminowali kolejnych rywali, by w półfinale pokonać drużynę ZSRR (2:1) a w finale faworyzowanych Węgrów (także 2:1). Udział w tym historycznym triumfie mieli także piłkarze z Zabrze, Chorzowa i Sosnowca: Hubert Kostka, Jerzy Gorgoń, Zygmunt Anczok, Zygfryd Szołtysik i Włodzimierz Lubański (wszyscy z Górnika), Zygmunt Maszczyk, Joachim Marx i Marian Ostafiński (wszyscy z Ruchu) oraz Andrzej Jarosik (z Zagłębia), a także Zbigniew Gut z Odry Opole.

Z XXI IO w Montrealu w 1976 r. kibice pamiętają najbardziej złoto polskich siatkarzy po ekscytującym finale z ZSRR. Sukces złotej drużyny niezapomnianego „Kata” czyli Huberta Wagnera to zasługa m.in. takich siatkarzy jak: Ryszard Bosek, Wiesław Gawłowski, Włodzimierz Sadalski i Zbigniew Zarzycki – wszyscy z Płomienia Milowice. W Kanadzie złoty medal zdobył też Tadeusz Ślusarski w skoku o tyczce. Reprezentował on wtedy barwy Górnika Zabrze, ale poza tym nie miał nic wspólnego ze Śląskiem. Był to bowiem czas, gdy w bogatym zabrzańskim klubie, na górniczych etatach, startowało wielu

znanych polskich lekkoatletów, nie koniecznie mieszkając i trenując w tym mieście.

Ostatnie, jak dotychczas olimpijskie triumfy śląskich sportowców wiążą się z przedstawicielami sportów walki – judoką Waldemarem Legieniem i zapaśnikiem Ryszardem Wolnym. Bytomski (GKS Czarni) mistrz judo dokonał wyczynu, jaki wcześniej stał się udziałem jedynie Józefa Szmidta. Dwukrotnie – w Seulu (1988) i w Barcelonie (1992) został mistrzem olimpijskim, jako trzeci judoka na świecie. A że dokonał tego w dwu różnych kategoriach, najpierw w wadze do 78 kg, a cztery lata później w wadze do 86 kg, więc z jego nazwiskiem kojarzony jest jeszcze jeden bezprecedensowy wyczyn. Szkoda tylko, że „Waldemar Wielki” po zakończeniu kariery zajął się szkoleniem judoków na obczyźnie a nie w Bytomiu – wyjechał do Francji, do Racing Clubu de France w Paryżu.

Natomiast największe dla Polski zdobyte medale z kolejnej olimpiady w Atlancie (1996) przywieźli niespodziewanie zapaśnicy (stylu klasycznego), a wśród nich Ryszard Wolny z Unii Racibórz, który triumfował w kat. do 68 kg. Zarówno na igrzyskach w Atlancie, jak i w Sydney (2000) złote medale za sukcesy w chodach odbierał Robert Korzeniowski (w sumie trzy!), ale reprezentując już nie śląskie „barwy”. Być może nie wszyscy pamiętają, ale Korzeniowski zaczynał wielką karierę w katowickim AZS AWF. I gdyby zaoferowano mu w porę mieszkanie, to pewnie nie przeniósłby się do Krakowa. I w ten sposób dotknęliśmy gorącego i bolesnego problemu – ucieczki sportowych gwiazd do innych miast. Bo przecież pływaczka Otylia Jędrzejczak – mistrzyni i dwukrotna wicemistrzyni olimpijska w stylu motylkowym oraz dowolnym, rozpoczęła podbój świata w rodzinnej Rudzie Śląskiej.

W Sydney najbardziej wartościowy wynik uzyskała silna dziewczyna z Żywca – Agata Wróbel, która na pomoście zdobyła olimpijskie srebro. Także drugie miejsce zajął Szymon Kołecki, sztangista trenujący w Budowlanych Opole, powtarzając ten wyczyn cztery lata później. W Pekinie (2008) po srebrny krążek sięgnął również gliwiczanin Adam Wierciśch, w turnieju drużynowym szpadzistów.

A zatem: mniej, coraz mniej... Marzenia o takich sukcesach, jak pół wieku temu w stolicy Nipponu, nie mają urzeczywistnienia w aktualnych realiach sportu w naszym regionie (a i w całym kraju). Pozostaje jedynie, jakże miła sportowemu sercu, nostalgia... Ale w 2020 roku, XXXII Igrzyska Olimpijskie znów zorganizuje Tokio, więc może...?

Zdjęcie z archiwum J. Machury.



# Podwójny bonus

– Wakacje w „Korezie” zakończyły się z pompą, benefisem Mirosława Neinerta, proszę przyjąć najlepsze życzenia urodzinowe. To jest jeden z powodów naszej rozmowy. Szukając jednak rozmówcy u progu nowego sezonu, zastanawiałam się, który z dyrektorów teatru naszego regionu będzie najmniej narzekał i mam nadzieję, że się nie pomyliłam, wskazując na pana?

– Nie wyprowadzę pani z błędu, ale przede wszystkim dlatego, że ja w ogóle nigdy nie narzekam. Dlaczego? To bierze się z bardzo prostej przyczyny. Pochodzę z niezamównej rodziny, w związku z tym wszystko, co mnie spotyka w życiu jest dla

mnie bonusem, czymś co mnie ogromnie cieszy i uskrzydla...

– Tak było zawsze?

– Bywało różnie, ale od chwili, kiedy otarłem się o śmierć, wszystko, co następuje od tego momentu zyskuje rangę podwójnego bonusu. Nawet kiedy pada deszcz i walą pioruny, myślę jak to cudownie, że w ogóle jest pogoda.

– To są słowa Mirosława Neinerta, czy dyrektor „Korezu” podziela ten optymizm?

– Generalnie w Polsce zapanowała bardzo zła atmosfera wokół teatru, wiele znakomitych pomysłów rozbija się o urzędniczą bezdusność, by nie powiedzieć

bezmąsność. To dotyczy zresztą nie tylko spraw teatru, ale pojmowania kultury w jej szerokim znaczeniu. Czymże jest na przykład zwolnienie Ewy Wójciak ze stanowiska dyrektora Teatru Ósmego Dnia w Poznaniu, jak nie przykładem krótkowzroczności i niezrozumienia roli urzędnika? Niezależność teatru jest podstawą jego bytu, a dotowanie jego działalności nie może powodować ingerencji w jego funkcjonowanie. Niemal każda scena w Polsce boryka się z problemami, ale nie ma obaw, teatr przetrwa, w przeciwieństwie do sławy jakiegoś tam pracownika administracji państwowej.

– Wasza przestrzeń życiowa znacznie się ostatnio powiększyła.

– Zyskaliśmy miejsce po Centrum Scenografii, dzięki ich wyprowadzce do nowej siedziby Muzeum Śląskiego, przeznaczymy go na magazyny, dodatkową garderobę, wygospodarujemy także pomieszczenia dla warsztatów teatralnych, czy spotkań, które nie wymagają sceny. Wreszcie będziemy mieli gdzie trzymać nasze rzeczy, afisze, archiwa i przenieść to nasze mikroskopijne biuro do większego lokalu, w tym niewielkim pomieszczeniu w porywach musiało pracować sześć, siedem osób, a mimo to daliśmy radę przygotować normalny repertuar i corocznie dwa nasze festiwale: Katowicki Karnawał Komedii i Letni Ogród Teatralny. Zdawać by się mogło, że te zmiany to drobiazg, ale tak nie jest, to potężny zastrzyk, który bardzo nam pomoże. Na Sali będzie także długo wyczekiwana klimatyzacja. Nie mamy więc na co narzekać. Jest dobrze.

– Zagospodarowanie nowego miejsca będzie jednak kosztowało.

– Sami wszystko zrobimy.

**Teatrom prywatnym jest łatwiej?**

– Przeciwnie, gorzej i to podwójnie. Wielu bowiem urzędnikom wydaje się, że nie powinni wspierać państwowymi środkami teatrów prywatnych, ponieważ mogą się narazić na podejrzenie o robienie jakis nieczystych interesów. Nic bardziej głupiego nie można wymyśleć. Wobec takiego nastawienia nauczyłem się nie liczyć na tę pomoc w sposób szczególny. I cieszę się z tego, co mam.

– Czyli...

– Przede wszystkim mam świetnych aktorów, którzy przy okazji są moimi kolegami. A to jest warunek, bez którego nie wyobrażam sobie funkcjonowania teatru, choć wiem, że są twórcy, którzy uważają, że tylko w stresie i konflikcie najlepiej wszystko wychodzi. Ja zdecydowanie do nich nie należę. Mam miejsce, gdzie możemy odbywać próby i spotykać się z publicznością.

– O widownię i frekwencję też nie musicie się martwić.

– Inaczej bym śpiewał i nie byłbym zapewne takim optymistą, gdyby publiczność do nas nie przychodziła i od tylu lat nie dawała nam tak wielu dowodów uwielbienia.

– Publiczność bywa anonimowa i przypadkowa, tymczasem atmosfera w „Korezie” daleka jest od salonowej atmosfery nobliwych scen, a raczej bardziej przypomina rodzinne posiadki.

– To dosyć spora rodzina, liczy sobie kilka tysięcy. Śmiejemy się czasem, że te-



atr Korez uzależnia i kto raz wciągnie go przez nos, temu już potem trudno się odzwyczać.

– **Wszystko jest u was jakby trochę inaczej...**

– Ma pani na myśli aktorów, którym zdarza się stać „na bramce” i przerywać bilety, nasze rozmowy z publicznością, serdeczne powitania, dostawiane krzesła, czasami siedzenie na schodach? Tak, to wszystko tworzy domową atmosferę. Spontanicznie, bez scenariusza, otwarcie. Nic by jednak nie pomógł ten swojski klimat, gdyby nie jakość spektakli.

– **Na początku mieliście mocno „pod górkę”. Rok 1990, zaledwie kilka miesięcy po odzyskaniu wolności, wszystko trzeba było budować od podstaw.**

– Niedawno jeden z moich kolegów przypomniał mi jak to na początku lat osiemdziesiątych, siedząc w knajpie wymienialiśmy się marzeniami, powiedziałem wówczas, że chciałbym mieć swój prywatny teatr. Wywołało to lawinę śmiechu, ponieważ w czasach szalejącej cenzury i własności społecznej brzmiało to równie absurdalnie, co marzenie o locie na Księżyc. Po kilku latach nierealne okazało się możliwe. Na początku „Korez” grał w setkach miejsc w ogóle do tego nie przystosowanych: aulach, salach gimnastycznych, knajpach, więzieniach, sanatoriach... Jeździliśmy po całej Polsce, jak szaleni. Po pierwsze, byliśmy wtedy w wieku, kiedy można to było robić prawie bezkarnie i wciąż mieć nowe siły a po drugie, dla nas był to rodzaj szkoły teatralnej, wprawki, której niczym nie da się zastąpić. Nic już nie było w stanie nas zaskoczyć, nabyta wtedy praktyka procentuje do dziś. Nieoczekiwane czasem reakcje na widowni nie peszą nas i natychmiast potrafimy się w nie „wgrać”, bawiąc się przy tym znakomicie, publiczność także.

– **Nie szczędzono wam uszczypliwości, wypominając, że nie macie dyplomów szkół teatralnych.**

– Rzeczywiście nie brakowało takich utyskiwań, to była jednak tamta epoka i nas to wówczas śmieszyło. Czuliśmy się trochę jak zespół ABBA wobec absolwentów wyższej szkoły muzycznej, których marzenia o sukcesie zakończyły się graniem na weselach i wypominaniu ABBIE, że nie są wykształconymi muzykami.

– **Nie tylko publiczność „kupila” was niemal od razu, krytycy teatralni już za sezon 1992/1993 przyznali wam „Złotą Maskę”. Spór wokół „Korezu” trwał jednak przez lata. Pamiętam, kiedy byłem członkiem kapituły Złotych Masek, jeden z dyrektorów teatru instytucjonalnego, a nie był to przypadek odosobniony, domagał się dyskwalifikowania waszych przedstawień w tym konkursie.**

– Takie uwagi płynące ze środowiska ludzi teatru bołały...

– **Ponieważ stale byliście jakby na cenzurowanym, śrubowaliście poziom. W waszym repertuarze gościli Schaeffer, Czechow, Ionesco, Redliński, Reza, Cave, Gombrowicz, Janosch...**

– Byliśmy w stanie zagrać wszystko a przynajmniej mieliśmy takie wewnętrzne poczucie. Ta zabawa różnymi gatunka-



„Cholonek, czyli dobry Pan Bóg z gliny” wg Janoscha, reżyseria: Mirosław Neinert, Robert Talarczyk (2004)

mi i konwencjami teatru weszła nam w krew i pozwałała bez problemu przechodzić od Schaeffera do Mrożka, nie baliśmy się spektakli muzycznych, historycznych, społecznych a nawet farsy. Publiczność, która знаła nas z tych czasów iście nie teatralnych miejsc, wciąż była z nami i kiedy przestaliśmy być bezdomni, nadal stoi w kolejkach po bilety.

– **Zdobyliście stałą scenę, ale nadal wasza praca bardzo różni się od tej w teatrze państwowym.**

– Aktorzy grający w teatrach państwowych są niemal historycznie obciążeni pojęciem sezonu i należym z tytułu jego zakończenia urlopem wakacyjnym. Nadal występy na tak zwanym „wyjeździe” poprzedzone są dogłębnymi ocenami miejsca, gdzie ma być wystawiany spektakl, opracowaniem strategii instalacji scenografii itp. Dla nich przedstawienie się na myślenie, że można grać w każdym miejscu i o każdej porze roku, także podczas wakacji jest ogromnym problemem.

– **Jakie zadanie postawił pan przed swoim teatrem?**

– Nie interesuje nas sztuczna celebria i romantyczne „rzucanie na kolana”. Od początku naszym założeniem było tworzenie teatru dla ludzi, chcemy, aby dobrze bawili się na naszych spektaklach, a jeśli przy okazji wzruszą się i przemknie im jakaś głębsza refleksja, to jest cudowne uczucie. Po latach czytania w kościołach poezji Jana Pawła II, która do łez wzruszała słuchających, odczułem potrzebę dawania ludziom powodów do radości i zabawy. Tamte mroczne czasy, mimo że nasłuchałem się wówczas niezwykłych komentarzów, od których mogłoby niejednemu przewrócić się w głowie, mnie determinowały do dzielenia się z publicznością humorem i optymizmem. Najszczęśliwszy jestem wtedy, kiedy widownia w trakcie

spektaklu pokłada się ze śmiechu, a na końcu wzrusza do łez.

– **Kiedy dwa lata temu wasze, niemal sztandarowe, przedstawienie „Cholonek, czyli dobry Pan Bóg z gliny” według powieści Janoscha wyemitowała TVP Kultura, wydawać by się mogło, że w „Korezie” spektakl zniknie z afisza. A tymczasem nadal bilety są trudne do zdobycia, a w październiku minie dziesięć lat od premiery. W czym tkwi fenomen tego spektaklu?**

– „Cholonek” jest spełnieniem ideału teatru, o którym mówiłem przed chwilą. Ten słodko-gorzki spektakl najpierw wywołuje salwy śmiechu, aby na końcu wzruszyć do łez. Dotyka niemal wszystkich Ślązaków i czyni to w sposób szczególny, odwołuje się zarówno do osobistych doświadczeń, jak i sfery rodzinnej, społecznej a nawet historycznej, taka kumulacja zdarza się w teatrze niezmiernie rzadko. Jednocześnie przedstawienie nie słodzi Ślązakom i nie podlizuje się, mówiąc jacy są wspaniali, czy wyjątkowi. Wprost przeciwnie, bez ogródek rzuca im w twarz: jesteście ohydni, pijoki, złodzieje, najgorsze męty, ale...

– ... sympatyczni...

– ... tak, sympatyczni, bo prawdziwi. Wielu patrząc na scenę, widzi na niej swoją ciotkę, wujka, dziadka. Kiedy pracowaliśmy z Robertem Talarczykiem nad „Cholonekiem” mieliśmy czasem pokusy, aby pójść w inną stronę, aby trochę zamieszać, ale stale zwyciężała myśl, aby pozostawić normalny, bez żadnych udziwnień, spektakl. Niektórzy krytycy zarzucają, że realizatorzy nie sięgnęli po jakieś nadzwyczajne, superciekawe środki. Nie sięgnęli nie dlatego, że nie potrafili, ale wprost przeciwnie – świadomie z nich zrezygnowali, stawiając wyłącznie na aktorów. Podczas realizacji telewizyjnej mogliśmy wyjść



w plener, czy skorzystać z możliwości, jakie daje telewizyjna technika. Nie zrobiliśmy tego, ponieważ uznaliśmy, że kamera powinna być okiem widza, czyli ma patrzeć i rejestrować wyłącznie to, co widzi publiczność.

– „Cholonek” wymknął się już z teatru i krąży nie tylko po domowych kinach, wiele scen można znaleźć także w Internecie.

– To prawda, szczególnie wśród Polonii cieszy się ogromną popularnością, bawiąc poszczególnymi epizodami. Tym spektaklem, mam nadzieję, zapisaaliśmy się w historii śląskiego teatru.

– **„Dzięki między innymi „Cholonkowi” jest pan wymieniany wśród najpopularniejszych Ślązaków, a przecież urodził się pan w Zaganiu.**

– Dzieciństwo spędziłem na Ziemiach Zachodnich, gdzie moja mama, nauczycielka, otrzymała nakaz pracy. Wychowywałem się w niewielkiej wiosce, pośród cudownej przyrody, lasów, czystego powietrza. Kiedy przyjechałem do Chorzowa, szedłem już do piątej klasy. Zderzenie z wielkim miastem, brudnym, cuchnącym i głośnym ale przede wszystkim z nieznaną mi kulturą, wszak Stary Chorzów był kwintesencją śląskości, sprawiło, że początki nie były łatwe. Musiałem szybko nauczyć się mówić językiem rówieśników. Jednak moje wtapianie się w to zupełnie nowe środowisko odbywało się w sposób naturalny, jak to u dzieci bywa. Dopiero patrząc na to z dystansu dostrzegłem wszystkie odrębności, zacząłem rozumieć zawiłości historyczne i społeczne zawirowania. Zawsze byłem outsiderem. Dziecko, syn nauczycielki, było traktowane jako „ciało obce”, później w Chorzowie także byłem „obcy”, bo przecież nie-Ślązak. Mieszkając w familoku, otarłem się wówczas o resztkę odchodzącego Śląska, zdążyłem zachować obraz przynoszonych rankiem z kopalni szczap na rozpalkę, siedzących w fartuchach przed domem, paradujących z okazji rocznic w mundurach powstańców. Ten obraz powrócił, kiedy z Robertem, Ślązakiem z dziada pradziada, zabieraliśmy się do realizacji „Cholonka”. Prześladowała mnie świadomość, że jestem w jakiś szczególny sposób zobowiązany do tego, aby pokazać, że pod tym zewnętrznym brudem, wżartym w twarz pyłem węglowym, chropowatością kryją się ludzie niezwykli i wyjątkowi. „Cholonek” był moją swoistą spłatą długu i dziś z czystym sumieniem mogę powiedzieć – jestem Ślązakiem z wyboru.

– **W „Korezie” spontaniczna rozmowa z publicznością stanowi immanentną część spektaklu. To droga do przetrwania teatru?**

– Moim zdaniem w przyszłości teatr będzie polegał na intymnej rozmowie między aktorem i widzem, rozmowie, która będzie dotykała spraw ważnych, odwołując się do emocji i uczuć, czyli tego, czego zaczyna nam coraz bardziej brakować w codziennym życiu. W sferze widowiskowej, niczego nam nie brakuje, wszystko mamy w kinie, telewizji, Internecie, dzięki nowoczesnym technikom można tam stworzyć najbardziej nawet niewiarygodne zjawiska, sytuacje czy postaci. Teatr tego nie potrze-



„Dwa” J. Cartwright, reżyseria: Robert Talarczyk (2009)

buje, odwołując się do wyobraźni widza, ma do dyspozycji o wiele silniejsze a zarazem prostsze rekwizyty – symbole. W teatrze najważniejsze jest spotkanie człowieka z człowiekiem, który ma coś ważnego do powiedzenia. Rola aktora w tym dialogu znacznie wykracza poza funkcję przekaziciela czyichś myśli, aktor nie może być tylko ciałem do wynajęcia, musi być przede wszystkim ciekawą osobą, intrygującą osobowością, w przeciwnym razie nie będzie go wcale.

– **W „Korezie” aktor jest na wyciągnięcie ręki, w tradycyjnym teatrze dzieli go od widowni potężna przeszczerza.**

– To się będzie zmieniało, widz przychodzący do teatru oczekuje nawiązania dialogu a przestrzeń dzieląca scenę od widowni nie sprzyja porozumieniu. A właśnie dzięki takim bezpośrednim kontaktom każdy spektakl jest inny a grono znajomych stale rośnie, widać to chociażby na facebooku, gdzie nasi widzowie-internauci dzielą się nie tylko swoimi uwagami na temat obejrzanego spektaklu, ale traktują nas jak dobrych, starych kolegów, prowokując do rozmów niemal o wszystkim. Zdarza się, że ktoś zaczepia mnie na ulicy, zasypuje pytaniami, coś opowiada a ja nie mam pojęcia, kto to jest, pytam więc, skąd się znamy i słyszę w odpowiedzi: *no jak to, przecież ja chodzę do pana teatru i rozmawiamy podczas spektaklu*. Czujemy, że dla naszych widzów jesteśmy czymś więcej niż teatr, w którym płacą za bilet, oglądają spektakl, wychodzą i zapominają. Tak właśnie widzę teatr w przyszłości, będzie on musiał być zarówno miejscem spektakli artystycznych, jak i tym, gdzie ludzie będą mogli mówić co ich drażni, co im się podoba, a co nie, co jest ich codziennym utrapieniem, jakie są ich oczekiwania... Teatr staje się miejscem społecznym, ponieważ potrzeba rozmowy jest coraz silniejsza, myślę, że to źle wróży przyszłości gigantycznych widowisk.

– **„Korez” słynie z gościnności, pojawiają się tu spektakle realizowane w ramach projektów Młoda Scena, odbywają się też premiery znanych, ale nie posiadających własnej siedziby teatrów.**

– Zbyt dobrze pamiętam, jak sam chodziłem po różnych miejscach, szukając gdzie by tu odbyć próby, czy zagrać premierę. Bezscennych teatrów gościło u nas całe mnóstwo, ponieważ doskonale wiem jak to jest, kiedy w człowieku coś siedzi, bardzo chce to zrobić, a pomocy znikąd. Młodzi ludzie przychodzą do mnie z głowami pełnymi pomysłów, czasem sala jest wolna tylko w nocy, im to jednak nie przeszkadza, próbują do rana. Bywa, że potrzebują pomocy reżyserskiej, także nie odmawiam. I czasem z tego wychodzi coś fajnego. Ważne, że mają zapał, dużo inwencji i nie brakuje im determinacji.

– **Jak to się stało, że na jednej z najmniejszych scen teatralnych grają (i to bardzo chętnie) najlepsi aktorzy i to nie tylko z naszego regionu?**

– Każdy aktor jest w środku wielkim dzieckiem. To jest cudowne, że decydując się na uprawianie tego zawodu poszedł za swoimi marzeniami. Każdy, nawet ten najbardziej cyniczny, zawsze to dziecko ma w środku i wciąż chce go karmić cukierkami swoich marzeń. Tak więc, kiedy może grać w teatrze, gdzie nikt niczego mu nie narzuca, gdzie sam wybiera to, co mu najbardziej odpowiada, w takim zespole jest mu dobrze i chce do niego wracać, bo czuje, że to jest jego miejsce, które jeśli trzeba posprzątać, bez zastanowienia bierze się za sprzątanie.

– **To trochę tak, jakby schodził z piedestału, na którym bywa, że sam się ustawia.**

– Nadętych u nas nie ma, wyśmialibyśmy ich. Gdyby aktor uważał, że jest kimś lepszym od technicznego, czy od garderobianej to byłaby żenada, nie mieści mi się to w głowie i to nie tylko w kategoriach zawodu aktora, ale przede wszystkim w wymiarze ludzkim.

– **Czego boi się dyrektor „Korezu”?**  
*Po bardzo długim milczeniu*

– Boję się, że ktoś wynajdzie taki narokoty, po którym nikt już nie będzie chciał chodzić do teatru, bo po jego zażyciu doznanie będzie trzy razy silniejsze, chociaż trudno mi sobie wyobrazić taką moc.



**O**d czasu ukończenia szkoły średniej w Tarnowskich Górach i rozpoczęcia studiów polonistycznych we Wrocławiu, czyli od 51 lat, uporczywie wracając do charakterze metodycznym. Dlaczego przez 11 lat nauki – zastanawiam się – ani jeden z moich polonistów nie poświęcił nawet minuty dydaktycznym walorom śląskich gwar, wśród których upływało nasze całe życie? Czemu nie eksponowano wyjątkowej archaiczności tej regionalnej odmiany języka, pozwalającej wielu filologom na określanie jej mianem mowy Rejów i Kochanowskich, a nauczycielom – na wytłumaczenie wielu zjawisk zakutych w obowiązującą normę?

Starzy kresowiaci, a mam ich wielu wśród wrocławskich znajomych, szczytą się swoją ortograficzną perfekcją w odróżnianiu *h* oraz *ch*. „My nie możemy się pomylić, bo słyszymy dźwięczne *h* w wyrazach typu *Henryk, Halina, Śapieha, hanba, wahadło, czyhać, blahy* i bezdźwięczne *ch* w słowach *chata, chelpić się, chłodny, chory, chudy, chytry, machać*, a większość rodziców i nauczycieli pomagała nam w uświadomieniu sobie takich zwyczajów fonetycznych” – opowiadają i naciskają, bym spowodował powrót do ogólnej polszczyzny tego rozróżnienia. Zrobić tego, oczywiście, nie mogę, bo poza nimi nikt już w Polsce nie słyszy fonetycznej różnicy między *h* i *ch* – łącznie z ich dziećmi i wnukami (oba te warianty wymawiane są przez 99% społeczeństwa bezdźwięcznie), a ponadto nie była ona kontynuacją jakiegoś stanu staropolskiego, lecz wtórną cechą nabytą pod wpływem języków ruskich. W ten sposób tłumacząc się ze swego niedziałania, przyznaję jednak, że w praktyce szkolnej mądrze wykorzystywano to typowo kresowskie zjawisko fonetyczne.

Na Śląsku spośród przywołanych wyżej słów można wykorzystać *hanbę*, uzasadniając jej pisownię przez *h* pierwotnym *g* zachowanym w *gańbie* – do dziś przecież w naszym regionie powszechnie używanej. Przejście zaś dawnego *g* w *h* dokonało się w polszczyźnie ogólnej pod wpływem czeszczyzny (w ten sposób obok *gołoty* pojawiła się *holota*, a i formy *goniec, gesty* miały swe brzmieniowe warianty *honiec, husty*).

Tak jak prymarne *g* w *gańbie* utrzymuje się na Śląsku – zwłaszcza na Opolszczyźnie – czternastowieczne „a nosowe”: *ganś, gansi, kans, kansek, zamb, zamby, Żandowice* (geś, geśi, keś, kasek, ząb, zęby, Żędowice), w piśmie zaś utrwaliły ten dźwięk typowo śląskie nazwiska *Dambiec, Dambon, Bambynek, Stanchły, Panchyrz, Kampa, Kandzia, Gansiniec, Wanglorz, Pandzioch* (ich standardowymi odpowiednikami są postacie *Dębiec, Dębon, Bębenek, Stęchły, Pęcherz, Kępa, Kędzia, Gęsiniec, Węglarz, Pędziach*). Wszystkie te formy podpowiadają, dlaczego mamy literę „a”, czyli „a z ogonkiem”, chociaż graficznym odpowiednikiem współczesnych realizacji „o nosowego” w wyrazach *wąz, mąz, wąski, wachać, wąwóz, sąsiad, sąsieć* powinien być grafem „o z ogonkiem” (znają go tylko studenci polonistyki, kiedy ćwiczą się w transkrypcji fonetycznej, czyli w zapisie dokładnie odpowiadającym wymowie).

## Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

## Dydaktyczne walory śląskich gwar

Podpowiadają, że zapisywacze tekstów z XIV wieku, kiedy – powtórzmy – nie było „o nosowego” i „e nosowego”, lecz tylko „a nosowe”, zmuszeni byli do znalezienia jakiegoś graficznego odpowiednika tego dźwięku. Wśród kilku pisownianych wariantów znalazło się wówczas także „a” z doczepioną kreską – swoistym prototypem ogonka. Chociaż czas jednej co do barwy samogłoski nosowej – „a nosowego” – nie trwał długo i wróciły używane do dziś „e nosowe” i „o nosowe”, to na oznaczenie ostatniej głoski mamy literę „a z ogonkiem”!

Pisałem kiedyś w „Śląskiej ojczyźnie polszczyźnie”, jak to w latach 60. – 70. ubiegłego wieku prof. Witold Doroszewski starał się przeforsować pisownię *Barbórki* przez „u”, uzasadniając zmianę przepisu ortograficznego niewymiennie *ó* na *o* w rodzinie wyrazowej tego słowa (w Warszawie mamy ulicę *Barburki* – z „u”). Językoznawcy południowo-zachodnich ośrodków akademickich urato-

wali wtedy *Barbórkę* z *ó*, bo dobrze wiedzą i wyraźnie słyszą, że w ustach wielu jeszcze Ślązaków historyczne „o”, długo wymawiane do XV wieku, nie złało się w wymowie z „u” – jak w języku ogólnym. W ich języku *Barbara* to *Barbora*, a zdrobnienie od niej to *Barborka* z dźwiękiem pośrednim między „o” i „u” – takim samym jak w słowach *Bóg, dół, wóz, wróg, stóg, góra*. Dlatego uczniowie śląskich szkół powinni łatwiej zrozumieć, że *ó* to nie jakiś dziwoląg graficzny, funkcjonujący ku utraپieniu piszących, ale jedyny możliwy w zapisie odpowiednik dawnego długiego „o”, które po zaniku iloczasu, czyli rozróżniania samogłosek długo i krótko wymawianych, zaczęło się coraz bardziej zbliżać do „u”, by ostatecznie się z nim zlać. Odkrywamy to „o” w parach alternacyjnych: *Bóg – Boga, dół – dołu, wóz – wozu, stóg – stogu* (przy *górze* można się podeprzeć czeską *horą* czy rosyjską *gorą*), a Ślązak je ciągle słyszy – jak to opisaliśmy wyżej. Ale też chciałbym wierzyć, że ani jeden nauczyciel na Śląsku i ani jeden uczeń nie będą literę „ó” nazywać „u z kreską” czy „u kreskowanym”, bo to przecież historycznojęzykowy nonsens! To jest „o z kreską” lub „o kreskowane”!

Wiemy dobrze, że nawet przedstawicielom śląskich grup inteligentnych trudno się wyzbyć wymowy typu „przisedł”, „przegotował się”, „grzyby”, „trzydzieści trzy” (*przyszedł, przygotował się, grzyby, trzydzieści trzy*). Ale i ta fonetyczna cecha gwarowa może być wartościowa dydaktycznie, bo pozwala się rozprawić z rodakami atakującymi kolejny dziwoląg ortograficzny, jakim jest – w ich mniemaniu – dwuznak „rz”. Warto tutaj się wspomóc zachowaniem fonetycznym Ślązaków cieszyńskich, którzy w wyrazach z „rz” mają skłonność do lekkiej artykulacji – pod wpływem czeskim – elementu szczelinowego po „r”: „rzi”, a nie „rzi”. A zaczęło się wszystko od miękkiego „r” utrzymującego się w większości języków słowiańskich (słowackie czy rosyjskie postacie typu *r'eka, mor'e*). U nas i u braci Czechów artykulacyjna miętkość zaczęła się wydzielać w postaci wyraźnie osobnego dźwięku – najpierw „j”, a później „ž”: *rjeka, morje*, a potem *ržeka, morže*. Na tym ostatnim etapie dźwiękowej ewolucji pozostali Czesi, co słyhać – jak powiedziałem wyżej – u niektórych naszych Ślązaków cieszyńskich. W polszczyźnie proces ten poszedł dalej i ostatecznie z dawnego miękkiego „r” nie zostało nic, a wtórne „ž” zlało się brzmieniowo z etymologicznym „ž” (*može pojadę nad może* – „może pojadę nad morze”). Pierwotne „r” ujawnia się tylko w parach alternacyjnych: *morze – moRski, górzysty – gÓRa, którzy – ktÓRy*.

Eksponując zaś staropolski charakter śląskich gwar, warto czasem w szkole uświadomić uczniom na przykład i to, że polszczyzna ogólna posługuje się germanizmem *furtuch* (niem. *Vortuch*), podczas gdy u nas ciągle funkcjonuje dawna rodzima *zopaska* (*zołpaska, zapaska*) – od wyrażenia *za pasem* utworzona, używana w konstrukcjach typu *downij to, kódo dziolcha sie swojóm zopaskóm asiyla, to blyc se zopaska, symnij ta zopaska*.

Powiedział kiedyś, że rzeźby leżą na ziemi. Innym razem podniósł kawałek gałązki wyglądającej jak kameleon. Z ciekawością wielokrotnie rozglądałem się po pracowni Tomasza Wenklara. Widziałem pomalowaną, otwartą puszkę po rybach, wyglądała jak przedstawienie labędzia. Na ścianie niezatynkowany fragment przywodzący na myśl mapę. W innym miejscu drugi, ale tym razem kształtem przypominał obłok twarzy Jimiego Hendriksa. O ludziach, których rzeźbi, Tomasz mówi w czasie tańszych. Biorąc do ręki narzędzia, snuje o nich własne opowieści... i, wie, że ich ożywia, a mówiąc ściślej, pozwala im żyć w rzeźbach, w przestrzeni, którą zajmują, w pamięci tych, którzy patrzą...

# Bóg z gliny ulepił człowieka

[...] nie widzieli niczego – i było tego wyjątkowo dużo.  
Neil Gaiman: *Amerykańscy bogowie*

JACEK KUREK

Hendrix, Witkacy, Korfanty  
i Cieślík...

Tomasz (w jego rodzinnym domu muzyka nie odgrywała specjalnej roli) rzeźbi, słuchając muzyki. Ta wybrzmiewa w całej pracowni i wsiąka w ściany, z nich emanuje, tak, że widać ją w rzeźbach. Artysta najbardziej kocha muzykę rockową przełomu lat 60. i 70. minionego wieku. Rzeźbiąc Hendriksa, czuje jego obecność, z nim gra, tak jest też z Riedlem, Nalepą, innymi... Nieposkromiona wyobraźnia pozwala mu z tą samą sprawnością zobaczyć twarz rotmistrza kpt. Raginisa, jak i małżeństwa Wejchertów, Dylana i Cieślíka, Witkacego i Korfantego. To bogactwo ziemi, z której pochodzi, w której żyje i tworzy... Uwielbia rzeźbić w glinie, bo wtedy czuje ową boską siłę tworzenia, sprawczą ideę i myśl. Bóg z gliny ulepił człowieka, a rzeźbiarstwo jest znakiem i pamiętką tamtego doświadczenia.

Tomasz Wenklar urodził się w 1977 r. Z żoną Aliną, synem Karolem i córką Majką mieszka w Tychach. Kocha westerny (ale nie skojarzył, że imiona syna i córki układają się w imię i nazwisko Karola Maya). Mimo młodego wieku ma za sobą wiele znakomitych, rozsianych po miastach Górnego Śląska realizacji, do których należą rzeźby – Witkacego przed wejściem do Muzeum Historii Katowic, Ryszarda Riedla i architektów Hanny i Kazimierza Wejchertów w Tychach albo dowcipna seria śląskich demonów w Chudowie, wśród których znajdzie się skarbnika, i utopca, i południcę... a na końcu jest lustro, by każdy, kto ciekaw, mógł zobaczyć jeszcze jednego ducha...

Tomasz pracuje bez wytchnienia. Czasem wiele dni zajmie mu odpisanie na maila czy SMS-a. Wciąż pochłaniają go nowe zlecenia, a jeszcze drapieżniej własne pomysły, które, nawet gdy nie są realizowane w postaci rzeźb, zamieszkują pracownię jako niezliczone prototypy... Zaprojektował i wykonał tablicę upamiętniającą postać kpt. Jana Rybczyń-

skiego (dowódcy pociągu pancernego „Groźny”). Usytuowano ją na tyskim dworcu PKP. Później powstała rzeźba nagrobna na cmentarzu w Gliwicach. I kolorowy konik morski w Żorach (świadczenie fascynacji barokiem). Następnie zrealizował statuetkę dla śląskiej firmy 3S na „symetryczny jubileusz” 11 lat. Jest też pełen wdzięku i witalności pomnik wspomnianych Wejchertów, którym nowe Tychy zawdzięczają swój urbanistyczny kształt (co charakterystyczne w pomnikach projektowanych przez Tomasza, a może charakterystyczne dla niego właśnie: oto bez względu na „wielkość”, dostojność postaci – lub jego brak – rzeźbi tych ludzi w nieomal naturalnej wielkości, zdejmując z piedestału, na którym być może ktoś chciałby ich widzieć, i ustawia na równi z odbiorcą, pomiędzy ludźmi, w przestrzeni codziennej, której potrafi nadać odświętną aurę).

Tomasz Wenklar jest autorem tablic upamiętniających Armię Krajową (na ścianie tyskiego Gimnazjum nr 1), osoby: prymasa Augusta Hlonda (w kościele Piotra i Pawła w Katowicach) oraz Jana Pawła II (Szkoła Podstawowa nr 15 w Katowicach; choć tablica powstała w grudniu 2013 r., odsłonięto ją 16 maja 2014 r. z racji napisu „święty Jan Paweł II”), a także tablicy poświęconej Żołnierzom Wyklętym (plac Baczyńskiego w Tychach) – ich też upamiętnia pomnik na zabytkowym cmentarzu w Żorach, oraz tablicy ku czci kpt. Władysława Raginisa w kościele garnizonowym w Katowicach. Spod jego dłuta wyszła rzeźba miejska *Kapiąca się*, abstrakcyjna forma na jednym z nowych tyskich osiedli – subtelnie nawiązująca do założeń z czasu budowy Tychów. Na wielu osiedlach, by uatrakcyjnić przestrzeń placyków, skwerów, większych wolnych terenów, stawiano rzeźbę. Skromna realizacja Wenklara miała niejako wpisywać się w tę konwencję. Tomasz podjął również prace nad dużym pomnikiem Wojciecha Korfantego dla Wrocławia. Stanie na Kameralnym Placu przy ulicy Powstańców Śląskich. Zamówienia kierowane do rzeźbiarza tak dobrze czującego muzykę rockową i tak sprawnie poruszającego się w świecie wartości lokalnych i kosmopolitycznych świadczą nie tylko o jego otwartości, ale też (a może przede wszystkim) o specyfice miejsca, w którym żyje i pracuje. Spotykają się w tej twórczości uniwersum i świat lokalny. Przy tym zachowuje dystans do siebie. „Nieważne, co robisz. Możesz nawet bułki sprzedawać w Zakopanem, bylebyś miał duszę wzniosłą...” – zapamiętał z lekcji u autora *Damy Asymetrycznej* (nagrobek Eugenii Wyszomirskiej-Kuźnickiej, modelki Witkacego, zrealizował na katowickim cmentarzu przy ul. Francuskiej). Lekcję u innego mistrza odebrał, lecz nie na jawie... Nim bowiem przeczytał *Sklepy cynamonowe* Schulza – te już mu się przyśniły... A potem śnił je nadal, czytając...

Tomasz Wenklar jest rzeźbiarzem wszechstronnym i otwartym na naj-





Tomasz Wenklar w swojej pracowni

rozmaitsze namysły nad witalnością tworzenia. Dziełki projektów powołał do istnienia tylko dlatego, że nie mógł oprzeć się wewnętrznemu głosowi, pragnieniu, chwili... Popatrzmy na *Dzieci kwiaty*, kuszące, drobne, niewinne, naiwne nawet może rośliny, które zamiast lody mają zainfekowane śmiertcią strzykawki... Projektował też okładki płyt Sebastiana Riedla i Cree. Pierwsza z nich. Zdjęcie kilku Indian (indianerów). Tomek bawił się nimi w dzieciństwie (to były jego ulubione „żołnierzyki”). Potem trafiły do pudła i do piwnicy. Trzeba bliżej przyrzeć się figurkom na fotografii. Są mocno poobijane. Noszą na sobie ślady wszystkich dziecięcych bitew sprzed lat... To zwierciadło jego doświadczeń, naszych doświadczeń, bo to nasze życie, które wraz z następującymi latami pozostawia kolejną bliźnię albo zmarszczkę na ciele i duszy człowieka..., na muzyce, którą ta płyta skrywa... We wrześniu 2013 r. zaprojektował okładkę kolejnej płyty Cree, tym razem jednak, jak mówi – to muzycy kładli nacisk na motywy rewolweru – u siebie w kolekcji mam te, które „nie przeszły”.

### Dłuta dziadka

Gdy się urodził, jego rodzice mieszkali w Katowicach-Ligocie. Wkrótce przeprowadzili się do Tychów. I tam zostali. Tata Tomka, inżynier, pochodzi z Krosna. Mama – z Katowic; tam w ligockim liceum uczyła matematyki, a potem pracowała w jednej ze szkół podstawowych w Tychach. Jest jeszcze o 2 lata młodsza siostra Tomka, Joasia, nauczycielka WF-u. Dziadek ze strony ojca, Stanisław, który wniósł do rodziny tradycję AK-owskie i związane z tym poczucie dumy, był nauczycielem. Ilekroć jechał do miasta po zakupy, wracał z książkami (nieraz przywoził je zamiast butów, których zakup był zasadniczym celem wyprawy). To on pchnął Tomka w stronę rzeźbienia. W Krośnie, w dziadkowej stodole znalazł pierwsze dłuta, którymi wtedy amatorsko rzeźbił dziadek. Te dłuta Tomek ma do dziś. Nowych dokupił niewiele... Miał 5 lat, kiedy z deski wystrugał aniołka (nie bez wydatnej pomocy taty). Mama marzyła, by został architektem, ale dość wcześniej okazało się, że zaczęły w nim się budzić inne pragnienia. Pierwszy dostrzegł to ojciec. Przełomową była chwila, kiedy zapisał syna, będącego w IV klasie szkoły podstawowej,

na kółko plastyczne do tyskiej „Tęczy”, stając się tym samym sprawcą zmaterializowania się rzeźbiarskich inklinacji syna. Plastyk z „Tęczy”, Bogdan Trybus, fascynował się muzyką lat 60. Kiedyś przyniósł na video film *Woodstock*. „Potem dowiedziałem się – wspomina Tomek – że w Hendriksie płynęła krew indiańska”. A kiedy kolega pożyczył Tomkowi kasetę od ojca, słuchał jej do zniszczenia. Do dziś kocha muzykę rockową i czerpie z niej niebagatelne inspiracje. Gryf gitary jest dla niego totemem. A totem – znakiem tożsamości. Z tego powodu tak chętnie projektuje i rzeźbi Chrystusowe krzyże – właśnie jako totemy. O rocku mówi w kategoriach historii sztuki. Po sztuce romańskiej pojawia się gotyk (gitara Hendriksa), potem gotyk płomienisty (Led Zeppelin), a jeszcze potem (*sic!*) gotyk z tektury (Black Sabbath). Fascynuje go świat orków, goblinów, elfów, wszelkich baśni, o których śpiewał Ronnie James Dio. Rock z jego buntem i ognieniem ku wolności ujawnia się w rzeźbach Wenklara w postaci nieujarzmionej skłonności do prezentowania skrzydeł, ptaków, okien...

Gdy piszę te słowa, Tomasz Wenklar przystępuje do realizacji „ławeczki Gerarda Cieślaka”. Nasuwa się myśl, że Cieślak to nie gość, z którym można przysiąść na ławeczce, chyba że stadionowej. Dlatego wstępny projekt ukazuje go z piłką, w grze... Ławeczka w rocznicę śmierci legendarnego piłkarza stanąć ma u zwieńczenia głównej ulicy Chorzowa. Kolejny to uskrzydłony wartościarni projekt...

Po tyskiej „Tęczy” było Liceum Plastyczne w Katowicach. A tam, już na pierwszym semestrze, prace w drewnie i nieoceniony „apostoł rzeźby” Bogumił Burzyński. To on pokazał Tomkowi portrety Xawerego Dunikowskiego, którego śladami Wenklar już niedługo będzie jeździł. Chłopiec wciąż miał w pamięci dziadka Stanisława, który zmarł zaledwie 2 tygodnie przed tym, jak jego wnuk zdał do Liceum Plastycznego. Tomek wiedział, że jego rzeźbiarskie powołanie nie rozwinięłoby się bez dziadka i bez krosnieńsko-suchodolskiej stodole, w której znalazł dłuta i która spaliła się w 2012 r., a wraz z nią lata dzieciństwa. Mimo to w rzeźbach będą już zawsze przypominać o sobie i o niezmiernym bogactwie, w jakie lata te wyposażyły dorosłe życie Tomasza, ale także o tym, że utrata ostatecznie nie jest końcem. „To wyjątkowo brutalne doświadczenie – mawia Wenklar – gdy kończymy 28 lat. Prawdziwy koniec dzieciństwa”. Przed ukończeniem tego roku życia zmarli Hendrix, Janis Joplin, Duane Allman, Alan Wilson, Brian Jones, Kurt Cobain czy o wiele wcześniej Robert Johnson, a niedawno Amy Winehouse... Wszyscy umierając, mieli 27 lat. Magiczne „27”... Fascynuje go zwłaszcza to wieczne dziecko, które nie zdołało dorosnąć i którym była – Joplin. Kobieta samotna i pełna kompleksów, bezsilna, bezbronna i nieraz beźmyślna jak mała dziewczynka. Jej muzyka to w gruncie rzeczy bunt dziecka. Krzyk przeciw bezkarnej sile pożerającego ją świata, krzyk przeciw światu. Wołanie o akceptację. Jej ostatnia, pośmiertna płyta ma tytuł *Perla* – pierwsze skojarzenie słuchacza zestawione z artystką na zdjęciu zwraca się ku kobiecej ozdobie, ku czemuś drogiemu, szlachetnemu – jednym słowem ku biżuterii. Ale przecież – mówi Tomasz Wenklar – tytuł ma i drugie dno, wszak perła to zadra, „produkt uboczny” głębokiego zranienia, mechanizm obronny, zanieczyszczenie gładkiej struktury małża – czyli w tym wypadku ktoś boleśnie doświadczony, i zadziorny, szalony, nieobliczalny... wrzucony pomiędzy ludzi pełnych cnót. Zdrowy organizm społeczny odrzuca taką osobę – czyniąc z niej perłę. I taką Perłą jest właśnie Janis.

Trochę podobnie było z Ryśkiem Riedlem. Czyż nie dlatego Tomek wyrzeźbił go kiedyś siedzącego, bujającego się na koniu na biegunach? „Potem, po 28. roku życia jest – mówi Wenklar – już tyl-

ko coraz ciężej. Co najważniejsze jednak – człowiek nie może się zestarzeć do tego stopnia, by przestać sobie zadawać pytania. Dopóki pyta, dopóty jest!”

W Liceum Plastycznym Tomek poznał żonę Alinę, dziś architekta i pierwszego krytyka jego prac, która, podobnie jak jego ojciec, śmiało zawsze wypowiada swoje zdanie o rzeźbach w chwili, w której nikt inny nie ma możliwości ich jeszcze oceniać. Potem była ASP w Krakowie. Przygotowując się do egzaminu wstępnego, wyrzeźbił babcię. I gdy dodał trochę gliny do oczu, zobaczył, że one go widzą. Trochę błota i przejrzały. Jakby tchnął w nie życie, życie które stawało się wtedy samą ewangelią...

Tematem pracy dyplomowej Tomasa Wenklara w Liceum Plastycznym był Witkacy. Stało się tak przez pamięć dziadka, bo to u niego właśnie – przypomnijmy: nałogowo kupującego książki nauczyciela – znalazł kiedyś Tomek album z reprodukcjami obrazów twórcy portretu Brunona Schulza. Sztuka Witkacego wlała w młodego rzeźbiarza zachwyt nad artystycznym szaleństwem i wiarę w nieograniczoną moc wyobraźni. Witkacy i Hendrix, dwaj mistrzowie, dwaj bracia Wenklara, umarli tego samego dnia (18 września). Dla Tomasa sploty takie zawsze mają swój tajemny sens, jakąś ukrytą narrację i są opowieścią, której ostatecznie sam staje się bohaterem, gdy tylko zaczyna rzeźbić. Obaj patroni jego sztuki nasycają ją swoją obecnością. Obaj żyją. Wszak nie mogli umrzeć, skoro wciąż zaklina ich w swoje rzeźbiarskie wyznania. I jak już wspominałem, tak też jest z wieloma innymi, których rzeźbi – Jan Paweł II, Wojciech Korfanty, Matka Teresa z Kalkuty czy Krzysztof Kamil Baczyński. Imponuje mu determinacja twórcy *Nienasyceńca* i jego bezkompromisowość, wiara w sztukę – po witkacowsku rozumianą, a więc nieśmiertelną.

### Piękny umysł

Wenklara inspirują wielkie głowy z Wyspy Wielkanocnej, sztuka Azteków z ich smoczymi rzeźbami, smukłe kobiety Modiglianego, rzeźby totemiczne z drewna. Jest zafrapowany czaszkami byków stanowiącymi wyróżnik kultury indiańskiej. Ryśka Riedla pokochał właśnie za jego miłość do Indian. Zafascynowało go, że koncerty Dżemu dostrajano do emisji westernów, z powodu słabości do nich legendarnego wokalisty. A widział go tylko raz w życiu na przystanku, dokładnie tam, gdzie po latach stanęła wyrzeźbiona przez Wenklara figura Ryśka, tego „pawia wśród wróbli”. „Dałbym wszystkie koncerty Dżemu, które widziałem, za jeden z Ryśkiem” – mówi Wenklar... Wśród najbardziej śmiałych i działających na wyobraźnię projektów jest Rysiek na koniu (a koni się bał). We Włoszech zachwyciły Tomka konne posągi. Odkąd pamięta, uwielbia też postaci jeźdźców i koni z rzeźb Marino Mariniego...



Rzeźba Witkacego przed wejściem do Muzeum Historii Katowic

Inspiracje dla sztuki Tomasa płyną z najrozmaitszych źródeł. Żadnego się nie wstydzi. Ma słabość do serialu *Przystanek Alaska*, w którym najbardziej ujmuje go, że jest opowieścią o miejscu na końcu świata. Ogląda najchętniej zimną, kiedy klimat filmowego krańca świata wydaje się najbardziej wyrazisty i zarazem bliski temu, co za oknem jego mieszkania w Tychach. Pewnie z tego samego powodu – z uwagi na aurę – podoba mu się serial *Archiwum X*, a także film *Piękny umysł*... Z niegasnącą sympatią wspomina postać E.T. z filmu Stevena Spielberga – postać nie tyle z końca świata, ile spoza naszego świata (*Extra-Terrestrial*).

Tomek marzy, by zobaczyć południowoamerykańskie piramidy w sercu dżungli, Grecję i Egipt, których kultury wyściano, wykuto w kamieniu... Ale też



Z pracowni Tomasa Wenklara

Fot. Zbigniew Sawicz

niczym wieczne dziecko, wieczny chłopiec – bohater *Małego Księcia*, śni o wehikule czasu, jak w *Końcu wieczności* Isaca Asimova, by choć jeden dzień spędzić z Mistrzami, móc podpatrywać, jak pracuje Michał Anioł (którego umysłu się boi, wszak była w nim nieskończona galeria rzeźb). Albo zamienić słowo z Hendriksem...

A przy okazji muzycznych tematów... w chwili, gdy powstaje ten tekst, Tomasz jest w trakcie realizacji rzeźby Wojciecha Kilara przeznaczonej na plac Grunwaldzki w Katowicach do Galerii Artystów. We wrześniu ma być odsłonięcie. W związku z tym notorycznie słucha w domu swojej ulubionej filmowej melodii dzieciństwa – *Pieśni o Małym Rycerzu* (*W stepie szerokim*...). Do dziś pamięta końcowe napisy *Przygód pana Michała* – odcinkowej wersji kinowego obrazu *Pan Wołodyjowski* i tę pieśń – i jej końcówkę. „Gdyby skrzypce zamienić na gitarę – dodaje – na przykład Jerzego Styczyńskiego z Dżemu, to byłby to mocno rockowy kawałek. I śmiejąc się, mówi jeszcze: „Ciekawe, że ledwie zacząłem kończyć Korfantego (W.K.) to od razu wpadł mi kolejny W.K. – Kilar! Nie licząc Jana Pawła II – też W.K., ale odwrotnie”.

Zachwyca się *Trzecim policjantem* Flanna O'Briena. Z uznaniem mówi o Neilu Gaimanie (zawsze na czarno ubranym miłośniku kotów), autorze *Amerykańskich bogów*. To opowieść o bóstwach przywiezionych do Ameryki i tam zapomnianych. Z nostalgią wspomina książki Janusza A. Zajdla *Paradyżja* i *Cylinder van Troffa*, a także *Nowy wspaniały świat* Aldousa Huxleya czy twórczość Philipa K. Dicka. „Przeczytaj – mówi – a wywróci do góry nogami cały Twój świat”. Ujęła go *Diuna*. Uwielbia Bułhakowa. Sapkowski to kanon. Płyty, których Tomek słucha, i lektura książek wymienionych autorów pozwalają zrozumieć, że niewyczerpane są źródła jego twórczości... To bogaty świat wyobraźni, która jest jak mięsień: trzeba ją ciągle ćwiczyć. Pytany o inspirację i fascynację odpowiada: „Genialny jest Władysław Hasiór, bo sztukę ludową przekształcił w magię z elementami niemal horroru”. Ale są i inni. Najpierw Caravaggio i Rembrandt, ale także ci liczni w renesansie, którzy ożywili niegasnącą urodę nieba nad Wenecją. A potem kolejni, jak Constantin Brâncuși (którego studyjne rzeźby były bardziej rodzinowskie od rzeźb samego Rodina), a także Henry Moore czy Picasso, obaj czerpiący z tych samych źródeł. Tomek bardzo dobrze pamięta, jak rodzice nagrywali mu bajki na szpulowy magnetofon. Treść *Kota w butach*, *Kopciuszka* czy *Śpiącej Królowej* ma – jak mówi – „wgraną” w umysł. A zanim ze szpuli popłynęła bajka, wybrzmiewała nagrana tam wcześniej *Europa* Carlosa Santany... Patrząc na kolejne nowe rzeźby i projekty artysty, wolno myśleć, że i gitara Santany i Kot w butach z Królową Śnieżką, i Kopciuszek z Hendriksem, Riedlem i Małym Księciem wciąż podszeptują nowe pomysły.

Fot. z archiwum T. Wenklara





Bob Dylan



Ławeczka Hendrixa – projekt



Mariusz Gola



Dzieci – kwiaty



Ryszard Riedel

# TOMASZ WENKLAR

## Rzeźba



Pracownia Tomasza Wenklara





Magik, 1962, serigrafia, 52x39 cm



Głowa Arlekina, 1962, serigrafia, 41x30 cm, 1960

# Ferdynand Szypuła

grafika



Zbrojownia, 2010, digital print, 100x70 cm



Szalony kogut, 2009, digital print, 64x90 cm



Trudna gra, 2010, digital print, 68x100 cm



Apokalipsa, 2005, digital print, 80x104 cm



Tarpany, 1969, akwaforta, akwatinta, 50x65 cm

Zdjęcia: z arch. F. Szypuły



– Przeglądałem parę twoich fotografii i na ich podstawie chciałbym porozmawiać o niektórych faktach z twego bogatego życiorysu kolegi i artysty. Jest taka fajna nostalgiczna fotka z furmanką, przed naszą budą, na niej cały twój rok, profesor Leon Dołżycki i ty na samej górze. Jak to zdążyłeś zrobić samowyzwalaczem skoro jesteś tak wysoko?

– Musiałem zdążyć, miałem na to 10 sekund. Czekaliśmy wtedy na obronę dyplomu, profesorowie się spóźniali, była furmanka, to weszliśmy na nią. Nadchodził Dołżycki, nasz dziekan, z daleka wołał „zaczekajcie”, daliśmy mu lejce i to historia tego zdjęcia.

– Myślałem, że to był konik zaprzyjaźnionego z nami furmana z Raciborskiej, od którego wypożyczyliśmy go jako żywy element do dekoracji jednego z „Western Bali”, jakie urządzaliśmy na uczelni. Koń stał przed namalowanym Saloonem i tak przejął się rolą, że z emocji sypnął knedliczkami, wzbogacając także wędrowo atmosferę dzikiego zachodu.

Następne zdjęcie – „Zakład Szewski”, znane także w formie grafiki nagrodzonej na Międzynarodowym Triennale Grafiki w Krakowie...

– Byłem bardzo ucieszony, bo dostać się na tę wystawę to już był sukces, a dodatkowo zahaczyć o nagrodę to już pełnia szczęścia. Nagroda była austriacka z Cultural City Network Graz. Przewodniczącym jury był Richard Noyce z Londynu – on już na bankiecie gratulował mi tej grafiki, a także pani Wróblewska, która również była w jury. Po dziewięciu latach stałem przed moją nową grafiką w BWA w Katowicach, a tu z daleka woła jakichś facet „Hello Ferdinand”, odpowiedziałem, ale nie wiedziałem, kto to jest. Przedstawił się: Richard Noyce – było mi miło, że mnie zapamiętał i pracę, którą niegdyś nagrodził.

– To chyba jedyna twoja grafika, w której tak zdecydowanie wykorzystales fotografię. Wiem, że miałeś wcześniej grafiki, które bazowały na fotografii, ale tu wykorzystales ją w formie czystej, niosząc jedynie elementy graficzne.

– To zdjęcie powstało w 1921 roku, czyli ponad 90 lat temu, bardzo je sobie cenię, bo ma wątki rodzinne. Główny szewcem jest Vincent, mój wujek, który był długoletnim cechmistrzem szewskim. Kuriozum jest ilość czeladników, których poznałem, bo są w czapkach na głowie i uczniów bez czapek. Obecne na zdjęciu dzieci wujka są bez butów, jak to w lecie w zwyczaju było.

– Nie mogło być inaczej, bo tak mówi przysłowie...

– Zeby zdjęcie ożywić, puściłem ogień z okna, bo tam była tablica „Stacja Pożarna” czyli punkt zgłaszania pożarów. Mam do tego sentyment, bo wśród tych szewców to się prawie wychowałem, przy okazji też złożyłem egzamin i jestem czeladnikiem szewskim.

– Ta grafika jest także bardzo zabawna, niesie z sobą tak wiele dowcipu w twoich dorysowaniach.... Zaciekawia



Rozmowa z FERDYNANDEM SZYPUŁĄ



Ferdynand Szypuła (z lewej) i Henryk Bzdok

# Ferdynand Bluebox – grafika i...

jako dokument epoki i chciałoby się o tych czasach wiedzieć więcej...

– W rybnickiej gazecie ukazał się tekst pt. „Z kamerlika do muzeum” o klanie szewców Szypułów. Wujek jako cechmistrz miał średniowieczny obraz ze świętymi Kryspinem i Kryspianem, który przechodził z rąk do rąk kolejnego cechmistrza. Wujek był cechmistrzem ponad 20 lat, więc Sztandar i obraz były ty-

leż lat u niego, a byli na nim dwaj szewscy męczennicy.

– Znam ten ból chodzenia w ciasnych butach...

– Nie, nie, jakąś dobroczynność zrobili z butami i zostali ukarani śmiercią w kotle. Obraz został przekazany do Muzeum w Rybniku i tam się znajduje, a wnukowi wujka przekazano kopię.





Dyplom 1957, ASP w Krakowie, Wydział Grafiki w Katowicach.

– Chyba nie to dzieło wskazało ci kierunek studiów?

– Lubilem rysować i majsterkować. Ta manualna zdolność pomagała mi w tworzeniu sztuki i innych rzeczy praktycznych, bo zawsze chciałem być wynalazcą.

– Są zdjęcia przedstawiające cię jako sportowca, wiem, że jeździliście na rowerze z Rybnika do Katowic.

– Tak, doszło to nawet do dziekana, był tym zaskoczony, a ja traktowałem to jako trening, codziennie miałem 100 km w nogach. Wtedy powstał w Rybniku Klub Kolarski „Budowlani”, no i zaraz się do niego zapisałem. Stwierdzono, że mam duży talent i zaproponowano mi dożywianie w Fabryce. Zmarła mi wtedy matka i podobno bali się, że będę niedożywiony. No i zacząłem w się ścigać w wyścigach lokalnych, a potem wojewódzkich. Brałem udział w „Kryterium Asów” w Katowicach, zajmowałem w nich zawsze najdalej 8-9 miejsce. Starowałem także w Mistrzostwach Polski w Krakowie.

– Byłeś asem szos, ale także sportowcem nad wodą. Nurkowałeś na Mazurach...

– Po lekturze książki o fotografii podwodnej zainteresowałem się nurkowaniem i sprzętem. Jeszcze w czasie studiów zacząłem konstruować hełm do nurkowania. Na Mazurach przygotowaliśmy żagłówek z silniczkiem. Ten silnik miał odpalić Jasiu Owen i w czasie tego zahaczył paskiem zegarka o linkę i zegarek poleciał do wody. Ponieważ był to drogi zegarek, krzyknąłem: „Rzuć kotwicę!...”. Było to około 20 metrów od brzegu. Nadszedł czas mojej próby zejścia do wody, ale nie mieliśmy wypróbowanego hełmu dzwonowego i nie mieliśmy pompy. Miejscowi chłopcy wnet nam taką przynieśli, obciążyliśmy także hełm, przywiązany do niego dużym kamieniem. Umówiliśmy sygnały przywiązanego do ręki sznurka: jedno szarpnięcie – więcej powietrza, trzy szarpnięcia – wyciągnąć nurka.

Schodziłem pierwszy na głębokość 6-7 m, widziałem obok przepływającą bez lęku rybę z czerwonymi płetwami, to chyba był okoń, był wyraźnie mną zaciekawiony. Gdy stąpnąłem na dno okazało się, że było tam pół metra szlamu, nie mogłem się pochylić więc szukałem nogami, z poszukiwania wyszły nici...

Jasiu obiecał zawiedzionym moją akcją chłopcom nagrodę 500 zł za odnalezienie zegarka i popłynęliśmy dalej...

Lubiłem fotografować, a ponieważ i ojciec tym się zajmował, to siedzieliśmy razem w ciemni. Obok fotografii zainteresowałem się filmem amatorskim. Kiedy byłem na pierwszym roku powstała w Rybniku Sekcja Filmowa, różnych rzeczy tam próbowałem, chcieliśmy nawet sfilmować „Ósmy dzień tygodnia” Hłaski.

– Jedną z pierwszych technik graficznych jakie uprawiałeś był gipsoryt i linoryt.

– Tak to jedna z najprostszych technik, ale stosowna do uprawiania po studiach, bo można ją odbijać łyżką, a absolwent niczego przecież nie miał poza narzędziami.

– Nicco później jako aktywny grafik pracowałeś też w telewizji jako operator kamery. Jak godziłeś te dwie profesje.

– To wszystko się działo równoległe, a to samo pytanie zadała mi kiedyś na mojej drugiej wystawie indywidualnej Maria Podolska publicystka kulturalna *Trybuny*...

– Pamiętam ją dobrze, ówczesnie była nieco krytycznie oceniana w środowisku, a kiedy dziś czytam jej archiwalne teksty dowiaduję się o tamtych czasach wiele rzeczowych wiadomości.

– ... i wtedy ona zapytała: „Panie Ferdynandzie, kiedy pan to robi, bo kiedy otwieram telewizor to są plansze z pańskim nazwiskiem?” – Jest jeszcze noc – odrzekłem. Ważne, że zauważono mnie jako coś robiącego poza telewizją, w której przez 10 lat byłem za kamerą a ponad 20 lat robiłem scenografię.

– No i udoskonalałeś techniki tworzenia obrazu przy pomocy swych magicznych urządzeń.

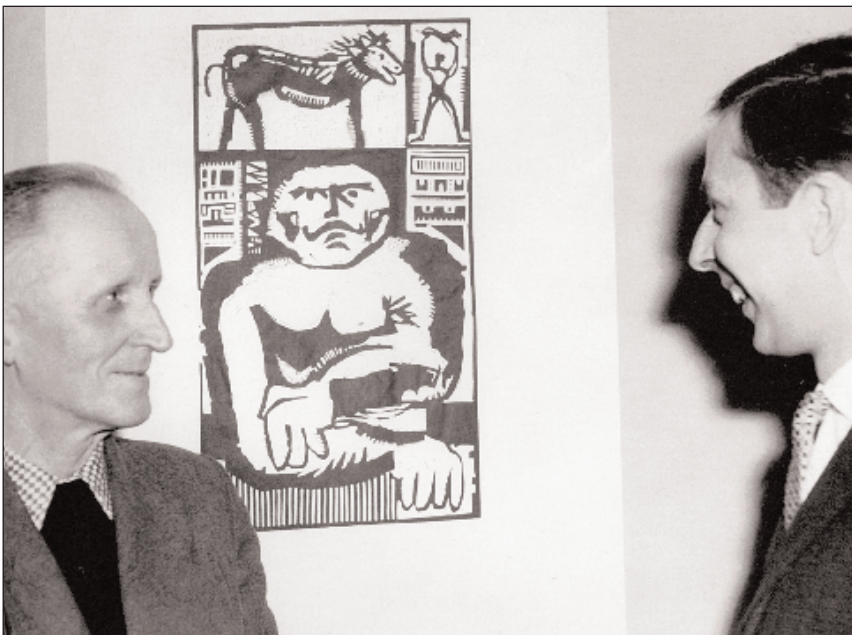
– Wtedy bardzo modny był Blue Box, który służył do tego, by aktora można było wyciąć i wstawić w inne tło. Budowałem wtedy minidekoracje, by potem wpleść w nie aktora i zbliżyć go do rzeczywistości. Ta minidekoracja udawała potem dekorację rzeczywistą, wielkoformatową. Aktorka występowała na niebieskim tle zmiksowana z moją minidekoracją, tworząc obraz nie do odróżnienia od rzeczywistości. Pracowałem także nad nadaniem ruchu i zmienianiu się form plastycznych w tle.

– Miałem okazję zobaczyć to urządzenie na twojej wystawie w Rondzie.

– To urządzenie ma specyficzną szybę, złożoną z płyt szklanych, które obracały rzeczywisty obraz z tyłu i stwarzały nowe formy filmowane przez jedną kamerę, jako tło. To, co miało 20 cm potem w nowej rzeczywistości mogło być długie na 20 metrów.

– Nagrodziłbym cię za oszczędność materiałów...

– Był program cykliczny „Żywoty instrumentów” prowadzony przez Janusza



Prof. Aleksander Rak (z lewej) na pierwszej indywidualnej wystawie Ferdynanda Szypuły.



Cegiellę, który pisał do mnie listy, co chce pokazywać i jaka winna być sekwencja, nie do końca wierząc, że ja to zrobię. Tak, na przykład, pisał: „Mamy następny program o flecie z kości słoniowej, który trzyma Stańczyk w obrazie Jana Matejki «Hołd Pruski», ja bym go wypożyczył z Muzeum Czartoryskich... pokazałbym to tak – wchodzę do sali wystawowej, stoję przed obrazem, w którym na spodzie siedzi Stańczyk, zbliżam się do niego, on wstaje i podaje mi flet, który pokazują telewizjom, omawiam instrument, potem go oddaję i koniec sekwencji”. Cegiella nie wierzył, że to zrobię, a reżyser, kiedy to usłyszał, rzekł do mnie: „Lepiej jak to sam wyreżyserujesz...”.

Potrzeba było dużą reprodukcję dzieła: kupiłem ją w Warszawie, uszyto kostium Stańczyka, taki w jakim był na obrazie, wyretuszowałem z obrazu Stańczyka i uzupełniłem tło. W tym miejscu siedł potem aktor i odtworzył co trzeba było. Wszystko się udało, sam się zdziwiłem, że aż tak dobrze.

– **Winięś mieć nagrania twoich programów...**

– Widzisz, gdybym nie robił fotograficznych notatek, z programów nic by nie było. Potem robiłem Blue Box z telewizją warszawską, inżynierowie z wozu transmisyjnego stale fotografowali moje przygotowania trickowe. Zwrócono mi na to uwagę: „Oni cię zryniają...”. No to im powiedziałem, by nie fotografowali i jeden z nich mi odpowiedział: „O, Mister Bluebox,” i tak mi pozostało.

– **Twoje telewizyjne doświadczenie scenograficzne sprawiło, że jesteś dzisiaj najlepszym aranżerem wystaw plastycznych. Wystawy, które dotknęły swoim myśleniem, są bardzo dobrze odbierane i rozpoznawalne.**

– Wystawiennictwo nie wzięło się przypadkiem. Ówczesny dyrektor BWA Witold Ciechanowicz, zaproponował mi oprawę dużej wystawy „Salony Paryskie”. Wzbraiałem się, ale on powiedział: „Pracujesz w telewizji, robisz scenografię, czujesz przestrzeń, a o to chodzi, tyle że na innej bazie”. Wystawa została dobrze odebrana, namęczyłem się i chciałem sobie z tym dać spokój, ale były następne wystawy. I tak to robię od 30 lat.

– **A w telewizji...**

– .... robiłem wszystkie ważne mecze międzynarodowe. Wieloletni, uważający się za najlepszego operatora kamery i wielkiego sportowca – Lubandy – w wywiadzie powiedział: „Ferdok Szypuła absolutnie na sporcie się nie zna, w czasie transmisji pyta się jaki jest stosunek bram, albo którzy są którzy...”. Prawda, zadawałem takie pytania realizatorowi – ile oni prowadzą – dostawali szału.

– **Prawda. Na sporcie się nie znałeś, ale byłeś jednym z najlepszych realizatorów sportowych. Masz tu fajne zdjęcie z prof. Rakiem, który zaszczylił cię na wystawie. Jest uśmiechnięty, co mu się raczej rzadko zdarzało. Mnie też udało się go raz rozśmieszyć: robiłem linoryt z koridą, byk miał być na drugim planie, ale wyszło płasko, a Rak na to: „.... chłopie ten byk u was taki mały...”**



Wincent, 2003, digital print, 70x120 cm

– U mnie z Profesorem początkowo było tak: myślałem, że się na mnie uwziął, ale potem wyszło, że męczył tych studentów, z których, jak wierzył, może coś wycisnąć. Zaprosiłem go na moją pierwszą indywidualną wystawę w 1962 roku, choć trochę się bałem, że mnie skrytykuje. Na otwarciu podszedł do mikrofonu i poprosił o głos. Trochę zzieleniałem, ale się myliłem, bo mówił o wystawie w samych superlatywach. Przez owe pięć lat po Akademii, nie śledził mojej twórczości i był zszokowany widząc w moich pracach dużą perspektywę rozwoju. Ta fotografia Mirskiego sprawiła mi wiele radości.

– **Jest i piękne zdjęcie z balu, których tak wiele wtedy urządzano w uczelni.**

– Tak, to był bal kostiumowy, byłem na nim jako gangster, zrobiłem sobie tygodniowy zarost i wyciąłem szramy. Ze nek Moskwa robił repliki pistoletów... Cały tydzień chodziłem bocznymi ulicami z tym zarostem, a w pociągu otulałem się szalem by mnie nie zwinięto.

– **W twoich grafikach przewija się taka końska głowa...**

– Zrobiłem rzeźbę na konkurs, dostałem za nią nagrodę, co nie było rzeźbiarstwu na rękę. Kiedy te rzeźby były pokazywane w telewizji przez Zaczycę, podszedłem i powiedziałem, by o mej rzeźbie nic nie mówił, bo się boję, że nie zostawią na mnie suchej nitki... – To niech oni robią lepiej – odpowiedział – i dodał: – nie zgadzam się.

– **Ja też na pierwszym roku, zdobyłem pierwszą nagrodę za rzeźbę w Parku Kultury, ale żaden rzeźbiarz nie był zazdrosny, bo była wykonana w materiale nietrwałym, w ramach konkursu na rzeźbę śniegową...**

Śledząc twoją twórczość zauważamy, że w któryś momencie delikatnie jedną nogą przechodzisz w świat abstrakcji – te prace w technice intaglią stoją na pograniczu.

– Tę właśnie pracę wysłałem na międzynarodową wystawę do Maastricht, gdzie wystawiano cztery tysiące prac na olbrzymich terenach targowych. Poje-

chałem tam już po otwarciu Sekcji Polskiej z około 15 autorami i nie znalazłem swej pracy. Poprosiłem o katalog, w którym była jej duża reprodukcja. Okazało się, że byłem nominowany do Grand Prix, a moja praca z 12 innymi nominowanymi wystawiona była w osobnej sali.

– **Twoje grafiki w typie wspomnianej zaczynają płynnie ewoluować do nowej twojej techniki – grafiki komputerowej, były tak wizjonerskie, że łatwo je rozwijać w tej nowej technice, gdzie ten sam efekt uzyskuje się prostszymi środkami.**

– To dla mnie plus, że nie wyrwałem się jak Filip z konopi. Był to dalszy ciąg, chociaż zmieniła się technika, w której mogłem przedstawić coś, co w poprzedniej technice było niemożliwe.

Szczytem techniki akwafortowej był druk z czterech płyt, to były jakby cztery warstwy. Przechodząc do grafiki cyfrowej też znajduję tam warstwy i czasem używam ich do 150. Trzeba to wszystko zapamiętać, bo na warstwach znajdują się czasem jedynie mikrocząstki obrazu.

– **Ja pracując na warstwach nie przekraczam siedmiu, ale czasem łączę te już gotowe, zmniejszając ich liczbę.**

– Zostałem kiedyś zaproszony do Akademii prze z prof. Szmatlocha, żeby pokazać studentom, jak się drukuje grafikę kolorową. Profesorowie Kluska i Szmatloch są wybitnymi grafikami w technikach czarno białych, ale studenci, którzy chcieli robić grafiki kolorowe, nie bardzo się mogli od swoich profesorów dowiedzieć. Profesorowie zareagowali informacją, że mają faceta, który pokaże jak się wykonuje druki kolorowe. Na ten pokaz przyszło około 50 studentów – to już był sukces dla zainteresowania grafiką kolorową. Drukowałem tam swoją grafikę złożoną z trzech płyt, których druk trwał godzinę.

– **A dalej....**

– Mam w zamyśle i w szkicach różne rzeczy, więc poczekajmy...





Jest tylko jedno torfowisko wysokie, na które można dostać się suchą nogą. I zachwycać nim z bliska. Jego wypiętrzoną, zieloną (choć bez dostępu do wód gruntowych) kopułą, porośniętą sosną drzewokosą. Barwami kwitnącego mokradła na tle szczytów Tatr. Ożywym otoczeniem wilgotnego, bagiennego boru. I myślą o Gorcach, które stąd też można dostrzec.

To Bór na Czerwonym. Jedyny w polskiej części kotliny Orawsko-Nowotarskiej rezerwat torfowiskowo-leśny. Żywy pomnik przyrody. Równocześnie jeden z najstarszych rezerwatów w Polsce. Dzięki leśnikom – także wielkie odkrycie ostatnich lat dla tysięcy ludzi odwiedzających to miejsce.

Utworzono go w okresie międzywojennym w 1925 roku na powierzchni zaledwie dwu hektarów. Nadano mu wówczas nazwę „Na Czerwonym”. O takim jej wyborze zadecydował obecny na jego mokradłach jeden z gatunków istniejących tu glonów, przebarwiających się jesienią na czerwono.

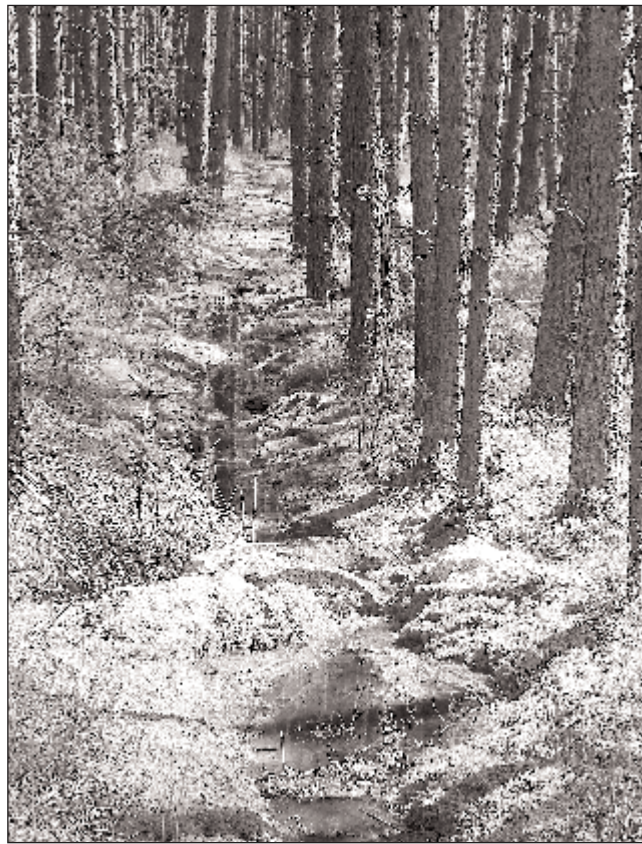
Dzięki staraniom wybitnego przyrodnika profesora Władysława Szafera, który znalazł prawdziwą wartość kurczących się torfowisk, w 1956 roku powiększono jego obszar do 48 hektarów. Zmodyfikowano też nazwę na bardziej reprezentatywną przyrodniczo na „Bór na Czerwonym”.

Od 2003 roku na mocy rozporządzenia wojewody małopolskiego, unikatowy w skali europejskiej Bór na Czerwonym, rozciąga się w przestrzeni bez mała 115 hektarów w granicach Lasów Państwowych Leśnictwa Bór oraz Nowego Targu.

Czym szczególnie wyróżnia się torfowisko wysokie, umiejscowione wraz z innymi cennymi przyrodniczo obszarami wzdłuż Kotliny Orawsko-Nowotarskiej?

### Kipiące życiem złożo

W Polsce torfowisk mamy tysiące. Głównie tych niskich, które powstają w dolinach rzek i strumieni. Stanowią one blisko 90 procent wszystkich naszych mokradel. Kolejne kilka ich procent zalicza się do form przejściowych. Najmniej



Bagienny „Bór na Czerwonym”

## Na torfowisku wysokim

jest torfowisk tych najcenniejszych czyli wysokich.

Torfowiska powstawały przed ośmiu, może nawet dziesięcioma tysiącami lat. W sprzyjających warunkach geologicznych i ocieplającego się klimatu.

Te wysokie w bezodpływowych zagłębieniach, na nieprzepuszczalnym podłożu. To sprawiało, że porastające je rośliny obumierały beztlenu. Nie mogły rozkładać się do końca. Ich resztki, przystające „z szybkością” jednego milimetra mięszu na rok, podwyższały złożo torfowe. Czyli potrzeba było tysiąca lat, by złożo torfowe urosło do metra wysokości.

Torfowiska kipią życiem natury. Ich wartość przyrodnicza jest nie do przecenienia. Podobnie jak ich ogromne zdolności retencyjne.

Torfowce, zwłaszcza te wysokie, są w stanie wchłaniać wodę w ilości od 25

do nawet 40 razy większej od ich suchej masy. Wodę zatrzymują również puszczyce mchy porastające mokradła. Torf w suchej postaci ma też sporą wartość opałową.

Odkąd człowiek się zorientował, że torf daje siły vitalne nie tylko przyrodzie, ale i pożytki ludziom, rozpoczęła się jego wielka eksploatacja. Na opał, na potrzeby rolników i ogrodników, do celów leczniczych.

Torf wybierano oficjalnie i „na dziko” od połowy XIX wieku. Do dziś przetrwał z tamtego czasu podhalański operat leśnictwa, w którym zapisano, że podczas jednej tylko zimy z zamrażniętych torfowisk wyjechało dwa tysiące furmanek. To był złego początek. Na tych terenach aż do czasów II wojny światowej paliło się prawie wyłącznie drewnem i torfem aż do czasów II wojny światowej.

Jeszcze gorsze dla torfowisk okazały się lata powojenne, gdy torf zaczęto z nich wydobywać na skalę przemysłową. Konie i wozy zostały zastąpione koparkami i traktorami. Wokół kopuły torfowisk budowano sieć rowów odwadniających. Zniszczono je nieodwracalnie na powierzchni do około tysiąca hektarów. Odczuwalnie zmniejszyły się na Podhalu naturalne możliwości retencji wód. Powodzie stały się powszechniejsze. Szybko

zniszczone to, co natura tworzyła przez tysiące lat!

### W Borze na Czerwonym

W Borze na Czerwonym, jedynym chronionym w tej części kraju torfowiskowym rezerwacie można to ocenić, dzięki wybudowanej tu ścieżce edukacyjnej.

Grupę dziennikarzy, uczestniczących w warsztatach z okazji jubileuszu 90-lecia Lasów Państwowych prowadzą w to miejsce znawcy problemu, gospodarze lasów nowotarskich: nadleśniczy Roman Latoń z Nadleśnictwa Nowy Targ i leśniczy Leśnictwa Bór – Krzysztof Przybyła.

Ruszamy w piękny las. Mijamy po drodze pozostawione martwe drzewa. Świadczą o czynnej ochronie rezerwatu. Nieco dalej przyrodnicze tablice informacyjne



i bardzo wielu ludzi. To znak, że jesteśmy na edukacyjnej ścieżce ekologicznej. I równocześnie na szlaku turystycznym. Po przejściu kilkuset metrów wchodzimy na drewniany podest. Takie leśne moło nad mokradłami, zastoiskami wodnymi, grząskim runem lasu. Jest długie. Ma 160 metrów. Prowadzi na taras widokowy.

Z jego wysokości widać nie tylko wypiętrzoną na trzy, może cztery metry powyżej gruntu, kopułę. Na niej niskie objęte ścisłą ochroną sosny drzewokose i kosodrzewina.

Wokół kwitnące, barwne bagnisko z dolinkami i kępkami. Poniżej, po bokach roślinność torfowiskowa z bagnem zwyczajnym, borówką bagienną, żurawiną błotną i całym bogactwem mięsistych mchów. Najpopularniejszą na torfowisku jest rosiczka okrągłolistna, żywiąca się owadami.

W słonecznym tle szczyty Tatr. Wokół wysoki, wilgotny las. Taki sobie sosnowy bór bagienny z domieszką świerka, brzozy czarnej i omszonej oraz innych drzew. Niesamowity, bajeczny widok.

Pierwsza myśl, że to konkretne torfowisko ze swoją kopułą, wpisane w europejską Sieć Natura 2000, zostało uratowane, za chwilę okaże się przedwczesna.

Torfowisko jest przez leśników odbudowywane, przebudowywane i czynnie chronione. Specjalne urządzenia hydrologiczne podnoszą stan wód torfowiska. W tym celu na licznych leśnych ciekach, którymi woda wypływa także z kopuły torfowiska, stosuje się specjalne, drewniane zastawki, spowalniające ten proces. Efektem ich obecności są również wszechobecne w lesie torfowiskom rozległe zastoiska wodne. Doskonałe środowisko do życia dla roślin bagiennych, żerowania owadów i ptaków jak np. traszek i kumaków.



Fragment ukwieconego torfowiska

W ich życie leśnicy ingerować nie muszą. Inaczej jest w przypadku roślinności, drzew, wkraczających na kopułę torfowiska, wbrew jego naturze. Bezustannie trzeba z niego usuwać rośliny wodolubne bądź ograniczać ich wzrost przez obrączkowanie. Tak dzieje się w przypadku sosny zwyczajnej.

Stosuje się tutaj różne sposoby ochrony i poprawy kondycji tego unikatowego rezerwatu. Z jednej strony przywracając mu naturalne, podmokłe siedlisko, z drugiej przebudowując rezerwatowy las kosztem świerka na rzecz jodły i buka. W ten sposób realizowany jest program ochrony mokrych siedlisk w Karpatach.

Torfowisko jest regularnie monitorowane. Nad monitoringiem hydrologicznym i geologicznym czuwa m.in. profesor Uniwersytetu Śląskiego, dr. hab. Adam Łajczak. Badany jest poziom wody, sprawdzana skuteczność powstrzymania degradacji torfowiska.

### Ścieżka bije rekordy

Leśnicy chętnie dzielą się wiedzą o ochronie i ratowaniu tego rezerwatu. Z wielką pasją opowiadają o przyrodzie lasu, cudach jego natury i korzyściach płynących z jego ochrony, a nie niszczenia.

Ci nowotarscy w tym właśnie celu postanowili wybudować tutaj ogólnodostępną, także dla osób niepełnosprawnych ruchowo, kolejną ścieżkę edukacyjną. Pomysł został zrealizowany przy wsparciu finansowym środków unijnych z Małopolskiego Regionalnego Programu Operacyjnego na lata 2007-2013 i dobrej współpracy z miastem Nowy Targ.

Jest otwarta dla ludzi już czwarty rok. Okazała się wielkim społecznym sukcesem, który spełnia marzenie pomysłodawców o pozyskaniu sprzymierzeńców dla ochrony niszczonego torfowiska wysokich Kotliny Orawsko-Nowotarskiej.

Dziś nowotarscy leśnicy cieszą się ze swojej pomyłki. Tworząc ścieżkę edukacyjną, błędnie zaplanowali ilość osób zainteresowanych formalną i nieformalną edukacją leśną na ścieżce rezerwatu. Obliczali ją na trzy, no może pięć tysięcy. Stało się inaczej. Już w 2012 roku Bór na Czerwonem i jego ścieżkę odwiedziło osiemdziesiąt tysięcy osób, traktujących to miejsce jak prawdziwy skarb natury.

W tym rezerwacie nie ma koszy na śmieci. I nie ma śmieci! Tutaj cisza leśna gra w uszach. Chociaż nikt nie broni odwiedzającym ani swobodnego chodzenia po lesie, ani zbierania jagód czy poziomek, czy nawet bardziej wyczynowych spacerów dla zdrowia. Byłe szlakiem.

Bór na Czerwonem ze swoją ścieżką edukacyjno-turystyczną, usytuowaną na obrzeżach sportowego lotniska nowotarskiego, ma w sobie jakąś niezwykłą moc. Odwiedzający ją widać poczuli, że tworzony przez naturę przez tysiące lat torf, daje siły witalne i przyrodzie i ludziom.

JOLANTA MATIAKOWSKA



Dofinansowano ze środków  
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska  
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA





Górnictwo Orkiestra Dęta „Piekary – Julian” podczas parady w Tarnowskich Górach.

# Złote trąby i czerwone pióropusze

RYSZARD  
BEDNARCZYK

Górnictwo orkiestry dęte były w czasach Polski Ludowej potęgą. Na Górnym Śląsku rzadko która kopalnia nie miała własnego zespołu instrumentów dętych. W prawie każdej uroczystości zakładowej czy państwowej – nie mówiąc o Barbórcie – uczestniczyli ludzie w górniczych mundurach, z czerwonymi pióropuszymi na czapkach i lśniącymi instrumentami dętymi w rękach. Jedną z najbardziej znanych – liczącą 120 muzyków i 20 nastoletnich werblistów – Orkiestra Dęta Kopalni „Walenty – Wawel” z Rudy Śląskiej wystąpiła nawet w 1966 roku w Warszawie w rządowych obchodach Tysiąclecia Państwa Polskiego. Do dziś opowiadana jest anegdota, jak to rudzcy orkiestranci, maszerując do mostu przez Wisłę, w porę ostrzeżenia przeszli na drugi brzeg zwykłym krokiem, nie dopowiadając do rozchwywania konstrukcji.

– Znam tę historię z opowiadań, bo sam wtedy nie należałem do orkiestry, nawet nie wiem, o który most chodziło Poniatowskiego czy Śląsko-Dąbrowski, ale to

prawda – potwierdza Jacek Kampa, dyrygent orkiestry dętej kopalni „Pokój”, kontynuującej tradycje orkiestry „Walenty – Wawel” w Rudzie Śląskiej.

Nic dziwnego, że dyrekcje kopalń hołubiły swoje zakładowe orkiestry, finansując ich działalność. Członek orkiestry w dniu koncertu nie musiał fedrować na szychcie a dodatkowo otrzymywał za jeden występ od 30 do 50 złotych. Autokar do podwiezienia, też darmowy, oferowała dyrekcja kopalni. Niekiedy kapelmistrz mógł liczyć na górniczy etat. Pieniądze na orkiestry pochodziły częściowo z obowiązkowych składek załogi.

– Podczas przyjmowania do pracy przyszły górnik dostawał do podpisania kilka deklaracji comiesięcznych składek m.in. na orkiestrę dętą. I często świeżo upieczony pracownik drwił, że muzycy zagrają mu dopiero na pogrzebie, ale płacił – wspomina Jan Ślusarczyk, biuralista z nieistniejącej już kopalni „Rozbark” w Bytomiu.

## Orkiestra górnicza bez kopalni

Dopiero po nastaniu ustrojowej transformacji, kiedy to rozpoczęła się likwidacja kopalń, nastąpiły dla orkiestr trudniejsze czasy. Jeszcze w połowie lat 90. minionego stulecia na Górnym Śląsku istniało 108 orkiestr. Jak odnotował Andrzej Wójcik, sekretarz Oddziału Śląskiego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, w raporcie o „Kondycji społecznego ruchu muzycznego na Śląsku” do 2008 roku ocalało jedynie 51 zespołów dętych.

Jako jedni z pierwszych smutku likwidacji doświadczyli górniczy muzycy w Bytomiu. Jeszcze na początku lat 90. XX wieku w tym mieście istniało siedem kopalń, a przy każdej z nich dęli w trąby muzycy górniczy. Stopniowe łączenie i likwidacja przez Kompanię Węglową kopalń doprowadziło do powstania w Bytomiu tylko jednego Zakładu Górniczego „Bobrek-Centrum”. Los kopalń podzieliły zespoły muzyczne.



Ostoją górniczych muzyków stała się orkiestra dęta kopalni „Miechowice”. Istniejąca od 1920 roku i oparta na wielopokoleniowych więzach ocalała, bo jej członkowie w 1995 roku założyli Stowarzyszenie Muzyczno-Kulturalne Górnicza Orkiestra Dęta „Miechowice”. Po dołączeniu do zespołu muzyków z kopalń „Bobrek” i „Centrum” w 2007 roku przyjęli nazwę Górnicza Orkiestra Dęta „Bytom” – jedyna w mieście. Jej dyrygentem został Józef Słodczyk, którego dziadek Kaspar, ojciec Augustyn i brat Engelbert także wiele lat grali w orkiestrze. W sumie w trąby dęło 11 członków rodziny Słodczyków. Takich wielopokoleniowych rodzin związanych z orkiestrą jest do dzisiaj kilkanaście.

Usamodzielnienie się bytomskiego zespołu w formie stowarzyszenia sprawiło, że muzycy musieli jako pierwsi rozpocząć działalność na zupełnie nowych zasadach – bardziej wolnorynkowych.

– Działamy jak każdy podmiot gospodarczy. Zarabiamy pieniądze, wystawiamy rachunki, płacimy podatki – wyjaśnia Marek Klementowski, menedżer od 1996 roku bytomskiej orkiestry i wiolelni wiceprezes Sekcji Krajowej Górnictwa Węgla Kamiennego NSZZ „Solidarność”. Wolny rynek sprawił, że orkiestra występuje nie tylko na uroczystościach publicznych czy z okazji Barbórki. Muzycy grają na ślubach, pogrzebach, pożegnaniach pracowników, podczas kościelnych ceremonii, towarzysząc także otwarciu placówek handlowych czy administracyjnych. Wyjeżdżają na krajowe i zagraniczne przeglądy orkiestr dętych. Udział w imprezach stał się źródłem dochodów przeznaczanych na utrzymanie zespołu dętego.

– Zapłata za koncert w pełnym składzie może sięgać nawet 10–15 tysięcy złotych. Wszystko zależy od czasu, miejsca, trasy i liczby osób. Nie ma stałych stawek. Najmniej kosztuje występ 10 muzyków – zdradza Marek Klementowski. Choć zdarza im się grywać i za darmo, przykładowo na meczach bokserskich Damiana Jonaka.

Stowarzyszenie wpisało się także na listę organizacji pożytku publicznego i co roku otrzymuje zadeklarowany przez sympatyków jeden procent odpisu podatkowego. Z bilansu 2007 roku wynikało, że na koncie orkiestry znalazło się na plus 29 tys. zł. Nowa sytuacja samofinansowania się zmusiła muzyków do dbania o wizerunek zespołu. Nagrali płytę CD, liczne filmowe spoty. Reklamują się jako orkiestra, która zagrała w Watykanie przed Janem Pawłem II. Sporo popularności przysporzył im występ w telewizyjnym programie „Mam talent”. Podkreślają, że zwyciężyli w międzynarodowym festiwalu orkiestr dętych w norweskim Hamar.

#### Kosztowne dmuchanie w trąby

**P**odkreślić jednak trzeba, że utrzymanie tak liczebnego zespołu muzyków dużo kosztuje. Za uszycie paradnego

munduru z czakiem i pióropuszem, który zużywa się po siedmiu latach, krawiec bierze tysiąc złotych. Dobry instrument blaszany kosztuje kilkanaście tysięcy złotych. Do tego dochodzą koszty opłat za dach nad głową, czynsz, ogrzewanie, prąd, telefony. Muzycy bytomskiej orkiestry od 2003 roku są w na tyle szczęśliwej sytuacji, że mają własną siedzibę w dawnej stołówce w Miechowicach, ale bez sali koncertowej.

To, co spotkało Orkiestrę Dętą „Bytom” już w latach 90. XX wieku, dotknęło pozostałe kapele górnicze dopiero w 2008 roku, kiedy zarząd Kompanii Węglowej zrezygnował z ich finansowania. Ci orkiestranci, którzy nadal chcieli dąć w instrumenty blaszane, musieli pójść w ślady miechowickiej orkiestry. W Rudzie Śląskiej, gdzie mimo restrukturyzacji górnictwa ocalały cztery kopalnie, muzycy zarejestrowali towarzystwa muzyczne. Jednym było Rudzkie Stowarzyszenie Kulturalne Orkiestry Dętej KWK „Pokój”. Powstała w 1922 roku, aktualną nazwę przyjęła po połączeniu w 1968 roku kopalń „Wanda-Lech” i „Pokój”. W 1996 roku po kolejnej kopalnianej fuzji do zespołu dołączyli członkowie słynnej orkiestry „Walenty-Wawel”. W odróżnieniu od innych zakładowych zespołów dętych orkiestra kopalni „Pokój” może jeszcze liczyć na dobrą wolę górników, gdyż nadal związana jest z kopalnią, jako głównym odbiorcą usług muzycznych i blisko 700 pracowników w 2011 roku opłaciło dobrowolne składki na utrzymanie zespołu, co miesięcznie przynosiło stowarzyszeniu około sześć tysięcy złotych dochodu.

– Nie skorzystaliśmy z odpisu jednego procentu, bo wpis na listę organizacji pożytku publicznego, jak i późniejsze rozliczenia są bardzo skomplikowane a zyski niewielkie – zastrzega się Jacek Kampa, dyrygent i menedżer Orkiestry Dętej KWK „Pokój” w Rudzie Śląskiej. Dyrygent zdradza, że jego orkiestra dęta inkasuje za występ trzy tysiące złotych. Według jego rozeznania takie stawki oferuje każdy zespół instrumentów dętych.

Samofinansowanie się orkiestr dętych wpłynęło także na ich repertuar. Wykonują już nie tylko hymny państwowe czy też patriotyczne lub ludowe melodie. Mają w repertuarze koledy, muzykę filmową, aranżacje popularnych standardów zarówno jazzowych jak i rockowych. Dziś orkiestra dęta potrafi zagrać każdy przebój. Wrażenie robi brawurowo wykonywane na trąbce solo motywu przewodniego – znajdującej się w repertuarze większości orkiestr dętych – kompozycji Chuca Mangione z filmu „Dzieci Sanchez’a”. Niemniej żywiłowo brzmi „Bałkanica” – zaaranżowana na instrumenty dęte – znana piosenka zespołu Piersi czy też skomplikowane muzycznie utwory Frediego Mercurego. Wyrafinowany repertuar sprawił, że poznicali z orkiestr muzycy amatorzy, którzy grania na instrumentach uczyli się od starszych muzyków.

– Większość spośród członków orkiestry ukończyło Akademię Muzyczną, ale pracują w innych zawodach, grają ja-

ko pasjonaci muzyki – mówi Marek Klementowski.

#### Konkursowe ambicje i tradycje

**W**natłoku imprez członkowie grup dętych nie zapominają o swoich korzeniach. Kontynuacją i kultywowaniem dętej tradycji są liczne lokalne przeglądy orkiestr. Od 14 lat Urząd Miejski w Rudzie Śląskiej upamiętnia postać zmarłego w 1984 roku Augustyna Kozioła, słynnego dyrygenta orkiestry dętej „Walenty – Wawel”, organizując Festiwal Orkiestr Dętych jego imienia. W bieżącym roku miał charakter wyłącznie lokalny. 3 sierpnia 2014 roku przez miasto przemaszerawały, grając melodię „Szła dziewczeczka do laseczka”, cztery górnicze orkiestry „Bielszowice”, „Halemba”, „Pokój” i „Wirek”. W parku zespoły wspólnie wykonały marsz „Alte kameraden” a później nastąpiły koncerty poszczególnych grup dętych.

Podobnym nawiązaniem do tradycji stał się organizowany od sześciu lat przez tarnogórski Magistrat Festiwal Orkiestr Dętych imienia Józefa Szweda, zmarłego w 2006 roku, pochodzącego z Tarnowskich Gór, kompozytora. W festiwalu, który odbył się w tym roku 31 sierpnia, od początku dominującą rolę odgrywały górnicze orkiestry – laureatami były m.in. zespoły z Bytomia i Halemby. Dla rudzkiej orkiestry udział w tarnogórskim przeglądzie stał się obowiązkiem, bowiem Józef Szwed przekazał blisko sto własnych utworów do jej archiwum. Specjalnie dla orkiestry „Halemba” napisał jubileuszowe kompozycje: „Uwertura na czterdziestolecie” i marsz „Halembiacy”. Jednak konkursy, przeglądy i festiwale odstraszały niektóre zespoły, bo nie przynoszą finansowego zysku.

– Zgłosiliśmy się wstępnie do tarnogórskiego festiwalu, ale po przeliczeniu kosztów dojazdu i diet, bo każdemu muzykowi muszę wypłacić 30 złotych za występ, zrezygnowaliśmy z udziału, gdyż w razie zwycięstwa otrzymalibyśmy jedynie jakąś statuetkę. W dodatku jako laureaci musielibyśmy na własny koszt przyjechać na kolejny festiwal – opowiada Jacek Kampa.

Dlaczego zatem orkiestry w ogóle uczestniczą w festiwalach, skoro przynosi to mizernie wsparcie finansowe? Nagroda za najlepsze wykonanie w Tarnowskich Górach kompozycji Józefa Szweda wynosiła trzy tysiące złotych. Głównie ze względów prestiżowych. Konkursy pomagają ustalić nieoficjalny ranking najlepszych orkiestr dętych.

– Można porównać się z innymi muzykami – dodaje Jacek Kampa. Dzięki przeglądom utrwaliła się także rywalizacja pomiędzy orkiestrami i rozbudziła wśród muzykantów ambicję sięgania po bardziej skomplikowane kompozycje oraz chęć ulepszania repertuaru. Na czym najbardziej skorzystali słuchacze.

**W**ystawioną w Teatrze Śląskim na koniec sezonu 2013/2014 sztukę Jakuba Roszkowskiego „W popielnicze diament” można odczytać jako rzecz o przegranych artyście. Tylko czy warto było niszczyć mit Zbyszka Cybulskiego, by pokazać klęskę artysty w nowej, postkomunistycznej rzeczywistości kapitalizmu z polską twarzą?

W 1967 roku miałam niespełna dziesięć lat. Mieszkałam na Plebiscytowej, naprzeciw katedry Chrystusa Króla w Katowicach, na którą wychodziły okna mego mieszkania. W styczniowy dzień z grupą dzieciaków z podwórka wybiegliśmy przed dom i obserwowaliśmy z ciekawością wielki tłum na pogrzebie Zbigniewa Cybulskiego. Byłam zbyt mała, by tak naprawdę wiedzieć, kim on był, ale rodzice powiedzieli mi, że to wielki aktor i że zginął tragicznie. Te dwie informacje pozwoliły mi, jak wielu mnie podobnym, zbudować mit Cybulskiego. Gdy dojrzewając, a potem będąc już ukształtowaną dorosłą osobą o wyrobionej estetyce i potrzebach kulturalnych, oglądałam jego filmy, patrzyłam na kreację Cybulskiego właśnie przez soczewkę jego legendy. Oczywiście, że potrafiłam dostrzec braki warsztatowe i manieryczność jego stylu gry, ale Cybulski miał charyzmę, którą obdarzeni są tylko nieliczni i której nie było w stanie zniszczyć. Ten mit wielkiego i tragicznego artysty twórcy katowickiego przedstawienia chcieli – świadomie czy też nieświadomie – zburzyć. Tylko po co?

Nie lubię gdybania, a ta sztuka jest na nim oparta. Co by było, gdyby Zbyszek Cybulski 8 stycznia 1967 roku we Wrocławiu nie wpadł pod pociąg – to główny pomysł Roszkowskiego na rzecz o Zbigniewie Cybulskim – wystawioną przez Teatr Śląski w ramach cyklu „Śląsk święty/Śląsk przeklęty” o twórcach wywodzących się ze Śląska lub z nim związanych, w mieście, do którego Cybulski był rodzinnie przywiązany i w którym spoczął na zawsze, pochowany na cmentarzu przy ul. Sienkiewicza 47 lat temu.

Tymczasem ocalony przez Roszkowskiego Cybulski żyje i ma się w miarę dobrze – jeśli chodzi o powierzchowność, jaką obdarzył go kreujący tę postać Robert Talarczyk. Co prawda podtusiwały, z brzuskiem, ale nadal wzbudza sympatię, choć na pewno już nie podziw. Wyłania się ze śmietnika. To nie tylko świadome nawiązanie do ostatniej sceny adaptacji filmowej „Popiołu i diamentu”. Komuś, kto pamięta debiut Roberta Talarczyka w 1993 roku jako Grabarza w „Śladach” Józefa Szajny w Teatrze Rozrywki, wydaje się, że to swoiste *deja vu*. Na Szajnowskim z ducha śmietnika historii świata zniszczonego totalitaryzmem tym razem jednak odbywa się targowisko próżności, spektakl obłudy i żerowisko



Spektakl ratuje sprawna reżyseria Waldemara Patlewicza, scenografia Ewy Sataleckiej i dobre rzemiosło aktorskie.

# Diament jak niedopałek

TEATR

kosztem czyjegoś sukcesu lub klęski. Wrażliwy, a może wręcz nadwrażliwy artysta czuje się jak cuchnący śmieć, bo jest zmuszony ustąpić pola celebrytom i twardej prawom rządzącym show-biznesem, który beczelnie triumfuje nad wielką, prawdziwie wartościową, sztuką.

Czai się jednak w tekście Roszkowskiego głęboko ingerująca w biografię i niczym nieuzasadniona sugestia, że śmierć na wrocławskim dworcu kolejowym skrojonego na miarę hollywoodzkiego Jamesa Deana bożyszczą polskiej widowni lat 60., to wcale nie był nieszczęśliwy wypadek, a zaplanowane samobójstwo artysty, który mimo iż osiągnął sukces, w momencie rozstania się z życiem czuł się niespełnionym i porzuconym przez reżyserów, którzy go wykreowali na gwiazdę. No cóż, zmarły bronić się nie może przed pychą omnipotentnych współcze-



Anna Kadolska i Robert Talarczyk.

nych twórców, którzy przecież nie takie rzeczy robią swym wielkim poprzednikom. Sztuka jest kiepska literacko, oparta na kilku wysłowionych, dobrze znanych faktach z życia aktora i cytatach z jego głośniejszych filmowych ról, ale tak naprawdę nie mówi o nim nic ważnego ani odkrywczego, nie buduje psychologicznego portretu nietuzinkowego artysty. Nazwisko Cybulskiego i niektóre fakty z jego życia zostały wykorzystane do namalowania portretu kogoś, kim na pewno nie był Cybulski: człowieka sfrustrowanego, zagubionego, przegranego zawodowo, który, by przetrwać na rynku, godzi się grać w marnych reklamach papierosów *Diament* (kolejne nawiązanie do słynnego filmu, z wybitną kreacją Cybulskiego). Portret Cybulskiego z roku 2014, jaki namalował Roszkowski, jest z gruntu fałszywy – podobnie jak sugestia o samobójstwie.

Zaiste trzeba niezwykłego tupetu, by artyście tej miary co Cybulski, nadać taki właśnie rys, wiedząc, że pochodził z pokolenia wspaniałych aktorów, o romantycznym zgoła etosie zawodowym, którzy nigdy na taką profanację misji artysty się nie zgodzili – *vide* Gustaw Holoubek, Andrzej Łapicki, Andrzej Szczepkowski czy Zbigniew Zapasiewicz.

Myślę, że Roszkowski mógłby znaleźć kogoś innego, kto lepiej i trafniej niż Cybulski obrazowałby jego zamysł pokazania degrengolady artysty. Jak w każdym środowisku i w tym są pewne wyjątki. Moim zdaniem świetnie nadawałaby się do tego biografia aktorki Beaty T., niewątpliwie gwiazdy filmu, która swą wspaniałą karierę kończy w dość kiepskim stylu – na usługach telewizyjnego show skierowanego do mało wybrednej publiczności, jaką zdobywa za wszelką cenę, m.in. wdzięcząc się do niej i z ekranu i z łam tabloidów. Jednak Beata T. nie jest legendą, żyje, dobrze się miewa, więc pewnie nie pozwoliłaby autorowi na wykorzystanie swego nazwiska do takiego celu, a umarły przecież nie będzie protestować, lepiej więc było użyć historii Cybulskiego.

Spektakl ratuje sprawna reżyseria Waldemara Patlewicza, scenografia Ewy Sataleckiej i dobre rzemiosło aktorskie. Dla mnie jest jednak dużym rozczarowaniem, bo w popielnicze próbowano zdusić – jak niedopałek – diament.

DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA

Jakub Roszkowski *W popielnicze diament*. Prapremiera 6 czerwca 2014 r. w Teatrze Śląskim im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. Reżyseria Waldemar Patlewicz, scenografia, kostiumy, plakat Ewa Satalecka, opracowanie muzyczne Waldemar Patlewicz, Przemysław Hollin, kierownictwo muzyczne Ewa Zug, ruch sceniczny Jakub Krawczyk, animacje Bartłomiej Rejdych, NADAL. Studio





Panufnik i Lutosławski. Rok po roku ukończyli warszawskie konserwatorium, rok po roku obchodzą swoje okrągłe rocznice, tylko w odwrotnej kolejności. W młodości przyjaźnili się, w czasie okupacji zarabiali na życie grając wspólnie w duecie fortepianowym. Po wojnie zanosili się na śmiertelną rywalizację. Lutosławski stał się wewnętrznym emigrantem, Panufnik był pupilem władz, wytypowanym przez nie jako polski „produkt pokazowy”. Przypomnę, że na początku drogi życiowej wybrał Panufnik specjalność dyrygencką. W latach 1945–1946 był dyrygentem orkiestry Filharmonii Krakowskiej, a w sezonie 1946–1947 następnie dyrektorem Filharmonii Warszawskiej. Jako szef czołowych orkiestr miał wolną drogę, jeśli idzie o zagraniczne kontakty, z czego też intensywnie korzystał. „Całe szczęście, że wyemigrował” – mruknął ktoś *a propos* układu Panufnik-Lutosławski na sali w krakowskim Pałacu Pusłowskich, gdzie odbyła się, w ramach tegorocznych Dni Kompozytorów Krakowskich, konferencja i dyskusja panelowa poświęcona Panufnikowi (12 czerwca br). „Kropką nad i” spotkania był koncert Kwartetu Śląskiego, na którym zabrzmiały dwa spośród trzech dzieł tego gatunku, jakie skomponował artysta. Wcześniej, bo już w 2003 roku Kwartet Śląski nagrał na płytę wszystkie trzy Panufnikowskie kwartety. Nagranie to, dokonane dla Polskiego Radia Katowice, uzupełnił *Relief IX „Szokoki”* Andrzeja Krzanowskiego (w ten sposób dyskretnie zaznaczono kontekst „brytyjski” całej płyty). Co ciekawe, produkcja Kwartetu Śląskiego to pierwsze polskie – i zaledwie drugie światowe – nagranie kompletu kwartetów Panufnika. Pierwsze ukazało się w 1993 roku w Wielkiej Brytanii w postaci płyty zatytułowanej *Messages*, w realizacji The Chilingirian String Quartet (CD Conifer Classics). Stosunkowo małą popularność kwartetów Panufnika (poza Kwartetem Śląskim grywa je w Polsce jedynie Kwartet Wilanów, który wprowadził te dzieła na estradę „Warszawskiej Jesieni”) można rozumieć jako konsekwencję sposobu podejścia Panufnika do formy kwartetowej. W tych utworach, napisanych odpowiednio w 1976, 1980 i 1990 roku pozostał kompozytor wierny idiomowi gatunku kwartetu jako przejawu muzyki absolutnej. Jest w nich ogrom namysłu kompozytorskiego, jeśli idzie o konstrukcję i ogrom inwencji, nie mówiąc o oryginalności inspiracji. W odróżnieniu od Panufnikowskich symfonii nie ma w nich jednak – jak przystało na gatunek kwartetu – jakichkolwiek odwołań do treści ideologicznych. Nic dziwnego, że w Polsce lat 80. i 90. XX wieku (wtedy muzyka Panufnika „wróciła” do Polski) musiały przegrać z dziełami o wymowie patriotycznej, ta-

kimi jak *Oratorium katyńskie* czy *Polonia*. Są to bowiem dzieła manifestacyjnie wręcz abstrakcyjne. Jak we wszystkich dziełach Panufnika, rządzą nimi matematyczne prawa konstrukcji. Zasada budowy wszystkich trzech utworów jest strukturowanie melodyki, harmoniki według zasad rotacji i permutacji uprzednio ułożonej przez kompozytora komórki interwałowej, jak również strukturowanie pozostałych elementów muzycznych (zwłaszcza rytmu) i całego planu tonalnego według zasad symetrii osiowej.

Ulubionym zabiegiem kompozytorskim Panufnika było konstruowanie lustrzanych odbić motywów, fraz, ustępów formalnych, oraz sukcesywne dodawanie czy też ujmowanie dźwięków. Pracy nad wszystkimi utworami Panufnika, także kwartetami, przyświecały jakieś uprzednie wyobrażenia przestrzenne. W pierwszym kwartecie korzystał Panufnik (według swych własnych słów) z „siły magicznej” (nazwijmy ją, siłą integrującą) przekształcaną na wszystkie sposoby trzydźwiękowej komórki, w drugim, o nazwie *Messages* inspirował się specyficznym wrażeniem akustycznym, pochodzącym z transformacji sygnału dźwiękowego w tradycyjnym telegrafii (tym z drutem), inspiracją trzeciego kwartetu, zatytułowanego *Wycinanki* były tradycyjne polskie wycinanki ludowe. Materia dźwiękowa omawianych utworów jest niezwykle precyzyjnie zakomponowana, przez co ich wykonywanie wymaga nie lada dyscypliny, a także namysłu – wypada przecież przyjrzeć się bliżej stosowanym przez kompozytora zasadom. Jest to muzyka w wysokim stopniu abstrakcyjna, ale nie sucha.

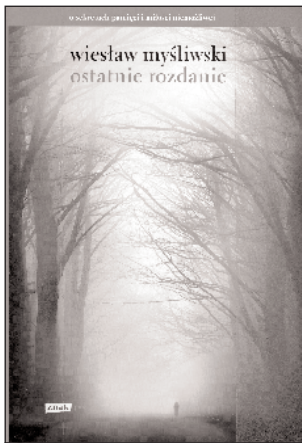
Ulubioną dewizą Panufnika było twierdzenie o równowadze między podejściem intelektualnym i emocjonalnym do komponowania. I rzeczywiście, dzieła te są niesłychanie intensywnie wyrazowe (niekiedy sugeruje się, że w tym właśnie tkwi ich „polskość”), przez co atrakcyjne zarówno do grania, jak i do słuchania. Wy-

konanie Kwartetu Śląskiego, przy całej swojej subtelnej precyzji, pozwala w pełni delektować się zawartą w kwartetach grą barw i nastrojów. Słuchacz nie mający przed oczami nut nie jest oczywiście w stanie śledzić zabiegów konstrukcyjnych. Było to zresztą założeniem Panufnika: jego dzieła miały bronić się nie jako okazy *Augenmusik*, lecz jako żywe dźwięki, trafiające do duszy słuchacza. W wykonaniu Kwartetu Śląskiego rzeczywiście trafiają.

### Co to jest neuroestetyka muzyczna?

Jeden z najnowszych i najbardziej obiecujących kierunków badań prowadzonych na styku muzykologii i psychologii eksperymentalnej to neuroestetyka. Nauka ta obiecuje odpowiedzieć na frażujące pytania, zresztą stawiane już dawniej przez psychologów i socjologów: jaka jest geneza muzyki? Czy jest powiązana z powstaniem innych sztuk, czy też ma odrębne źródło, na przykład w kształtowaniu się komunikacji gesturalnej i wokalne gatunku *homo sapiens*? Na jakim etapie jej ewolucji pojawiła się potrzeba przeżycia estetycznego? Jaki jest mechanizm emocji doznawanych podczas słuchania muzyki? Badacze zainteresowani neuroestetyką muzyki zajmują się także odkrywaniem tzw. muzycznych uniwersaliów, tj. takich elementów muzyki, które są zjawiskami powszechnymi i intuicyjnie doświadczanymi przez wszystkich zdrowych ludzi (a więc nie są w jakikolwiek sposób powiązane z czynnikami kulturowymi). Do takich elementów ma na przykład należeć tonalność. Badania neuroestetyczne, będące na razie raczej w sferze projektów, mają w większości charakter eksperymentalny. Prowadzi się je między innymi na bardzo interesujących grupach ludzi, których – wskutek przebytych urazów albo wrodzonych odchyłeń umysłowych – dotknęły tzw. „amuzje”, czyli różne postaci „głuchoty muzycznej” – niemożność rozróżniania tonacji, wysokości dźwięków, albo ogólna niezdolność do wyobrażania sobie dźwięków (na zasadzie tzw. „mentalnego radia”).

Wartościowy zbiór prac poświęconych neuroestetyce muzyki przynosi praca zbiorowa wydana przez oficynę Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Redaktorami, a zarazem autorami zawartych w niej artykułów są młodzi badacze należący do średniego i młodego pokolenia, m.in. Piotr Podlupniak, Justyna Humięcka-Jakubowska, Adrian Foltyn, Piotr Przybysz, Marcin Strzelecki i inni. Mimo że anonsowany zbiór to praca naukowa z korzyścią, a nawet przyjemnością przeczyta ją każdy, kto jest zainteresowany wyżej wymienionymi pytaniami.



Wiesław Myśliwski: *Ostatnie rozdanie*. Kraków 2013, ss. 448.

## Mam jego adres, ale kim był, nie wiem

**T**raktat o huskaniu Fasoli (2006) Wiesława Myśliwskiego został okrzyknięty przez krytyków literackim arcydziełem. Najnowsza powieść autora, która ukazała się po siedmioletniej przerwie, jest kolejnym dowodem na to, że pisarz nie poprzestaje na jednym tylko arcydziele, lecz tworzy kolejne. Siedem lat to stosunkowo długo, lecz na *Ostatnie rozdanie* (2013) warto byłoby czekać nawet i dłużej.

Notes – wydawać by się mogło, że to nic nieznaczący przedmiot. Służący jedynie do gromadzenia adresów, nazwisk czy też numerów telefonów osób, które są dla nas mniej lub bardziej ważne. Niektóre nazwiska jednakże nie nam nie mówią, zapominamy o tym, kim jest np. Abramowicz Jan i stawiamy przy nim krzyżyk. Krzyżyk jest dla właściciela notesu informacją, że oto w chwili, kiedy „ogarnięcie” będzie swe życie (a w tym swój notes), należy pozbyć się wszystkich krzyżyków.

Czytelnik poznaje bohatera *Ostatniego rozdania* w momencie otwarcia przez niego jego notesu – ogromnego, starego, rozlatującego się i spiętego gumką. Elementu, dzięki któremu może rozliczyć się ze swą przeszłością i samym sobą. Bohater przedstawia czytelnikowi postacie, które pojawiły się w jego życiu, lecz sam pozostaje przy tym anonimowy. Nie przedstawia się z imienia ani nazwiska. Jest niespełnionym artystą-

-malarzem, który rzucił studia na Akademii Sztuk Pięknych, by uczyć się fachu krawieckiego. Po pewnym czasie również i krawiectwo porzucił, by zająć się handlem antykami i innymi wartościowymi przedmiotami. Jest typem samotnika, lecz co ważne – samotnika z wyboru, który nie dopuszcza do siebie nikogo. Jest osobą, która najlepiej czuje się w swoim towarzystwie, sama ze sobą. Nie potrzebuje zbędnych czułości, ciepła czy też obecności drugiego człowieka. Jego towarzyszem jest on sam, a dzięki monologowi powraca do swej przeszłości, która zdaje się ważniejsza niżli terażniejszość.

Na stronach powieści czytelnik poznaje również Marię, miłość z lat młodości bohatera. Niedługo młodą dziewczynę, teraz dojrzałą już kobietę, matkę dwójki dzieci i żonę, która zdradza swego męża. Bohater *Ostatniego rozdania* nie utrzymuje kontaktu z Marią. Nie wie, jak wygląda ani kim tak naprawdę jest. Jednakże kobieta wciąż jest obecna w jego życiu, gdyż wysyła do niego listy, w których rozpamiętuje ich wspólną przeszłość, jak również opowiada o swoim życiu bez niego. Mimo ciągłych przeprowadzek i zmian adresu, Maria zawsze go odnajduje. Jej listy zawsze do niego dochodzą, mimo iż na żaden z nich nigdy nie raczył jej odpowiedzieć. Czytelnik nie dowiaduje się, dlaczego i kiedy ich związek się rozpadł. Bohater powieści Wiesława Myśliwskiego wiele rzeczy zostawia niedopowiedzianych, jakby ukrywał bolesną prawdę przed samym sobą, nie chcąc wypowiedzieć jej na głos.

Notes, który domagał się uporządkowania, w rzeczywistości pozostaje nienaruszony. Pomimo licznych krzyżyków i nazwisk, które dla bohatera nic nie znaczą. Bohater nie potrafi – a raczej nie chce – pożegnać się z przeszłością. Przeszłość staje się dla niego sposobem na odnalezienie się w rzeczywistości, którą jest terażniejszość.

O czym naprawdę traktuje *Ostatnie rozdanie* Wiesława Myśliwskiego? Najłatwiej można by powiedzieć, że o życiu lub jak napisane jest na rewersie książki *o sekretach pamięci i miłości niemożliwej*. Jednakże książka ta jest próbą rozliczenia się człowieka z samym sobą; ze swymi wzlotami i upadkami, radościami i smutkami, a co najważniejsze, z pamięcią o nas samych i innych. Tak jak bohater powieści Wiesława Myśliwskiego, każdy z nas posiada notes, pewnego rodzaju pamięć przenośną, którą w każdej chwili może otworzyć i sięgnąć po konkretną osobę. Mamy problem z uporządkowaniem go, gdyż nigdy nie wiadomo, kogo, gdzie i kiedy będziemy potrzebować. Jesteśmy kolekcjonerami wspomnień, niespełnionych marzeń, planów czy też uczuć. Jesteśmy więźniami naszej przeszłości, w której często się zatracamy i gubimy. Za każdym razem, kiedy pragniemy uporządkować nasze życie, ktoś lub coś staje nam na przeszkodzie.

Mówimy sobie: Ostatni raz, więc już tego nie zrobię. *Ostatnie rozdanie* nigdy nie będzie ostatnim, gdyż ono tak naprawdę nie istnieje.

PAULINA JANOTA



Sylwia Chutnik: *Wkrainie czarów*. Kraków 2014, ss. 264.

## Magia słów

**S**ylwia Chutnik zawsze mnie pozytywnie zaskakiwała, bo pisze dokładnie tak jak lubię. Tym razem jednak przeszła samą siebie. Tytułowe opowiadanie *Wkrainie czarów* to majstersztyk. A historia taka banalna: na działce umiera na zawal starszy człowiek. I cóż w tym dziwnego? Mało to starszych panów straciło życie podczas przycinania żywopłotu, szczególnie w upale? Dla Sylwii Chutnik staje się to jednak przyczynkiem do intymnej opowieści o śmierci, przemijaniu, dorosłości i rzeczach, które ludzie gromadzą przez całe życie, a które po ich odejściu przestają być do czegośkolwiek potrzebne. Doświadczenie śmierci kogoś bliskiego jest zawsze przejmujące. Autorka potrafiła te emocje przekazać.

Tom zawiera także opowiadania, które powstały między innymi w ramach projektu Ars Cameralis Silesiae Superioris. Są to teksty dotyczące postaci związanych z Zagłębiem Dąbrowskim. Anna prowadzi frustrujące życie matki, żony i córki opiekującej się

niedoleżną matką. I znowu – sytuacja jakich tysięcy. Ale w wymiarze sosnowieckim nabiera ona szczególnego znaczenia. Tu giną dzieci sfrustrowanych matek, a starsze osoby mają jeszcze w pamięci getto. Tam właśnie zmierza na wózek matka Anny. Opowiadanie przepełnione trudnymi do zdefiniowania emocjami. Kolejna jest Pola. Hollywoodzka super-gwiazda, która utknęła w sosnowieckiej zapyziałej kamienicy na całe lata. Po wyjściu za mąż za sosnowieckiego hrabiego zniknęła z historii kina. Została po niej tylko pamiątkowa tabliczka. A gdyby tak Pola Negri wciąż tam mieszkała, czekając na samochód ze studia filmowego?

Pozostałe opowiadania były już publikowane w innych, lokalnych antologiach, ściśle są bowiem związane z danym miastem: Krakowem, Warszawą, Sosnowcem właśnie. Ich bohaterowie to zwykli ludzie, których los doświadczyl brakiem możliwości realizacji swoich marzeń. Ich frustracja sięga zenitu. Jak w przypadku głęboko wierzącego mężczyzny, któremu do bycia księdzem przeszkadza tylko żona i jej matka. Zabijają je więc, a potem odnajduje usprawiedliwienie w Biblii. Kobiety i mężczyźni różnie sobie radzą w sytuacjach stresowych. Chodzą na beznauczne dancingi, podejmując próby poznania kobiety, rzucają się w ramiona przyjaciółki, by odegnąć rozpacz po stracie męża, rozdają ulotki na ulicy, gdy uświadamiają sobie, że nie urodzili się po to, by odnosić sukcesy albo... gotują dzieci, by przetrwać widmo głodu.

To nie tylko czary, ale i szara rzeczywistość, która momentami staje się koszmarem. W tekstach tych robi wrażenie przede wszystkim precyzyjny język, który oddaje dokładnie to, co powinien, bez zbędnych słów.

KATARZYNA KRZAN



**N**ajnowsza książka Zofii Agnieszki Kłakówny, obecnie profesora Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie, jest swoistym *resume* autorki na temat dwudziestoletnich przemian w polskim szkolnictwie: o nauczycielach, reformach, urzędnikach, roli edukacji w doświadczeniu egzystencjalnym i życiu społecznym, demokratyzacji szkoły, wolności i totalitaryzmie ministerialnym i wielu innych sprawach. W sposób szczególnie przygląda się sytuacji humanistyki po zmianach, jakie zaoferowały uczniom i nauczycielom kolejne projekty reform oświaty. Wraz z autorką czytelnik może śledzić toczące się w ostatnich dekadach dyskusje nad ideą wprowadzania do systemu edukacyjnego rozwiązań testowych, zamieszaniem wokół kanonu lektur, komercjalizacją podręczników, usztywnieniem podstawy programowej poprzez wprowadzenie standardów egzaminacyjnych, mitem parametryzacji itp. Kilkadziesiąt tekstów – krótszych i dłuższych, felietonów, listów otwartych, wykładów, wywiadów, składających się na tę niezwykle interesującą i skrzącą się dowcipem książkę, dałoby się zamknąć w tytule tekstu wprowadzającego: *Z absurdu w absurd*.

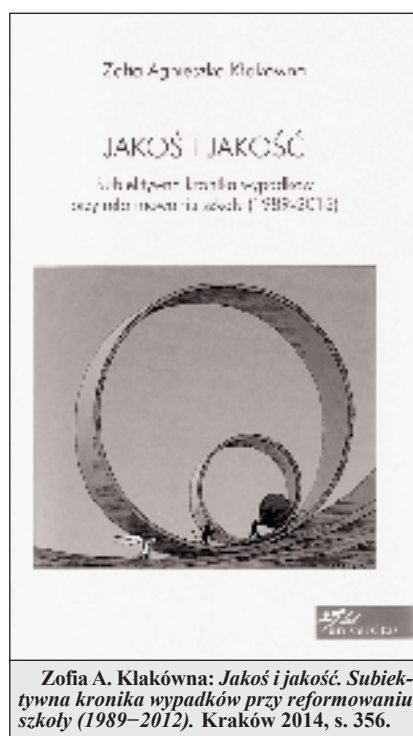
Można by oczywiście potraktować niniejszą publikację jako zoilowski komentarz do aktualnego stanu polskiej oświaty, który zamykałby się w słowach satyrycznej piosenki Wojciecha Młynarskiego: „Co by tu jeszcze spieprzyć, panowie?!”, bo wiele tu gorzkich słów padających pod adresem sytuacji szkolnictwa, za którą odpowiedzialność ponoszą przede wszystkim urzędnicy i „usłudźni” naukowcy przyklaskujący absurdalnym pomysłom. Podczas lektury niejednokrotnie nasuwa się skojarzenie ze słynnym komentarzem Kazimierza Górskiego, który w odniesieniu do kolejnych niepowodzeń polskiej reprezentacji w piłce nożnej zadawał pytanie zadowolonym z siebie działaczom PZPN: „Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle?”. Jednak autorkę trudno umiejscowić w „łóżu szyderców”, zbyt wiele w tej książce niezwykle inspirujących pytań, propozycji wyjścia z impasu, rozwiązań, konkretnych wskazówek, które pomogłyby zakończyć tę strasznie męczącą już wszystkich sytuację „edukacji w budowie”.

Książka *Jakoś i jakość* zdaje się wyrastać z ducha hermeneutyki, który każe nieustannie poszukiwać rozwiązań bardziej prawdziwych, realnych, adekwatnych do rzeczywistości, z drugiej strony trudno uciec przed przekonaniem, że autorce patronuje model kształcenia rabinicznego, stawiającego ucznia wobec konieczności zadawania pytań swojemu nauczycielowi. Ta wydawałoby się „pomyłkowa” zamiana ról jest wielce znacząca w edukacji talmudycznej, bowiem to dzięki niej kształtuje się przede wszystkim postawy młodych ludzi, krytycznych wobec nabywanej wiedzy, świadomych nabywanych umiejęt-

ności i odpowiedzialnych za słowa, które wypowiadają. To właśnie pytanie, jakie młody człowiek stawia nauczycielowi, a nie odpowiedź z uzyskanej wiedzy, stanowi o jego wartości i pozwala go zaklasyfikować jako mądrego, głupiego, naiwnego czy takiego, który w ogóle zadawać pytań nie umie. Współczesna dedykacja humanistyczna – jak zauważa autorka – wydaje się zmierzać do modelu czwartego, kształcąc pokolenia kolejnych „usłudźnionych”, posłusznych i nie poddających w wątpliwość jedynie słusznych dyrektyw. Za zasłoną testów, standardów, nowego języka, operacjonalizacji edukacji ukrywa się bowiem daleko idąca ideologizacja, która zaczyna się już na samym początku funkcjonowania społecznego człowieka – w szkole.

Zofia A. Kłakówna stawia zatem w książce fundamentalne pytanie, które we współczesnej filozofii oświaty wydaje się nieobecne: do czego służy społeczeństwu szkoła? Pozornie banalna kwestia wcale taką nie jest, gdy spojrzysz na ostatnie dwie dekady dokonywanych rewolucji w tej dziedzinie i towarzyszące im zjawiska: centralnego sterowania edukacją, kultu porównywalności wyników, testowego sprawdzania nabytych kompetencji i innych. Czy w takiej szkole naprawdę chodzi o ucznia czy szumnie obwieszczane „społeczeństwo wiedzy”, czy raczej o statystyki, tabelki, standaryzację, tak powszechne dziś w szkolnictwie. Tym samym współczesne placówki oświatowe zaczynają pod naporem urzędniczych procedur przypominać *fast foodową* restaurację, w której makdonaldyzacja zapewnia, że klient zawsze i w każdym miejscu otrzyma ten sam produkt o identycznym smaku, rozmiarze, kolorze i zapachu. Jeśli zatem myśleliśmy, że cywilizacyjny etap industrializacji mamy za sobą to grubo się myliliśmy, oto bowiem wkracza on pod inną postacią, za którą kryje się ta sama pozytywistyczna ideologia „pomiaru” i „scjentyistycznego oglądu”. A może idea szkoły jest zupełnie inna? Może tu chodzi o miejsce, w którym człowiek przychodzi, by się uczyć, a nie być uczniem; miejsce, w którym spotyka się „innego” i podejmuje dialog, by wypracować jakąś nić porozumienia – jakiś wspólny kosmos, jak pisze autorka? Wszak kształci się dziś pokolenia, które za 20–30 lat będą decydować o losie państwa, świata, ale przede wszystkim swoich rodzin i swoim własnym – czy naprawdę da się to zrobić dzięki kluczowi, testom i kanonowi ustanowionemu „...na wieki wieków. Amen”?

Nie ukrywam, że jako poloniście, który spędził w szkole ponad 15 lat swego życia zawodowego, opisane sytuacje wraz z narastającą z roku na rok frustracją, niesmakiem i poczuciem bezsensu są mi bliskie. Im dłużej tkwiłem w rzeczywistości szkolnej, tym bliższy stawał mi się bohater filmu Marka Koterskiego, otwierający rankiem oczy i witają-



Zofia A. Kłakówna: *Jakoś i jakość. Subiektywna kronika wypadków przy reformowaniu szkoły (1989–2012)*. Kraków 2014, s. 356.

## Stańczyk w świecie edukacji

cy nowy dzień najpopularniejszym polskim przekleństwem. Dlatego też, gdy czytałem ostre, choć niezwykle trafne, diagnozy autorki, nieraz przyklaskałem, pamiętając sytuacje, w których wdrażano kolejne zalecenia reformatorskie w sposób urzędowo-biurokratyczny: nakazami, pismami i sprawozdaniami. I trudno się nie zgodzić z dość często powracającą diagnozą, że oto mamy do czynienia z „karykaturą początkowego projektu”, któremu przyświecały wielkie cele: demokratyzacja edukacji, podmiotowość w uczeniu się, integrowanie wiedzy z różnych obszarów nauki... Tym bardziej książka *Jakoś i jakość* jest ważnym i donośnym głosem rozbrzmiewającym w środowisku zadowolonych z siebie urzędników szafujących wynikami statystyk, które jednak nie wydają się tak optymistyczne jak się na pozór wydaje. W moim przekonaniu jest to głos proroczy, zarówno w rozumieniu kasandrycznym, jak i biblijnym, bowiem „jeśli się nie nawrócicie, wszyscy zginiecie”.

ADAM REGIEWICZ



Sławomir Shuty: *Dziewięćdziesiąt*. Kraków 2013, ss. 192.

## Lata dziewięćdziesiątego wg Shutego

Z twórczością Sławomira Shutego po raz pierwszy zderzyłam się przy okazji jego książki z 2004 roku zatytułowanej *Zwał*. Nie byłam jeszcze wtedy czytelnikiem świadomym, zorientowanym i przede wszystkim przygotowanym na prozę tego typu – prozę, po której człowiek czuje się wypruty ze wszystkich emocji, a wręcz fizycznie zmęczony. Po lekturze *Dziewięćdziesiątych*, nie wiem czy słusznie, ale odnoszę wrażenie, że trzymałam w rękach coś pozytywnego. Równie dosadnego, boleśnie rzeczywistego, ale pozytywnego. Autor nie chce nikogo oczarować, a raczej dać świadectwo swojej obecności w dekadzie pełnej zmian, udowodnić, że „takie były dziewięćdziesiąte: zmaterializowany karnawał, chwilowa inkarnacja chaosu, zawieszenie porządków, czas, w którym wszystko mogło się wydarzyć”.

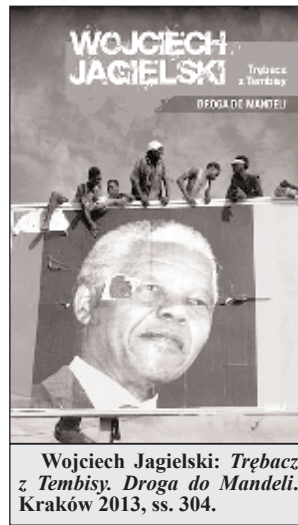
Książka Shutego to zbiór ponad dwudziestu krótkich opowiadań, w których autor, w postaci luźnych anegdot, tworzy ciągłą i dosyć spójną

opowieść z własnego przeżycia ostatniego dziesięciolecia XX wieku. Tam, gdzie właściciel kolorowego telewizora staje się królem nowohuckiej klatki schodowej, bohater próbuje odnaleźć swoje ja i podążać w jakimkolwiek kierunku ku życiowej stabilności. Kiedy pojawiają się możliwości, pojawiają się również i plany – plany podróży w Polskę i na wschód, plany zawodowe i wreszcie plan na życie. Niezliczone próby dopasowania do zmieniających się czasów i ruchów, poszukiwanie akceptacji wśród rówieśników i członków własnej rodziny oraz nieudolne wychodzenie z samotności, to tylko kilka aspektów, z którymi w *Dziewięćdziesiątych* rozlicza się Shuty. Nie koloryzuje, niczego nie udaje, nie sili się na wyszukany język i wciąż pozostaje niezwykle autentyczny w tym, co mówi. Autor, swobodnie zonglując słowem oraz emocjami zawartymi w książce, nie pozwala nam przywiązać się do historii, która w jednej chwili tworzy nam w głowie dosadny obraz, by wkrótce potem zastąpić go innym, zazwyczaj mocniejszym i jeszcze bardziej dookreślonym. Jego lata dziewięćdziesiąte to nie tylko handel magnetowidami i sprzętami spod znaku Atari, ale doświadczanie świata na jego krawędzi, gdzie nie brakuje narkotyków, ale permanentnie brakuje pieniędzy. Ludzie, których bohater wykreowany przez Shutego spotyka na swojej drodze, sprawiają, że odbija się od dna, by chwilę później wylądować tam znowu.

Uważam, że po tę pozycję powinien sięgnąć każdy zwykły obywatel, który tak jak Shuty dwadzieścia lat temu stawiał pierwsze niepewne kroki w świecie rodzącego się kapitalizmu i demokracji, po to, by przekonać się jak podobne były losy wszystkich poszukujących własnego miejsca w realiach nowego systemu. Ruszyła machina, której nie można było powstrzymać, a jedynie spróbować wpasować się w jej trybiki, wyznaczające czas do nowego tysiąclecia.

Sławomir Shuty po raz kolejny udowadnia, że rzeczywistość uderza w najczulsze punkty naszego człowieczeństwa, zmuszając nas do próby na własnych organizmach, a przecież nie od dzisiaj wiadomo, że testy na sobie dają najprawdziwsze wyniki.

BIBIANA LISIK



Wojciech Jagielski: *Trębac z Tembisy. Droga do Mandeli*. Kraków 2013, ss. 304.

## O trzech bohaterach z wielką pasją

Freddie Maake z biednej wioski gdzieś w Afryce, Nelson Mandela – wielki przywódca i rewolucjonista oraz... Wojciech Jagielski – reporter wojenny i autor *Trębac z Tembisy*. Trzy całkowicie różne osobowości, których życie toczyło się z pozoru innym torem. Łączyło ich jedno – ogromna pasja do tego, co robią.

Wojciech Jagielski znany jest szerszej publiczności przede wszystkim jako autor bardzo dobrych reportaży literackich, w których porusza aktualne problemy i konflikty toczące się na całym świecie. *Trębac z Tembisy. Droga do Mandeli* to jego najnowszy reportaż napisany na nieco odmiennych zasadach. Skąd to przekonanie? Reportaże powinny opierać się na relacji z rzeczywistego spotkania, z doświadczenia reportera, który był na miejscu zdarzenia i widział daną sytuację. Tutaj natomiast nic takiego właściwie nie miało miejsca. Autor opisuje jak długą drogę przebył, by dotrzeć do Nelsona Mandeli oraz porażkę, której doświadczył, nie mogąc się z nim spotkać.

Ale *Trębac z Tembisy* to nie tylko relacja trudów Wojciecha Jagielskiego. To trzy odrębne

historie połączone w jedną, spójną całość. Opowieść o Freddie Maake, którego miłością była piłka nożna, a jego życiową pasją zjednoczenie wszystkich kibiców na świecie i zaistnienie na stadionach. Był wynalazcą wuwuzeli – trąby, która towarzyszy każdemu meczowi. Był również ogromnym zwolennikiem Nelsona Mandeli – swojego bohatera. Nelson Mandela – człowiek, który ośmielił się sprzeciwić złemu traktowaniu czarnoskórych. Mężczyzna wykształcony, prawnik, który poświęcił życie, by nieść pomoc „czarnym” i który zaistniał na kartach historii jako wielki przywódca i rewolucjonista, poświęcający swoją wolność dla dobra sprawy. Wreszcie sam Wojciech Jagielski i historia jego pracy reporterskiej, szczęścia jakie miał przez całe życie, analiza tego, co zyskał, jeżdżąc po całym świecie i tego, co stracił, nie przebywając prawie wcale w domu rodzinnym.

Pasja – to jedno słowo łączy wszystkie trzy osoby, których sylwetki pokrótce przedstawiłam. Ich historie ciągle się ze sobą splatają, łączą na zasadzie przypadku, są do siebie niezwykle podobne. Autor postarał się oddać zyciorys obu swoich bohaterów z największą szczegółowością, ale również tak, by czytelnik był tym zaciekawiony. Jagielski porusza w tekście w dużej mierze problem apartheidu, tym razem jednak pokazuje go od strony postaci, która niezmiennie z nim walczyła i w końcu wygrała walkę. Segregacja rasowa pokazana jest również z perspektywy Saddama (pseudonim Freddiego), który spotkał się z nią na polu piłki nożnej, gdy drużyny afrykańskie miały zamknięty dostęp do rozgrywek światowych.

Wojciech Jagielski po raz kolejny udowodnił, że jest bardzo dobrym reporterem, a w tym wydaniu okazał się nawet jeszcze lepszy – potrafił opowiedzieć o swoich przeżyciach w taki sposób, by mimo wszystko nie przyćmiewać bohaterów, ale wypuklić ich historię. Przedstawił kilkanaście lat swojej ciężkiej pracy, co widać po szczegółowości, z jaką oddał się opisywaniu życia Nelsona Mandeli, z którym *de facto* nigdy nie rozmawiał.

Ta książka to bardzo dobra biografia i Mandeli, i Freddiego Maake, a dla czytelników Jagielskiego również możliwość poznania życia autora i jego warsztatu pracy.

MANUELA GIEL



**N**owy tomik Barbary Gruszk-Zych dzieli się na dwie części. Pierwsza jest zatytułowana „Z twarzą białą jak śnieg w Petersburgu”, druga – „Nie stłuc koloru”. Ten podział jest ważny, ponieważ informuje, że książka złożona została z odrębnych zestawów wierszy. I tak jest w istocie, choć nie do końca. Część pierwszą otwiera coś na kształt haiku:

*sople  
chłodno pokazują  
nas palcami*

To zgodne z japońskimi regułami gatunku. Ot, krótka notatka rejestrująca bez emocji „przyrodnicze zjawisko”. Dalsza lektura pokazuje jednak, że wybór tego właśnie obrazka nie jest przypadkowy. Zima jest porą obumierania, a słówko „nas” przemyczone do tego tekstu jest zabiegiem przez autorkę precyzyjnie przemyślanym. Na następnych stronach odkrywamy bowiem poetycką wersję kojarzonego przede wszystkim z malarstwem tańca śmierci. Korowód zapisanych przez poetkę postaci otwiera Żyd z paczką sfotografowany w 1933 roku na sosnowieckiej ulicy. Jest jeszcze 6 lat do wybuchu wojny, ludzie w tle oglądają towary w sklepach, które już dawno wystawiono w gablotach Auschwitz. Później pojawia się Antonia Capana – *oddala Goi / nieśmiertelne oczy // do dziś w nich żyje tamta gruźlica*. W tańczącym pochodzie spotykamy carycę Katarzynę, postać zapisaną w historii Polski zdecydowanie negatywnie, ale nie o tym wiersz. Nie okrucieństwo, nie zło, nie rozwiązłość władczyni Rosji są tematem. Gruszk-Zych nad grobem imperatorowej odnotowuje tylko: *nie zamawiała / tej białej sukni z marmuru*. W tańcu śmierci sąsiadują ze sobą znane postaci z różnych epok, ale razem z nimi są anonimowe kobiety w szpitalnych koszulach, czyjeś ciotki, nieznana dziewczynka pochowana na cmentarzu na Rossie oraz wiele osób znanych, czasem bliskich autorce, ale niekoniecznie czytelnikom. Co nie przeszkadza w odbiorze zasadniczego przesłania: wobec śmierci wszyscy są równi: ojciec autorki, zaprzyjaźniony z nią czeski reżyser Petr Nosalek, „biedna mała pani doktor”. Jest i bezdomny Gerard:

*jeszcze niedawno krzychał na psy  
to był krzyk pieszczotliwy bo inaczej  
nie umiał wyrażać czułości a te psy  
były dla niego czule nie odstępowały go  
zimą ani latem kiedy nie miał do czego  
przylulić głowy jeździł z nimi autobusem  
bez biletu kazał cicho siedzieć pod  
swoim  
siedzeniem zeszłej jesieni jechałam  
obok (...)*

Przejmujący wiersz, który jest jednocześnie kluczem może nie do świata opisywanego przez Gruszk-Zych, co do całej jej poezji. Autorka jest bowiem jednocześnie dziennikarką, ściślej – reportażystką słuchającą ludzi, bystro obserwującą otoczenie, rejestrującą szczegóły, które innym umykają. Sam w wielu miastach (nie tylko w Polsce) widziałem bezdomnych, którym towarzyszyły psy (tak samo bezdom-

ne, choć w ich przypadku akurat nie bezpańskie). Z mojego widzenia nie wynikało nic. A z jej? Kolejne odkrycie – ilu z nas wie, jak ma na imię bezdomny żyjący tuż obok? Gdyby się dobrze zastanowić – nie potrafilibyśmy nawet podać jego rysopisu, tak bardzo jest „niewidzialny”. Gerard na siedzącą obok poetkę patrzył „z innej strony świata”. „Teraz jest w innym świecie” – to jedno z nielicznych w tym tomiku odniesień do „drugiej przestrzeni”. Z wiersza poświęconego Petrowi Nosalkowi: „wreszcie twoja coraz szczuplejsza ręka pasuje do Jego”. Z innego – „wbiegłeś Tam”. To wyrazy wiary, że po życiu jest COŚ. Pewności nie ma. Hamlet mówi, że nikt nie wrócił z krainy śmierci, żeby nam o niej opowiedzieć. Czy tam odsypiamy zmęczenie latami na Ziemi, czy też – nie daj Boże – śnimy. Gruszk-Zych, jako reporterka nawet nie usiłuje opisać niedostępnej tajemnicy. Koncentruje się na życiu, na ludziach, obrazach i przeżyciach zapamiętanych – z tego są jej wiersze. Choć pojawia się wątpliwość; utwór „Ołówkiem”:

*mysim kolorem przemyka przez stronę  
żeby schować się w dłoni  
szczupły jak nasze nadzieje  
że można utrwalić coś ze świata*

Ale przecież „jej poeta”, Czesław Miłosz (nie on jeden zresztą) podkreślał, że poezja ocala. To nie szczupłe nadzieje, to fakt. Dzięki niej obcujemy z ludźmi, których nie mieliśmy najmniejszej szansy spotkać, jesteśmy w miejscach, których nie odwiedzimy, odkrywamy, że nasze uczucia i doświadczenia, choć tak bardzo osobiste, nie są absolutnie wyjątkowe. Z jednej strony to smutne, z drugiej – pocieszające. Jedno jest pewne – autorka „Koszuli przed kolana” ocala opisywane osoby, sytuacje, zanotowane „drobiazgi”. Dla mnie prywatnie ocalony został bezdomny Gerard. Nigdy go nie widziałem, ale zapisany w wierszu wszedł w mój świat.

Dziesięć lat temu Gruszk-Zych wydała tomik „Sprawdzanie obecności”. Tytuł sugerował, że mamy do czynienia z czymś w rodzaju odczytywania szkolnego dziennika; XY – „jestem”, Zet – „jestem”. I tylko od czasu do czasu odpowiedź brzmiała: „nieobecny”. Jej najnowsza książka jest „sprawdzaniem nieobecności”, choć te wiersze mówią o tym, że nieobecni nie przestają być z nami.

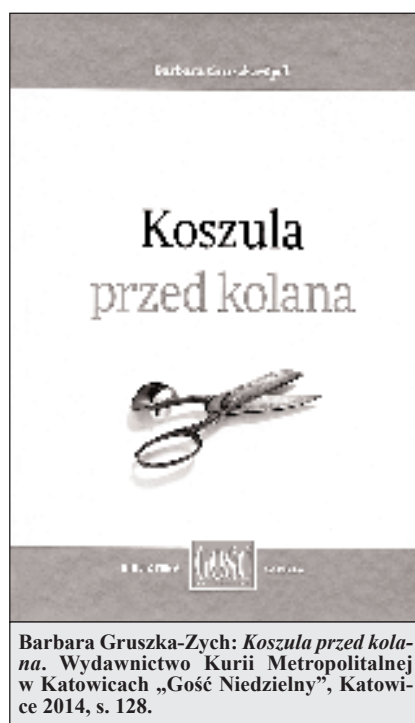
Przemija także materia, wydawałoby się niezniszczalna w porównaniu z ludzką kruchością:

*na lastrykowych schodach przed  
wejściem do domu  
zobaczyłam pęknięcia takie same jak  
na nagrobkach*

A w wierszu „kamienica w Czeladzi” mamy zapowiedź zmiany:

*wiedzieliśmy że urząd miasta chce  
wykupić ten dom i go zburzyć*

Tam się urodził „tata i jego tata”, ale czas biegnie, wszystko musi się zmienić. I to jest dobre wprowadzenie do drugiej części książki – notatek z podróży, które są w istocie jedynie utrwaleniem chwili naszej tam obecności. Zobaczyliśmy coś, czego może już nie ma, albo



Barbara Gruszk-Zych: *Koszula przed kolana*. Wydawnictwo Kurii Metropolitalnej w Katowicach „Gość Niedzielny”, Katowice 2014, s. 128.

## Sprawdzanie nieobecności

zostało zmodernizowane, zrewitalizowane, przystosowane do dnia dzisiejszego. Tak się składa, że po kilkunastu latach odbyłem podróż zagraniczną do miasteczek, które dobrze znałem, natomiast teraz z trudem je rozpoznawałem, bo były inne od zapamiętanych. I ta konotacja jest łącznikiem między dwiema częściami „Koszuli przed kolana”. Gruszk-Zych prowadzi swój dziennik wojaży, ma jednak świadomość, że to jedynie zapiski chwili. Więc rezygnuje czasem z bycia reporterką i pozwala sobie na czystą poezję:

*Jedna pomarańcza wisząca na drzewku  
Jak cacko na choince  
Delikatnie z nią wietrze żeby nie stłuc  
koloru*

Co za obraz! Od „japońskiego” akcentu zacząłem swoje rozważania, „japońskim” też je zamykam. A na zakończenie – polecam ten tomik wszystkim miłośnikom poezji. Myślę, że należy do najważniejszych (i najpiękniejszych) w znaczącym dorobku Barbary Gruszk-Zych.

BOGDAN WIDERA

**Budownictwo i architektura Katowic.** [Red. Antoni Barciał]. Seria: *Katowice w Rocznicy Uzyskania Praw Miejskich*, Tom 3 (13), Wyd. Polska Akademia Nauk Oddział w Katowicach, Katowice 2014, s. 240.

Dobłą tradycją konferencji naukowych organizowanych przez katowicki oddział PAN przy współpracy Muzeum Historii Katowic we wrześniu (w tym miesiącu „narodziło się” miasto) jest prezentacja świeżo wydanego plonu spotkania z roku poprzedniego. A w roku 2013 tematem referatów, wystąpień i dyskusji była właśnie architektura. I – oczywiście – budownictwo. Architekci, urbaniści i historycy sztuki zwracają uwagę na chaotyczność przestrzeni miasta. Używają takich określeń jak „wyspowy charakter” czy „miasto samorodne”, przypominają o miejscach zniszczonych bezmyślnie albo barbarzyńsko. I to jest prawda. W referatach pojawiają się terminy: „historyzm”, „secesja”, „eklektyzm”, „moderna”, „sorealizm”, „obiekty poprzemysłowe”, „nowoczesność” i „ponowoczesność” albo „postmodernizm”. Żeby odnaleźć przykłady wszystkich tych stylów wystarczy krótka przechadzka po śródmieściu. W dodatku „małe” Katowice z biegiem lat wchłaniały gminy znacznie starsze, albo powstające na ich obrzeżach (Giszowiec, Nikiszowiec, Murcki, Podlesie, Zarzecze itd.), które miały własną specyfikę – robotniczą, wiejską. Więc choć można narzekać na „bezstylowość”, „przypadkowość” i „eklektyczność” miasta, da się podczas jego zwiedzania przeprowadzić lekcję pogładową na temat architektury, przede wszystkim zaś historii. Jan F. Lewandowski w swoim wystąpieniu poświęconemu willi Goldsteinów przedstawia ją jako swoisty „podręcznik” dziejów Katowic od czasów powstania aż do dnia dziś.

**Instrukcje rajców miejskich z Pszczyny z XVII wieku.** [Red. Dariusz Rott, Aleksander Spyra]. Seria: *Perty słowa polskiego na Ziemi Pszczyńskiej*. Tom 6. Wyd. Śląska Oficyna Drukarska Z. Spyry w Pszczynie, Towarzystwo Miłośników Ziemi Pszczyńskiej, Pszczyna 2013, s. 32.

Upprzedzam lojalnie – rzecz nie do dostania, bo nakład tylko 200 egzemplarzy, w tym 100 numerowanych. Do wglądu zatem tylko w wybranych bibliotekach. Bibliofilski rarytas. Tym bardziej żal, że – jak zapowiada wydawca – to już ostatni tom z serii *Perel*. Na tę książeczkę złożono się zaledwie kilka dokumentów. Drukowanych i rękopiśmiennych. W tym momencie warto zwrócić uwagę na rolę i znaczenie pisarzy gminnych. Bo mijali burmistrzowie, ale ludzie „uczeni w piśmie” zostawali i nadal wypełniali swoje obowiązki, do których należało właśnie zapisywanie instrukcji rajców czy też innych dokumentów ratusza. Czym były owe „instrukcje”? Dziś nazwalibyśmy je „zakresem obowiązków”. Na przykład dla „Inspektorów albo Dozorców Słodowni i Browaru”. A był to dokument obszerny i nader szczegółowy. Mnie osobiście najbardziej zachwycała *Instrukcja dla sługi ratuszowego miasta Pszczyny z 1683 roku*. W dobie przecieków i podsłuchów ze zrozumieniem czytamy, że „ratuszny sługa” ma ludziom przekazywać tylko to, co mu polecono i *nie ma się z nikim i nigdzie zabawiać*. Osobny punkt nakazuje: *Tajemnic urzędowych lub prywatnie lub między Partiami albo Stronami się toczących nikomu objawiać nie ma*. Za swoją pracę funkcjonariusz dostawał nie tylko pieniądze, ale i raz na rok buty, a co trzy lata sukno na ubranie. Złoty wiek dla „służby cywilnej” z XVII wieku.

[www.poradniajezykowa.pl](http://www.poradniajezykowa.pl)

### Jak należy pisać wyraz *internet*?

Niektóre źródła podają, że małą literą w odniesieniu do sieci, ale w piśmiennictwie fachowym z zakresu informacji naukowej *Internet* często pisany jest wielką literą dla oznaczenia rodzaju źródła informacji. Używa się też wyrażenia *zasoby internetowe*. Czy jest jakaś reguła normalizująca tę pisownię?

Pomimo że sieć obejmująca cały niemal świat jest znana i rozpowszechniona od wielu lat, wciąż pojawiają się wątpliwości związane z pisownią jej nazwy. W polszczyźnie powoli ustala się pisownia dwojaka, którą po raz pierwszy zalecał *Wielki słownik ortograficzny języka polskiego* pod red. Andrzeja Markowskiego, podając dwie formy: pisany wielką literą *Internet* w znaczeniu ‘nazwa własna systemu’ (‘globalna sieć’) oraz pisany małą literą *internet* oznaczający ‘każdy system łączności komputerowej’.

Napiszemy zatem *internet* małą literą, jeśli mamy na myśli rodzaj medium (jak prasa, radio, telewizja),

ponieważ rzeczownik ten będzie wtedy używany jako nazwa pospolita. Za taką pisownią opowiada się także w swym orzeczeniu Rada Języka Polskiego ([www.rjp.pl](http://www.rjp.pl)). Innego zdania jest prof. Janusz Bień z Uniwersytetu Warszawskiego, który w opinii sformułowanej dla Poradni Językowej PWN stwierdza: „Internet jest nazwą własną konkretnej globalnej sieci komputerowej. Jednym ze źródeł wątpliwości co do pisowni tego słowa jest fakt, że Internet ma strukturę hierarchiczną i w konsekwencji laikom może się wydawać, że istnieje wiele «internetów». Drugą przyczyną wątpliwości jest utożsamianie Internetu z konkretnymi usługami dostępnymi w tej sieci, w szczególności z «wszechświatową pajęczyną», czyli WWW, lub też z usługą zapewnienia dostępu do Internetu. Takie postrzeganie Internetu sprawia, że można spotkać się z pisownią analogiczną jak *telefon*, *dalekopis* itp., tj. małą literą, tendencja ta nie zasługuje jednak na poparcie”. Przywoływana tu opinia jest oparta na wiedzy naukowej,

w opozycji do niej pozostaje natomiast zwyczaj językowy Polaków, co zauważa prof. Mirosław Bańko kierujący wspomnianą Poradnią Językową: „Coraz więcej osób pisze jednak *internet* i wydaje się, że jest to proces nieodwracalny”. W innym miejscu M. Bańko stwierdza: „zwyczaj językowy to nie byle co – to potężny czynnik kształtujący nasze zachowania językowe. Wobec zwyczaju językowego musi ustąpić niejedna reguła gramatyczna i ortograficzna”.

Faktem jest, że we współczesnej polszczyźnie zaczyna już dominować pisownia rzeczownika *internet* małą literą. Użytkownicy naszego języka – a to przecież oni kształtują zwyczaj językowy – są w znakomitej większości informatycznymi laikami, którzy – aby efektywnie korzystać z mediów – nie muszą wcale być świadomi ich technicznych uwarunkowań. Z tego też powodu widzą w sieci kolejne użyteczne medium.

Jeśli zaś idzie o przymiotnik w wyrażeniu *zasoby internetowe*, to jest on zapisany najzupełniej poprawnie, ponieważ w języku polskim przymiotniki – nawet te utworzone od nazw własnych – piszemy małą literą: *Polska*, ale *polski*; *śląska*, ale *śląski*.

KATARZYNA WYRWAS



# Anegdoty

HENRYK BZDOK

Kiedy moi zagraniczni przyjaciele zaczęli mnie zapraszać do przylotu do Kairu, długo nie mogłem tego zrealizować, z banalnego powodu nie posiadania skrzydeł. Kiedy uzmysłowiłem sobie, że i tak mi nie wyrosną postanowiłem skorzystać z tych co je mają – samolotów.

Każda linia miała swój własny preliminarz kosztów, co zdecydowało, że poleciałem z Bułgarami. Z Warszawy do Sofii samolot był przedni – Airbus, dalej począwszy od przesiadki, bałaganu w Aeroporcie, kolejek, zapachów, braku informacji w językach obcych, było gorzej. Najgorszym był samolot. Stary jakiś, polatany i oblodzony, no to go najpierw odlodzili, potem dopuścili nas do wsiadania. Kiedy w wnętrzu patrzyłem na trzęsące się skrzydła w locie, małżonce nie powiedziałem nic. Ona się boi z zasady. Kiedy jednakże i Ona postanowiła z lęku skorzystać z napojów samoodnawialnych, wiedziałem, że muszę ją uspokoić. – Będzie dobrze – powiedziałem – spójrz na te stewardesy, ich wiek świadczy o tym, że lecimy bezpiecznymi liniami, One, jak widzisz bardzo długo latały.

Potem kiedy wypiliśmy coś jeszcze i jeszcze, lot jakby nam zojętniał i dolecieliśmy.

Na lotnisku nie czekał na nas nikt. Przyjaciele źle poinformowani, czekali nas na drugim lotnisku... trzeba było sobie radzić samemu.

Zacząłem od: Goworitie po rusku... nic, Sprechen Sie Deutsch... to samo, Parla Italiano... podniesienie powiek, po polsku nie próbowałem, choć jak się w innych okolicznościach okazało znali słowo „dobra, dobra” – poklepując nas równocześnie po ramieniu.. Okazuje się, że może być „Inglisz”, który z kolei mnie nie pasował acz jako człowiek w miarę rozgarnięty znałem paręnaście słów.

Chciałem wiedzieć jak się dostać do podmiejskiej dzielnicy, której nazwę zapomniałem, uleciało mi to „El Maadi”, chciałem je wskazać na mapie. Wszystkie mapy na lotnisku przedstawiały jednak wyłącznie teren położony pomiędzy Gizą, Starym Kairem i Cyta-  
dela. Innej mapy nie mieli... Dukałem tak przez godzinę, klejąc znane mi słowa angielskie w niby zdania, gdy odnaleźli mnie przyjaciele.

Mundurowy, który mi przez cały czas usiłował pomóc pożegnał mnie stwierdzeniem: You speak English well, goodbye...

Po powrocie, byłem głodny Egiptu, kupowałem książki i grzebałem w już posiadanych...

Znalazłem także pod choinką książkę, w której autor opisuje swój roczny pobyt w Egipcie, szukałem wieści wzbogacających wiedzę, z mego jedynie miesięcznego tam pobytu. Nie znalazłem ich wiele.

Wiedziałem że Bakszysz nie jest napiwkami, ale będę się z nim spotykał codziennie i wszędzie.

Mumkin – to zgoda na coś, jest możliwym, w porządku... i że Musz mumkin – to „nie”, nie dozwolone, lepiej nie, w żadnym wypadku. Wiedziałem, że słowo „bukra” znaczy to samo co hiszpańska „maniana” i bywa używane w tych samych okolicznościach i celu. Wiem także, co znaczy „szwaja, szwaja” – nie spieszyć się.

Znałem jednak coś o czym autor nie wspomniał. O ruchu ulicznym...



Wiem jak się jeździ w Kairze i poza nim, że ruch prawostronny bywa także nieco lewostronnym.

To wszystko wiem i widziałem, jedno wszakże prawidło, a może zasada była mi nie znana – przejście przez ruchliwą ulicę.

A było tak, zaproszeni na kolację, musieliśmy przebiec się przez ruchliwą Sharię u stóp Hiltona przy Midan el Tahrir, o którym tak było głośno w ostatnim czasie.

Ruch, chaos i hałas klaksonów niemożliwy...

Nasza, tam zamieszkała przyjaciółka rzekła: Idziemy, szwaja, szwaja i nie rozglądać się.

Z wysokiego krawężnika na asfalt zszedłem drugi, samochody zatrzymywały się, a my jak Mojżesz przed morze Czerwone przemierzaliśmy się z wolna na drugą stronę...

Udało się, cali i nietknięci stanęliśmy po drugiej stronie, uradowani sukcesem gdy odezwała się Frazea:

– Zasada jest prosta, by przejść trzeba patrzeć prosto i iść, bo – Kto widzi ten stoi...



Mrugnął do mnie Ojciec – powiedziała Dorota Adamiec, wybitna malarzka z Bytomia.

Zacząłem się zastanawiać, co to znaczy, nigdy o takiej postaci mi nie wspomniała, znałem ją, wszak studiowaliśmy w jednej pracowni malarstwa.

Nie posądzałem jej także, że kryje się za tym jakiś Ojciec duchowny np. O. Kalasanty, O. Mateusz czy też, nie daj Boże sam O. Tadeusz z Torunia.



Jesteśmy w wieku, kiedy po rodzicach mamy głównie wspomnienia, więc jak to mrugnął?

No to Dorota tak mi ów fakt przedstawiła:

Bratanica, mojej bratowej kupiła dom – stary i daleko, na Ziemi Lubuskiej...

Jej syn Guccio, (o wszechstronnych zainteresowaniach) wnet spenetrował chałupę od dołu po strych, w piwnicy nie było win, za to na górze wiele słoików i staroci.

Wśród nich obrazki, małe jak pocztówka, dwie akwarelki z drugiej połowy XVIII wieku.

Ze chłopak wyrósł w rodzinie obcującej z sztuką, to i dał owe dzieła do oprawienia.

Ramiarz – co też był uczulony, zwrócił uwagę na tekst na odwrocie obrazka i tak go oprawił, że tekst można w ramce odczytać.

Kiedy pracę pokazano Cioci Dorocie, ta od razu rozpoznała Wrocław, choć z lat kiedy go jeszcze nie znała i zwał się nieco inaczej, w chwilę potem zobaczyła tekst na rewersie...

Poznała ten charakter pisma, parafa też była jej nieobca.

Nie może być, to napisał ojciec, jej Ojciec, niegdysiejszy pracownik Wrocławskiego Archiwum. Tata katalogował znalezione dzieła, opatrywał je opisem i parafował.

Tu odkrył, że prace wykonał architekt wrocławski, bardzo zasłużony i znany – Richard Pluddemann (1846-1910).

Akwarele zostały namalowane w roku 1892 (tu kolejne mrugnięcia) tj. w roku urodzenia ojca.

Dzięki Tacie wcześniej zetknęła się ze sztuką.

Kiedys – wspomina Dorota – Tata powiedział: jutro zobaczysz Pragę.

Ucieszyła się nadzieją wyprawy do Czech, lecz zamiast wyprawy, ojciec na drugi dzień przynosił z Archiwum teczkę z rysunkami przedstawiającymi Pragę i pokazywał jej to miasto.

Dorota wierzy, że to mrugnął do niej Tato, i sprawił, że historia zatoczyła koło, że o niej pamięta i wieści dobre zdarzenia, a do mnie powiedziała: Mam motto – André Malraux – „przyszłość, jest to podarunek, który dostajemy od przeszłości”.

Początki działalności naszej biblioteki przypadają na lata powojenne. Została ona powołana do życia uchwałą Gminnej Rady Narodowej w grudniu 1948 r. Pierwszym bibliotekarzem była Maria Krzyszolik. Na początku w zbiorach znajdowało się jedynie 500 pozycji. W 1964 r. placówka otrzymała nowy lokal, w którym czytelnicy mieli wolny dostęp do półek. Księgozbiór liczył wówczas 4600 egzemplarzy. W 1986 r. biblioteka została przeniesiona do pomieszczeń w nowo wybudowanym Domu Socjalnym w Grzawie, gdzie znajduje się do dziś. Gminna Biblioteka Publiczna w Miedznej z siedzibą w Grzawie ma trzy filie: jedną w Górze oraz dwie w Woli.

Obecnie zbiory liczą 47241 woluminów oraz 294 audiobooki. Systematycznie wzbogacamy je o nowości wydawnicze (także dla dzieci i młodzieży), uwzględniając propozycje czytelników. Za pomocą katalogu *online* na naszej stronie internetowej można przeszukiwać zbiory biblioteki głównej oraz dwu filii. Dzięki programowi Akademia Orange dla Bibliotek wszystkie placówki umożliwiają mieszkańcom nieodpłatny dostęp do Internetu.

Szczególny nacisk kładziemy na działalność na rzecz dzieci i młodzieży. Każdego roku przygotowujemy dla nich bogatą ofertę kulturalno-edukacyjną. Cyklicznie – raz w miesiącu – organizujemy zajęcia dla najmłodszych. W promowaniu czytania od wczesnych lat przyświecają nam hasła kampanii *Cala Polska czyta dzieciom*, w której bierzemy udział. Podczas spotkań przybliżamy klasykę literatury dziecięcej, jak również twórczość współczesnych autorów. Staramy się uatrakcyjnić imprezy dla najmłodszych. Dlatego czekają na nich niespodzianki, do których należą spotkania z postaciami bajkowymi, np. Domissem czy Franklinem. Współpraca z Gminnym Przedszkolem w Miedznej zaowocowała turniejem ekologicznym, popularyzującym tematykę ochrony środowiska, jak również promującym współczesną literaturę dla dzieci. Propozycje dla szkół podstawowych nie ograniczają się jedynie do zajęć z przysposobienia czytelniczego. Wspólnie z uczniami omawiamy zagadnienia związane z regionalizmem, literaturą czy przyrodą. Stałym elementem naszej współpracy są konkursy wiedzy, plastyczne i czytelnice przygotowywane kilka razy w roku. Wyjątkowym rodzajem kontaktu dzieci z literaturą – cieszącym się ogromnym zainteresowaniem – są spotkania z jej twórcami. W minionym i bieżącym roku młodzi czytelnicy mieli okazję porozmawiać z: Ewą Nowak, Wiesławem Drabikiem, Barbarą Gawryluk, Markiem Szotłyskiem, Joanną Krzyżanek, Agnieszką Frączek, Dorotą Gellner i Łukaszem Wierzbickim.

Istotnym punktem bibliotecznej oferty kulturalnej są wystawy. W Filii nr 2 w Woli w ciągu ostatniego roku można było obejrzeć papugi hodowane przez Sebastiana Ulczoka, kolekcję lalek w strojach regionalnych i narodowych z różnych stron świata oraz ekspozy-



*W bibliotece gościł Łukasz Wierzbicki, autor książek podróżniczych dla dzieci i młodzieży (2014)*

## Gminna Biblioteka Publiczna w Miedznej

# Pomysły na promocję biblioteki i regionu



*Konkurs ekologiczny dla przedszkolaków*

cję pt. „Pisarz na tropie przygód Tomka”. Osoby odwiedzające Filię nr 1 w Woli mają okazję zapoznać się z pracami podopiecznych Srodowiskowego Domu Samopomocy „Caritas”. Z tą placówką – działającą w Grzawie – współpracuje również biblioteka centralna, która zaprasza jej podopiecznych na prezentacje multimedialne o różnorodnej tematyce.

W okresie ferii zimowych i wakacji letnich pomysłowe i atrakcyjne zajęcia przyciągają liczną i ciągłe powiększającą się grupę odbiorców. Zróżnicowana tematyka – dinozaury, podróże przez kontynenty, kosmiczne wyprawy, papierowa moda, zajęcia z quillingu (technika sporządzania ozdób z papieru) i origami, tworzenie mandali, kręcenie filmu według własnego pomysłu – rozbudza wyobraźnię najmłodszych użytkowników i zachęca ich do wspólnego działania. Nie mniej emocji i zainteresowania wzbudza *Noc z Andersenem* organizowana corocznie przez bibliotekę centralną i filie w Woli.

Propozycje biblioteki pozwalają ciekawie zagospodarować czas wolny. Oferujemy nie tylko czytanie, spotkania czy wystawy, ale również naukę przez zabawę. Nasze pla-

cówki korzystały z darmowego dostępu do platformy e-learningowej, umożliwiając tym samym naukę języka angielskiego dzieciom (FunEnglish) oraz dorosłym (Angielski 123). Jedną z filii bibliotecznych organizowała lekcje języka angielskiego dla maluchów pt. „Zabawa ze smykiem angielskim językiem” prowadzone przez wolontariuszkę.

Ogromnie ważne jest dla nas krzewienie wiedzy o regionie. Ziemia miedzniańska jest znana z bogactwa kulturowego – w każdym sołectwie zachowały się przepiękne formy architektoniczne – murowane Boże Męki, przyrodne kapliczki oraz zabytkowe drewniane kościołki. Właśnie tutaj znajdujemy różnorodność zwyczajów, tradycji i obrzędów, a unikatowa fauna i flora stanowią kolejny walor lokalnej przestrzeni. Biblioteka ma swój udział w rozbudzaniu zainteresowania małą ojczyzną wśród dzieci i młodzieży poprzez organizowanie konkursu regionalnego Nasza Mała Ojczyzna, popularyzującego wielowymiarową wiedzę o regionie oraz kultywowanie tradycji ludowych. Podobny cel przyświecał nam przy realizacji przedsięwzięcia pt.: „Z tradycją za pan brat...” (w ramach Konkursu Grantowego Aktywna Biblioteka). Przygotowaliśmy zajęcia dla dzieci o podstawowych przybliżających historię, tradycję i kulturę regionu. Ostatnim etapem było wydanie książki z autorskimi scenariuszami nawiązującymi do zwyczajów i obrzędów.

Doświadczenia związane z regionalizmem wykorzystaliśmy, uczestnicząc w międzynarodowym programie Comenius Regio, w którym biblioteka była jednym z partnerów. W ramach projektu ogłosiliśmy międzynarodowy konkurs plastyczny dla dzieci na zakładkę, konkurs dla nauczycieli na scenariusz pt.: „Aktywny rodzic – skuteczny nauczyciel”, przeprowadziliśmy zajęcia dla dzieci poświęcone Słowacji, wykorzystując kolekcję książek wypożyczonych z biblioteki w Nowej Dubnicy. Podczas trwania projektu odbywały się też szkolenia i konferencje, na które pracownicy biblioteki przygotowywali wystąpienia.

Biblioteka nie istniałaby bez odbiorców, czyli czytelników i użytkowników, którym staramy się zapewnić przyjazną i sprzyjającą rozwojowi przestrzeń. Dlatego też filie w Woli prowadzą zajęcia z rękodzieła pod hasłem „Spotkajmy się w bibliotece”. Uczestnicy spotkań mogą pochwalić się swoimi pasjami, a także – w trakcie warsztatów – nauczyć innych nowych umiejętności. W Filii nr 1 w Woli odbywają się spotkania Stowarzyszenia „Limonek” – Aktywnych Kobiet z Powiatu Pszczyńskiego, wspierającego działania placówki promujące czytelnictwo.

O wszystkich akcjach i przedsięwzięciach biblioteki na bieżąco informujemy na stronie internetowej i na Facebooku.

RENATA SZWEDA  
MAGDALENA PASAMONIK





## Pałac Młodzieży już po remoncie

Prace nad remontem i odrestaurowaniem Pałacu Młodzieży przyćmiły wielkie katowickie inwestycje: Muzeum Śląskie, nowa siedziba NOSPR czy budowa Międzynarodowego Centrum Kongresowego. Tymczasem przy ulicy Mikołowskiej stoi znów imponujący gmach – dziś już zabytkowy obiekt epoki socrealizmu. Nikomu jednak nie przychodzi do głowy jego likwidacja, a wręcz odwrotnie. Przywrócono do życia wspaniałą salę teatralną z zapleczem, która dziś jest bodaj najnowocześniejszą salą w mieście, a nowego blasku nabrały tak charakterystyczne dla tego obiektu zewnętrzne płaskorzeźby, a wewnątrz – naścienne malarstwo.

Remont kosztował ponad 47,3 mln zł. Początkowo planowano, że prace obejmą jedynie termomodernizację budynku oraz remont sali teatralnej, ale po wpisie do rejestru zabytków, znacznie rozszerzono zakres planowanych robót. I tak remont budynek przeszedł z zewnątrz, jak i wewnątrz, odnowiono wszystkie instalacje, pracownie, a także korytarze oraz znajdujące się w nich mozaiki.

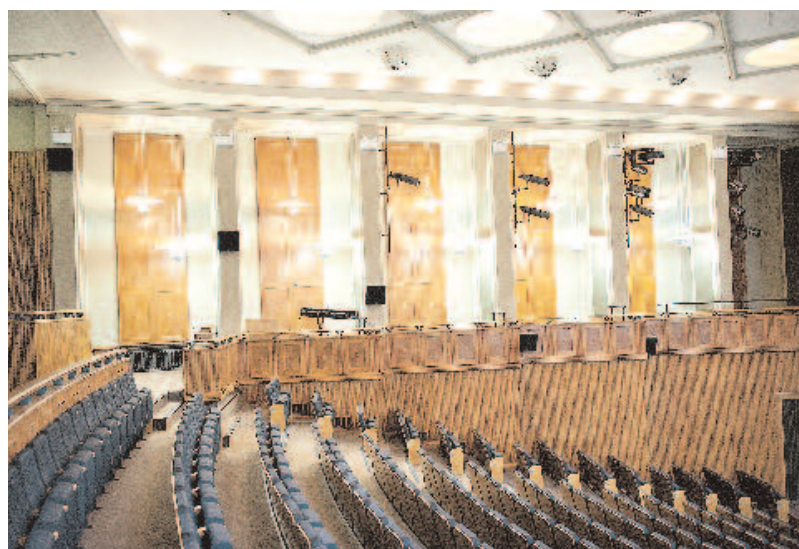
Na stałych bywalców jak i na wszystkich chętnych czekają pracownie rozmaitych zainteresowań, zespoły muzyczne, taneczne, wokalne.

Pałac Młodzieży to legenda – długo by przytaczać wspomnienia licznych już rzesz dzisiejszych luminarzy kultury, sztuki czy nauki.

Zapewne znów zapełni się sala kinowa, z którą wiążą się najpiękniejsze wspomnienia wielu dzisiejszych kinomanów i miłośników filmu.

Trudno przecenić rolę, jaką spełnia od kilkudziesięciu lat Pałac Młodzieży. Cieszy zatem jego powrót na mapę najjaśniejszych punktów miasta.

To właśnie w Pałacu Młodzieży Katowice zainaugurowały swoje 149. urodziny. (wk)



Zdjęcia: Zbigniew Sawicz

Znaki i twarze  
miasta



KATOWICE  
dla odmiany





Agnieszka Kamińska na Zamku w Mosznej odbiera Nagrodę Marszałka Województwa Opolskiego z rąk Barbary Kamińskiej, Członka Zarządum Województwa Opolskiego.



Wernisaż Beaty Wiewiórki (pierwsza od lewej) obok Agnieszka Kania.



„Sen nocy letniej” wernisaż Mirosławy Rychtarovej, od lewej Agnieszka Kania i autorka prac.

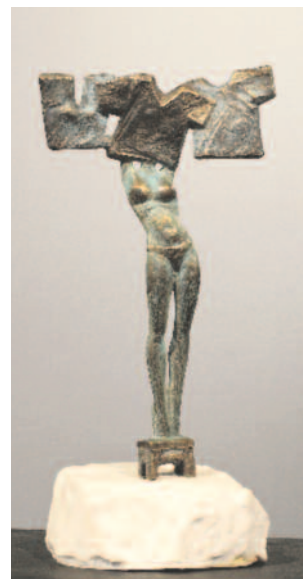


W galerii Panaceum podczas wernisażu Bolesława Polnara.



## Niech żyje Sztuka!

Prywatna galeria sztuki „Panaceum” prowadzona w Opolu przez doktor Agnieszkę Kanię obchodzi w tym roku mały jubileusz pięciolecia działalności. W ciągu kilku lat kameralny salon Pani Doktor stał się ulubionym miejscem spotkań artystów, przedstawicieli środowisk akademickich i koneserów sztuki. Młoda galeria gościła już ponad dwadzieścia wystaw, spotkań autorskich i prezentacji, zarówno twórców opolskich jak i gości z kraju i zagranicy, wystawiających głównie rzeźbę, grafikę i malarstwo. Po kolejnych wernisażach w „Panaceum” pozostawało na stałe coraz więcej dzieł plastycznych, wzbogacających wspólną przestrzeń symbiozy przychodni stomatologicznej i galerii sztuki. Działalność prowadzona przez właścicielkę tego niezwykle miejsca zasługuje na szczególne uznanie i szerszą popularyzację nie tylko w kręgu regionalnym województwa opolskiego. Misją jaką realizuje pani Agnieszka Kania na niwie kultury stanowi znakomity przykład harmonii światłego mecenatu prywatnego i społecznej działalności pro publico bono. We współczesnym zmaterializowanym świecie przypomina również o tym, że warto żyć pięknie, sięgając po sens istnienia wokół nieprzemijających wartości. Za dokonania twórcze i animatorskie na rzecz kultury Śląska Opolskiego Agnieszka Kania została uhonorowana nagrodą Marszałka Województwa Opolskiego.



„Nie mam w co się ubrać” autor Wit Pichurski – statuetka.



Wernisaż Magdaleny Grodzieńskiej.



## Galeria Panaceum

Sfera medycyny i sfera sztuki przenikają się wzajemnie. Wielu lekarzy było artystami, a także artyści bywali lekarzami zarówno ciała jak i duszy. Można sięgać po liczne przykłady na dowód owej tezy. W epoce baroku Anioł Ślązak (Johannes Scheffler), autor „Cherubowego wędrowca” po studiach w Strasburgu, Lejdzie, zwińczonego doktoratem z filozofii i medycyny w Padwie, był nie tylko cesarsko-królewskim lekarzem, ale również filantropem i opiekunem ubogich pacjentów. Nie musimy jednak sięgać aż tak daleko do kart śląskich dziejów, oto bowiem współcześnie w opolskiej przestrzeni kulturowej funkcjonuje niezwykła galeria „Panaceum”, harmonijnie łącząca w innowacyjnym projekcie – przestrzeni medycyny z przestrzenią sztuki. Patronem i dobrym duchem tego miejsca jest Agnieszka Kania, znana i ceniona stomatolog-implantolog, która po studiach medycznych we Wrocławiu doskonalila wiedzę oraz praktyczne umiejętności w ośrodkach klinicznych m. in. w Berlinie, Monachium, Madrycie, Detroit, Londynie, a także na uniwersytecie w Sienie, gdzie uzyskała tytuł Masters in Prosthodontics (Mistrz Protetyki). Pani doktor została obdarzona licznymi talentami, z gracją porusza się w ogrodzie literatury i sztuki, włada językami obcymi i lekkim piórem (tych walorów mogłoby pozazdrościć etatowi krytycy sztuki, literaci i dziennikarze). Jeszcze zanim przestąpimy progi „Panaceum” witają nas kompozycje rzeźbiarskie Ignacego Nowodworskiego, podkreślając oryginalne cechy przychodni-galerii. Na ścianach holu i w gabinetach, można obejrzeć obrazy, rysunki, grafiki i rzeźby artystów opolskich a także gości z kraju i zagranicy (prace wystawiali m.in. Wewiórka, Szczapow, Polnarowie, Złotnicka, Chyży, Janik, Hlawacz, Trzos, Grodzińska, Złotnicka, Rychtarova, Bruce).

Wnętrze przychodni oswojone dziełami sztuki pozwala pacjentom zapomnieć o stresie. Zjawisko to jest szczególnie zauważalne w gabinecie dla dzieci, gdzie artyści dla małych pacjentów stworzyli marynistyczne sceny, przywołujące wspomnienia nurka z podwodnych podróży. Podczas werniszaży, cyklicznie organizowanych w „Panaceum”, przyjazną aurę miejsca współtworzą z gospodarzami przedstawiciele artystycznego salonu Opola. Ujmując to zjawisko statystycznie i nieco żartobliwie – można powiedzieć, że galeria współfinansowana ze środków europejskich osiągnęła dobre wskaźniki projektu – największą średnią – artystów, profesorów i dziennikarzy na metr kwadratowy w stolicy polskiej piosenki. Agnieszka Kania opowiedziała o swoich fascynacjach sztuką w „Zapatrzeniach”, książce stanowiącej zbiór szkiców dedykowanych opolskiej bohemie, które ukazywały się na łamach regionalnego dodatku „Gazety Wyborczej”. Mimo obowiązków zawodowych znajduje czas na lekturę i pisanie, za co została uhonorowana głównymi laurami kolejnych edycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Przychodzi wena do lekarza” im. prof. Andrzeja Szczeklika (jurorzy m.in. A. Zagajewski i E. Lipska). Obecnie przygotowuje w Opolu zjazd grona kilkudziesięciu medyków, stowarzyszonych w Unii Polskich Lekarzy Pisarzy. Zapewne goście znajdując czas na odwiedzenie galerii „Panaceum”. W tym niezwykłym miejscu z uśmiechem jego Patronki, zostaną obdarowani lekiem na wszelkie odcienie otaczającej nas szarości...

JANUSZ WÓJCIK

# OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

## Park Miniatur Sakralnych

W Olszowej, w powiecie strzeleckim, otworzył oficjalnie Park Miniatur Sakralnych – pierwszy tego typu obiekt na Opolszczyźnie, którego pomysłodawcą był podróżnik i przedsiębiorca Aleksander Materla. Główną atrakcją parku stanowi ogród o powierzchni 2000 metrów kwadratowych, w którym znajduje się kilkanaście miniatur (świetnie wykonanych) najbardziej znanych obiektów sakralnych na świecie, a wśród nich m.in. bazylika św. Piotra w Rzymie, katedra Notre Dame w Paryżu, bazylika Grobu Pańskiego w Jerozolimie, bazylika św. Marka w Wenecji oraz kościół Najświętszej Marii Panny w Krakowie. Na terenie parku znalazły się również regionalne obiekty architektury sakralnej: sanktuarium Góra św. Anny, katedra Świętego Krzyża w Opolu oraz katedra św. Jakuba Apostoła i św. Agnieszki w Nysie. Uroczystego otwarcia parku z udziałem właścicieli – rodziny Materlów, przedstawicieli władz państwowych i samorządowych dokonał biskup polski ks. prof. Andrzej Czaja, który poświęcił nowy obiekt. Wyraził również nadzieję, że miejsce to będzie symbolizować wkład Kościoła w budowanie życia kulturalnego Europy. Jak sam przyznał, „takie miejsce uświadamia nam, że należy dbać o te zabytki”. Park posiada własną bazę noclegową, dwupoziomą restaurację z antresolą Spichlerz, salę bankietową Pod Złotym Rogiem i salę konferencyjną, które powstały po modernizacji starych budynków gospodarczych i dawnej stadniny koni z przełomu XIX/XX w. Dla najmłodszych gości stworzono dodatkowe atrakcje: park linowy i tzw. bajkowy sad. Park Miniatur Sakralnych w Olszowej wzbogacił mapę atrakcji turystycznych regionu a odrestaurowany majątek śląskiego ziemiaństwa jest modelowym przykładem adaptacji zabytkowych obiektów na funkcje turystyczno-kulturalne. Tylko w sierpniu przyjechało tutaj blisko 15 tysięcy zwiedzających.

## Nyska Folk Fiesta

Podczas IX edycji Międzynarodowego Festiwalu Folklorystycznego Folk Fiesta na dziedzińcu Bastionu św. Jadwigi w Nysie występowały zespoły wokalnie-taneczne reprezentujące różnorodne kręgi kulturowe Europy i Azji. Przez

Jednym zdaniem

■ Arii z oper Verdiego, Czajkowskiego, Borodina i Moniuszki można było posłuchać podczas gali operowej w opolskim amfiteatrze (na rzecz fundacji „Mimo wszystko” Anny Dymnej) z udziałem Andrzeja Dobbera i Filharmoników Opolskich na zakończenie festiwalu „Śląskie Lato Muzyczne”.

■ W Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu prezentowano wystawę „Logografowie. Odra – przepływ idei”, prezentującą zdjęcia i nagrania wideo, dokumentujące działania artystyczne młodych twórców z Polski i Niemiec, biorących udział we wspólnym rejsie odrazańskim.

■ IV Opolskie Dni Madonn Kresowych w Wójcicach koło Otmuchowa zainaugurowała uroczysta msza św. przed cudownym obrazem Matki Bożej Łopatńskiej, następnie ks. Grzegorz Kopij wygłosił prelekcję na temat dziejów obrazu Matki Bożej Ostrobramskiej a w części artystycznej wystąpił chór „Echo Kresów” z Kędzierzyna Koźla.

■ Podczas Muzycznych Spotkań na Wzgórzu Uniwersyteckim, zorganizowanych przez Studenckie Centrum Kultury opolska publiczność wysłuchała koncertów z piosenkami Marka Grechuty i Krzysztofa Klenczona w wykonaniu Basi Beuth i Janka Samolyka.

cztery dni na scenie plenerowej festiwalowa publiczność oklaskiwała grupy artystyczne m.in. z Tajwanu, Włoch, Szwecji, Łotwy, Estonii, Rosji, Ukrainy i Niemiec oraz zespoły z zaprzyjanych festiwali z Polski i Czech. Gwiazdą tegorocznej edycji był Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” pod dyrekcją Zbigniewa Cierniaka, który dał dwugodzinny koncert pt. „W Europie ze Śląskiem”. Dużym zainteresowaniem cieszył się również występ teatru tańca Romafest Gypsy, który okazał się bardzo żywiołowym i barwnym widowiskiem. Międzynarodowy charakter imprezy podkreślały liczne stoiska z produktami regionalnymi i wyrobami rękodzieła z kraju i zagranicy, m.in. z ręcznie wykonanymi instrumentami muzycznymi z Białorusi. Akcentem wieńczącym festiwal był pokaz sztucznych ogni, wypuszczonych z górnych partii Bastionu św. Jadwigi. Festiwal został zorganizowany w ramach projektu „Promocja Twierdzy Nysa – Wielokulturowego Produktu Turystycznego”.

## Tradycje militarne Brzegu

Na łamach „Gazety Brzeskiej” dr Jan Majewski – geograf i historyk, opublikował w ostatnich latach ponad 60 artykułów dotyczących wojskowości w dziejach miasta, które dzięki wsparciu Starostwa Powiatowego w Brzegu ukazały się w formie wydawnictwa książkowego, wzbogaconego materiałami ikonograficznymi, fotografiami, reprodukcjami muzealnych eksponatów. Badacz lokalnej historii na podstawie źródeł archiwalnych, zgromadzonej literatury oraz dokumentów kartograficznych opracował obszerny materiał, ukazujący Brzeg jako ufortyfikowane miasto garnizonowe, o militarnym charakterze od początków jego lokacji do czasów współczesnych. Autor opisując rozwój miasta oraz jego zaplecze militarne nakreślił szerszy kontekst historyczno-polityczny, wskazując na określone konsekwencje dla Śląska i Brzegu, wynikające z sytuacji międzynarodowej oraz wojen prowadzonych w tej części Europy. Na przestrzeni kolejnych wieków przedstawia zmiany, jakie zachodziły w fortyfikacji miasta. Opisuje również zaangażowanie jego władców i mieszkańców w poszczególne wyprawy wojskowe. Ważny rozdział stanowi historia polskiej wojskowości, związanej z tradycją I Brygady Saperów (od szlaku bojowego po misję w ramach NATO, ONZ i UE). Obecnie w mieście stacjonuje I Brzeski Pułk Saperów im. Tadeusza Kościuszki. Jednostka poza służbą wojskową, pełni także ważną rolę w życiu społeczno-kulturalnym miasta i regionu, a to dzięki pracy Klubu Garnizonowego działającego pod kierunkiem Janiny Koronkiewicz. Zespoły i soliści tej instytucji są laureatami ogólnopolskich festiwali i przeglądów artystycznych, kreując od wielu lat pozytywny wizerunek wojska w różnych środowiskach cywilnych.

■ W Parku Historycznym we Włodzieniem odbyła się „Bitwa pod Włodzieniem, czyli rekonstrukcja walk z okresu II wojny światowej” zorganizowana przez Stowarzyszenie Krótkofalowców Pogorza Opawskiego.

■ Miejska Biblioteka Publiczna w Opolu gościła kolejne spotkanie Śląskiego Forum Krajoznawczego, podczas którego prof. Anna Pobóg-Lenartowicz z Instytutu Historii Uniwersytetu Opolskiego wystąpiła z wykładem „Życie codzienne w klasztorach śląskich w średniowieczu”.

■ Wystawę „Artystyczny klan. Twórczość rodziny Starzyńskich”, zawierającą prace rodzinny brzeskich artystów: malarstwa, grafiki, tkaniny, projekty ubiorów, biżuterię zaprezentowano w Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu.

■ Uwerturę do opery „Nabucco” Verdiego, VIII Symfonii h-moll „Niedokończona” Schuberta oraz I suite orkiestrową „Peer Gynt” Griega wykonała Młodzieżowa Orkiestra Symfoniczna złożona z muzyków z Opola i Poczdamu pod dyrekcją Andresa Jerye i Huberta Prochoty na zakończenie Międzynarodowych Warsztatów Muzycznych w Filharmonii Opolskiej im. Józefa Elsnera.

## Marka – Śląskie edycja 2014

Podczas Gali Regionalnej Izby Przemysłowo-Handlowej w Gliwicach ogłoszono zwycięzców V edycji konkursu „Marka – Śląskie”. Nagrody i wyróżnienia w konkursie wręczył Mirosław Sekuła, Marszałek Województwa Śląskiego oraz Wiktor Pawlik, Prezes Izby Przemysłowo-Handlowej w Gliwicach.

„Konkurs ma zachęcać do tworzenia nowoczesnego przemysłu, do nowych przedsięwzięć, które będą bardzo innowacyjne i konkurencyjne w skali światowej. Chcemy, by śląskie marki były rozpoznawalne na całym świecie” – mówił marszałek Mirosław Sekuła.

W poszczególnych kategoriach nagrodzono: Osobowość Roku 2014 w konkursie „Marka – Śląskie” – prof. Wiesław Baryś (Wyróżnienie – Sebastian Kawa), Gospodarka – Wawrzaszek ISS Sp. z o.o. S.K.A., Nauka – Instytut Chemicznej Przeróbki Węgla z Zabrzę, Kultura – Zespół Pieśni i Tańca „Mały Śląsk” z Radzionkowa (Wyróżnienie – Filharmonia Zabrzańska), Dziedzictwo kulturowe regionu – Park Tradycji Górnictwa i Hutnictwa w Siemianowicach Śląskich, Sport, turystyka i rekreacja – Gmina Olsztyn, Produkt – Wawrzaszek ISS Sp. z o.o. S.K.A. z Bielska-Białej za lotniskowy samochód ratowniczo-gaśniczy Felix II 8x8, Usługa – Park Naukowo-Technologiczny TECHNOPARK GLIWICE Sp. z o.o. (Wyróżnienie – Bank Spółdzielczy w Jastrzębiu-Zdroju), Zdrowie – Centrum Onkologii – Instytut im. Marii Skłodowskiej-Curie Oddział w Gliwicach, Organizacje Pozarządowe – Hospicjum św. Kamila w Bielsku-Białej, Społeczna odpowiedzialność biznesu – Przedsiębiorstwo Komunikacji Miejskiej Sp. z o.o. w Sosnowcu. Wyróżnienie – Media: Akademickie Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach

Decyzją Kapituły w bieżącym roku specjalne wyróżnienie w Konkursie „Marka – Śląskie” otrzymała Górnośląska Agencja Przedsiębiorczości i Rozwoju Sp. z o.o.

Nagroda „Marka – Śląskie” jest formą uhonorowania i promocji przedsiębiorstw, instytucji oraz osób fizycznych, które swoją działalnością tworzą pozytywny wizerunek regionu oraz przyczyniają się do budowania tożsamości regionalnej w Polsce i Europie. Konkurs organizowany jest wspólnie przez Regionalną Izbę Przemysłowo-Handlową w Gliwicach oraz Urząd Marszałkowski Województwa Śląskiego. Współfinansowany jest ze środków Województwa Śląskiego.

Kapitułę Konkursu tworzą: Mirosław Sekuła – przewodniczący Kapituły, Marszałek Województwa Śląskiego oraz Wiktor Pawlik – Prezes Regionalnej Izby Przemysłowo-Handlowej w Gliwicach – Wiceprzewodniczący Kapituły. Członkowie Kapituły to: Wiesław Baryś – Rektor Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Eugeniusz Budniok – Kanclerz Katowickiej Loży Business Centre Club, Tadeusz Donocik – Prezes Regionalnej Izby Gospodarczej w Katowicach, Jacek Filus – Szef Anteny Polskiego Radia Katowice, Andrzej Karbownik – Rektor Politechniki Śląskiej w Gliwicach, Jan Klimek – Prezes Izby Rzemieślniczej oraz Małej i Średniej Przedsiębiorczości w Katowicach, Jerzy Nachel – Redaktor Naczelny TVP Katowice, Marian Osliślo – Profesor Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, Marek Twaróg – Redaktor Naczelny Polski Dziennik Zachodniego oraz Marian Zembala – Dyrektor Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrzę.

WIESŁAWA KONOPELSKA

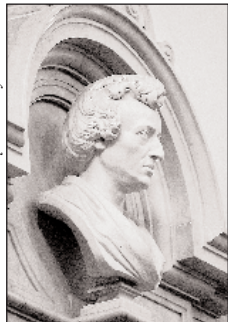
## KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Pod patronatem „Śląska”

... i Chopin, i jego serce

Na wieczór *Wokół Chopin* zaprasza 17 października o 18.00 Muzeum Górnośląskie w Bytomiu. Będzie można zobaczyć intrygujący film Piotra Szalszy pt. *Serce Chopina* zrealizowany w 1995 roku o losach urny wielkiego Polaka i kompozytora, opowiadający przedziwną, niewiele znaną i zagmatwaną historię.

Wołą kompozytora było, by jego serce znalazło miejsce w Warszawie. I tu pierwsza intrygująca historia. Podczas przewożenia urny z Paryża do kraju, zajętego przez zaborców, na granicy odbyła się kontrola celna. Ukryta w fałdach sukni Ludwika Jędrzejewiczowej urna nie została, na szczęście, odkryta. Potem, już w Warszawie nastąpiły starania o umieszczenie serca w odpowiednim miejscu – i ta rzecz musiała odbywać się w tajemnicy. Dopiero czas odzyskania niepodległości pozwolił na oficjalne uczczenie pamięci kompozytora. Po krótkim czasie niepodległości nadeszła wojna 1939.



Fot. Muzeum Górnośląskie w Bytomiu

Niemcy zabronili wykonywać utwory Chopina zarówno oficjalnie jak i w domach prywatnych. W sierpniu 1944 rozgrywają się przedziwne wydarzenia związane z urną. W kościele św. Krzyża pojawia się niemiecki kapelan Schulze proponując wyjęcie urny i uratowanie jej – ponieważ, jak mówi, na tym terenie będą miały miejsce walki. Księża się zgadzają i nadal dzieją się rzeczy niesamowite, ale o nich opowie już film, na który serdecznie zapraszamy. Dość powiedzieć, że historia urny jest intrygująca, pełna niespodzianek, znaczące są w niej daty, osoby, znaczące nazwiska – chociażby generała Reicha von den Bacha, który we wrześniu 1944 uroczystie przekazuje urnę ks. abp. Antoniemu Szlagowskemu, czy mieszkanie prywatne przy ul. Adama Mickiewicza, w którym przechowywano przez pewien czas serce Chopina.

Obchodom 165. rocznicy śmierci Fryderyka Chopina towarzyszyć będą zajęcia warsztatowe *Dźwiękowyobraźnia – zabawy edukacyjne* na wystawie „Świat zmysłów”, koncert uczniów bytomskiej Szkoły Muzycznej i wykład historyka sztuki Agnieszki Bartków *Chopin według Delacroix – o niedokończonym obrazie francuskiego romantyka*.

Zasłużeni dla rudzkiej kultury

Antoni Ratka oraz Barbara i Adam Podgórcy – znani działacze społeczni, dziennikarze, pu-

blicyści i pisarze dołączyli do grona „Zasłużonych dla Miasta Ruda Śląska”. Tytuł ten jest uhonorowaniem ich dotychczasowej działalności na rzecz Rudy Śląskiej i jej mieszkańców.

Antoniemu Ratce Ruda Śląska zawdzięcza przede wszystkim rozpowszechnianie wśród mieszkańców wiedzy na temat miasta i jego dzielnic, a także dziejów rudzkiego szkolnictwa. W 1974 roku był pomysłodawcą oraz współwydawcą pierwszego przewodnika po Rudzie Śląskiej oraz jego głównym współautorem. Z inicjatywy Towarzystwa zorganizowane zostały obchody 700-lecia istnienia Rudy i z tego powodu ukazał się album „Ruda Śląska 1295 – 1995”, autorstwa Antoniego Ratki. Rudydzianin publikował także przez sześć lat artykuły historyczne na łamach „Wiadomości Rudzkich”.

Barbara i Adam Podgórcy znani są w Rudzie Śląskiej jako dziennikarze i publicyści, autorzy książek oraz działacze społeczni i obywatelscy, nagrodzeni rozmaitymi wyróżnieniami. Do ich zasług należy m.in. utrwalanie i rozpowszechnianie mowy śląskiej oraz śląskich tradycji kulturowych, a także rozwój edukacji regionalnej i ekologicznej. Przez te lata ukazało się około 100 publikacji, w tym ponad 60 książek wydanych z inicjatywy lub pod redakcją Barbary i Adama Podgórców, publikacji internetowych i e-booków. Do pozycji, które zajmują szczególnie miejsce w bibliografii należy „Mitologia śląska”, „Słownik gwar śląskich”, „Księga biesiadna”, „Synagoga w Wirku. 1891-1939. Ocalona pamięć”, „Nazwy terenowe i miejscowe w Rudzie Śląskiej”, antologia koled „Rudzkie Betlejem” czy publikacje z cyklu „Drzewa w pomniki zakłete”. Państwo Podgórcy są założycielami różnych organizacji pozarządowych, które aktywnie działają na terenie Rudy Śląskiej.

Pod patronatem „Śląska”

„Aby wystarczająco dobrze żyć”

Ogólnopolską Konferencję Naukową pod tym tytułem okazji 55. rocznicy założenia Oddziału Polskiego Towarzystwa Psychologicznego w Katowicach organizują w dniach 7 – 8 listopada 2014 Polskie Towarzystwo Psychologiczne Oddział w Katowicach przy współudziale Instytutu Psychologii Uniwersytetu Śląskiego, Instytutu Psychologii SWPS w Katowicach, Instytutu Psychologii Wyższej Szkoły Humanitas, Katedry Psychologii GWSH.

Konferencja ma stanowić forum dyskusji środowiska psychologicznego – praktyków i teoretyków – związanych z dziedzinami psychologicznymi.

Myślą wiodącą konferencji naukowej jest kwestia sposobów istnienia, funkcjonowania i radzenia sobie człowieka „w wystarczająco dobry sposób” w perspektywie zróżnicowanych czynników i uwarunkowań obecnej rzeczywistości, często przekraczającej indywidualne zasoby i możliwości.

Obszary tematyczne konferencji to zadania psychologii wobec wyzwań współczesnego życia: potrzeby, problemy i kryzysy w różnych okresach życia (*lifespan psychology*), trudności osób słabych, bezbronnych, zagrożonych przemocą czy wykluczeniem, starszych. Czynniki sprzyjające podnoszeniu jakości życia wobec różnych modeli jakości życia – zagadnienie ról życiowych – jak być wystarczająco dobrym rodzicem, małżonkiem, dzieckiem. Kwestia zagrożeń i gotowości podejmowania ryzyka, wystarczająco skutecznego radzenia sobie, funkcjonowania z niepełnosprawnościami i zaburzeniami. Gubienie radości życia i poszukiwania szczęścia, doświadczenia szczytowe

Jednym z daniem

■ W Muzeum Miejskim w Rudzie Śląskiej odbyło się spotkanie z Barbarą i Adamem Podgórcami, Sebastianem Brudymem i Jakubem Roterem – autorami książki o Wincencie Janasie w 95. rocznicę męczeńskiej śmierci, a wydanej z okazji 95. rocznicy wybuchu I powstania śląskiego.

■ W Katowicach na placu przed kościołem Mariackim można było oglądać wystawę ple-

nerową „Polska Walcząca” – opowiadającą o fenomenie Polskiego Państwa Podziemnego – zjawisku wyjątkowym w okupowanej w latach II wojny światowej Europie. ogólnopolską ekspozycję wraz z regionalną częścią przygotowaną przez Biuro Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej oraz Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Katowicach.



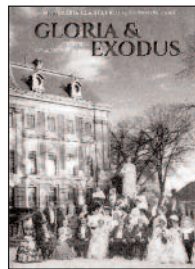
a podejmowanie ryzyka oraz odnajdywanie równowagi pomiędzy życiem rodzinnym i pracą zawodową.

### Śląsk we wspomnieniach potomków śląskich arystokratów

25 w Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu odbędzie się premiera filmu historycznego *Gloria i exodus – historia szlachty śląskiej* w reżyserii Andrzeja Klamta i Ronalda Urbańczyka. Spotkanie z autorami oraz projekcja filmu odbędą się w gmachu przy ul. W. Korfańtego 34, w Sali Gorczyckiego.

Film *Gloria i exodus – historia szlachty śląskiej* docieka znaczenia szlachty śląskiej w burzliwych czasach XX wieku. Historia Śląska odżywa we wspomnieniach potomków rodzin śląskich arystokratów o czasach przejęciowych od cesarstwa przez demokrację do dyktatury nazistowskiej i mówi o sytuacji dawnych niemieckich prowincji wschodnich po II wojnie światowej.

Twórcy filmu postanowili przybliżyć widzący życie i działalność rodzin szlacheckich: Henckel von Donnersmarck, Tiele-Winckler, Ballestrem, Eichborn, Küster, Wietersheim-Kramsta oraz Książąt Pszczyńskich.



### Grafiki Henryka Bzdoka

21 grafik digitalnych można było oglądać w galerii Biura Promocji Bytomia. Organizatorem wystawy była Spółdzielnia Pracy Artystów Plastikowych w Bytomiu. Tematem grafiki był charakterystyczny śląski pejzaż podwórek, kamienic, miejsc „magicznych”, zwyczajnych uliczek. Artysta w swojej twórczości upodobał sobie Śląsk, miejsce swojego urodzenia.

Henryk Bzdok (rocznik 1937) od lat siedemdziesiątych jest za pan brat z Europą i światem – co określiło jego artystyczne widzenie, rozumienie i przetwarzanie otoczenia. Studia ukończył w katowickim Wydziale Grafiki krakowskiej ASP. Współpracował z takimi czasopismami, jak: „Kocynder”, „Kaktus”, „Panorama”, „Jazz”, „Szpilki”, a także zagranicznymi „Punch” (Anglia), „Pardon” (Niemcy), „Otech” (Jugosławia) czy „Dikobraz” (Czechosłowacja). Artysta zaprojektował grafikę do ponad 100 książek i wielu innych drukowanych materiałów, dał się również poznać jako autor monumentalnych malowideł i mozaiki, głównie na Śląsku, np. na Wydziale Nauki o Ziemi US w Sosnowcu czy też w Niemczech, gdzie znajduje się np. jego monumentalne malowidło ściennie na fasadzie Muzeum Miejskiego w Bergkamen.



Lista dokonań artysty – wystaw indywidualnych i zbiorowych, dzieł w przestrzeni publicznej jest przeogromna. Prezentował Bzdok swoje rysunki niemal we wszystkich krajach Europy, w USA, Kanadzie, Brazylii, Argentynie. Wystawa odbyła się w 40-lecie twórczości Artysty.

### Cyberfoto 2014

W galerii „Katowice” ZPAF w Katowicach gościła wystawa pokonkursowa XVII Międzynarodowego Konkursu Cyfrowej Fotokreacji CYBERFOTO 2014. Jury konkursu przewodził Krzysztof Jurecki. O laureatach tegorocznej edycji CYBERFOTO pisał tak: (...) W tym roku po raz pierwszy wszystkie nagrody i wyróżnienia przypadły płci pięknej. I nie jest to przypadek; to nowy wyróżnik przebudowy świata artystycznego, w którym kobiecie doszły do głosu prezentując nie tyle prace feministyczne, a raczej wyniki z jego dokonań oraz różnej refleksji o życiu. „Strategie męskie” pokazywane na konkursie w Częstochowie (np. Jacek Szczerbaniewicz, Eugeniusz Nurzyński) wydają się opalone, opatrzone, ba nawet akademicko-klasyczne. Mogą jednak inspirować, gdyż dotyczą różnych możliwości stosowania form czy koloru. Ale nie intrygują, jak jeszcze kilka lat temu.

Bezdiskusyjnie i nagrodę otrzymała Marta Dąbrowska za *Szablony*, które są metaforą ludzkiego życia, wraz z jego smutkiem, a nawet grozą starości a potem śmierci. Jej obsesyjne montaż, tradycja malarskiego, jak sadzę surrealizmu i przede wszystkim atmosfera strachu, którą w większości prac potrafi utrzymać, świadczy o bardzo dużym potencjale twórczym, ale i pewnej manieryczności w pokazywaniu ludzkich rysów. Drugi z jej cykli, również na wysokim poziomie artystycznym, świadomie, choć arbitralnie, porównywał wyobrażenie człowieka do zwierzęcia, przede wszystkim anonimowego mężczyzny, jako martwej formy „mięsnosci” o tradycji sztuki krytycznej (Grzegorz Kłaman).



Maria Dąbrowska



Anna Andrzejewska-III  
a3 40x50

Zainteresowana jest ona, jak pisała „alternatywną rzeczywistość [cią] pojęć, znaczeń i metafor”. Są to montaż jak ze snu, poszukujące psychoanalitycznego spełnienia, i jak sadzę pozytywnego myślenia o dzieciństwie. Subtelna symbolika, jak w twórczości Grzegorza Przyborka: w tym książki, globus, znaczki pocztowe ze zwierzętami, łatwo wpisuje się w pamięć odbiorcy. Ten cykl trafnie kontynuuje jej poprzednie dokonania: *Pożądanie* i *Spotkanie z Morfeuszem*, w czym widać konsekwencję autorki.

III nagrodę zdobyła nagradzana już kilka lat temu Anna Andrzejewska – portrecistka związana, podobnie jak Dąbrowska, ze środowiskiem ZPAF-u w Katowicach, który należy do najważniejszych ośrodków w Polsce. Od kilku lat z powodzeniem

złębia ona zagadnienia portretu fotograficznego, który rozwijała w związku z fotografią mody i aktem. Maskowany portret, w którym skrywana jest tożsamość człowieka, wyraża tradycję surrealizmu i body-artu, gdzie cielesność przeciwstawiona została mieszczańskiemu wyobrażeniu o stroju, w świadomej relacji do tradycji malarstwa z jego tradycją barokowej fałdy oraz wysmakowaniem kolorystycznym całości, świadczącym o dużej wrażliwości estetycznej.

### „Z paletą przez życie”

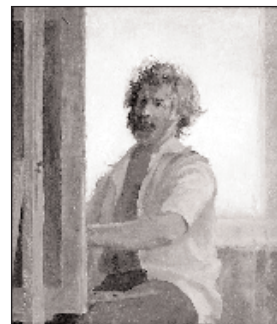
W Muzeum Śląskim można oglądać wystawę monograficzną Stanisława Mazusia – laureata wielu nagród, którego prace pokazywane były na ponad 100 wystawach w Polsce i za granicą. Ekspozycja zorganizowana została w ramach obchodów 60-lecia działalności twórczej.

Wystawa, prezentująca 60 prac, stanowi ilustrację tego, co inspiruje i fascynuje Stanisława Mazusia, czyli portret, krajobraz, martwa natura. Na ekspozycji pośród obrazów olejnych, akwareli zobaczymy także nieznanne grafiki. Artysta w swych dziełach nie stosuje czystych kolorów, łamie je, mieszając na palecie, nakładając szerokimi pociągnięciami pędzla, pozostawiając czysty dukt. Artysta buduje walorową, zgaszoną tonacją barw, zaakcentowaną czy to fakturą obrazu, czy błyskiem światła na jego powierzchni. Rezultat – to malarski wizerunek świata kreowany przez artystę klasyczną techniką oraz odwołanie się do tradycji francuskiej impresjonistów i do holenderskiego perfekcjonizmu oddawania. Stąd też Mazuś operuje zasadami akademickiego obrazowania, w którym szkic, kolor, technika alla prima, impasty przekładają się na zainteresowanie widza jego twórczością.

Ekspozycja prezentuje prace artysty od ponad 40 lat tworzącego na Śląsku i ze Śląskiem silnie związanego. Jego obrazy trafiły do kolekcji muzeów m.in. w Warszawie, Krakowie, Bytomiu, Radomiu, Bielsku-Białej czy Florencji (Galeria Uffizi).

Stanisław Mazuś (ur. 7 lipca 1940 roku w Lublinie). Fascynacje artystyczne z lat dzieciństwa były impulsem do edukacji w latach 1954–1960 w Liceach Sztuk Plastycznych w Lublinie i Zamościu. W latach 1961–1967 studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie u Aleksandra Rafałowskiego i Eugeniusza Eibischa, a także Andrzeja Jurkiewicza oraz Andrzeja Rudzińskiego. Mistrzem był Eibisch, który przekonał młodego artystę do trwania w klasycznym warsztacie malarza, umiłowania koloru, realizmu. W 1968 roku przeniósł się z Warszawy na Śląsk, do Tychów, gdzie nadal mieszka.

Pracę w plenerze i pracowni, która stała się miejscem spotkań i integracji środowiska, społeczności lokalnej, przełożył na tematy swych dzieł: portrety, krajobrazy, martwe natury. Każde z nich przyciąga widza kolorem, błyskiem światła i mistrzowskim warsztatem.



■ Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski wraz z Domem Współpracy Polsko-Niemieckiej zapraszali do Centrum Kultury Śląskiej w Nakle Śląskiej czyli pałacu hrabiów Henckel von Donnersmarck na wykład Jana Tludika, który opowiadał o drewnianych kościołach w powiecie tarnogórskim.

■ W katowickim BWA odbyło się otwarcie medialnej wystawy NIE JA z udziałem artystów: Em-

rah Gökdemir, Ola Kozioł, Ola Kujawska, Kasia Agata Drogowska, Paweł Korbus, Kujawska-Murphy, Maryam Muliace, Héctor Solari, Edyta Wolska, Maria Wrońska.

■ Muzeum w Gliwicach było organizatorem wystawy „Wojna polsko-niemiecka 1939-1945. Czs okupacji, konspiracji i otwartej walki z wrogiem”.

■ 3 września br. prezydent Katowic Piotr Uszok i prezydent Sopotu Jacek Karnowski

podpisali porozumienie o współpracy obydwu miast.

■ Centrum Kultury Śląskiej w Nakle Śląskim oraz Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski zapraszali na wystawę „jazz &...” autorstwa Janusza Różańskiego oraz Anety Zaleskiej.

■ Galeria Fotografii DeKa Domu Kultury w Rybniku-Chwałowicach prezentowała wystawę Andrzeja Waltera „Fotografie nieudane”.

## Nowy dyrektor w Teatrze Dzieci Zagłębia

29 sierpnia prezydent Będzina Łukasz Komoniewski powołał nowego dyrektora Teatru im. Jana Dormana. Po dziewięciu latach z będzińską placówką rozstał się Dariusz Wiktorowicz, jego miejsce zajął Gabriel Gietzky, absolwent krakowskiej PWST (Wydział Lalkarski we Wrocławiu). Nowy dyrektor ukończył także Wydział Reżyserii Dramatu w Akademii Teatralnej w Warszawie, był też stypendystą Wydziału Reżyserii DAMU (Wydział Teatralny Akademii Sztuk Sceniczných) w Pradze.

Śląska publiczność miała okazję zapoznać się z twórczością Gietzky'ego w 2009 r. podczas XI Ogólnopolskiego Festiwalu Sztuki Reżyserkiej Interpretacje, kiedy to wyreżyserowany przez niego we Wrocławskim Teatrze Współczesnym „Kupiec wenecki” Szekspira zdobył „Zaproszenie od Stanisława”, czego rezultatem była polska prapremiera dramatu „5 razy Albertyna” M. Tremblay'a na scenie kameralnej Teatru Śląskiego (niezapomniana kreacja Sławy Łopuszańskiej), dwa lata później na Dużej Scenie pojawiła się „Mewa” A. Czechowa w reżyserii Gietzky'ego. Oba przedstawienia odbiły się wielkim echem nie tylko w śląskim środowisku. O ile koncertowo zagrana „Albertyna” zapisała się wyjątkowo najlepszymi recenzjami, o tyle „Mewa” wzbudziła wiele kontrowersji. Bez względu jednak na spory o interpretacje, nazwisko reżysera kojarzy się ze znakomitym warsztatem, twórczą intuicją i zabawą teatralnymi konwencjami. Można więc oczekiwać, że w Teatrze Dzieci Zagłębia czeka nas wiele nowości i mada nam nie grozi.

W jednym z wywiadów („Dziennik Teatralny”, Katowice, maj 2010) Gabriel Gietzky powiedział: „Uważam, że rdzeniem teatru jest tzw. wspólne przeżycie – nieważne, jakie ono by było, chodzi o to, żeby ludzie zbrali się w jednym miejscu i wspólnie coś przeżyli. I dla mnie celem sztuki teatru nie są zróżnicowane techniki, ale właśnie to przeżycie. Myślę, że trzeba być w ciągłym emocjonalnym i intelektualnym kontakcie z widzem. W teatrze nie powinno się od widza abstrahować, bo to właśnie z nim jako reżyser dialoguję, do niego kieruję swój spektakl”.

Teatr dla dzieci ma szczególne zadanie do spełnienia. Doskonale wiedział o tym duchowy patron Teatru Dzieci Zagłębia Jan Dorman, stosując prostą, ale także brzemionną w jego działaniu zasadę: Dziecko to nie mały człowiek, ale inny człowiek. Pokolenie zainspirowane przez „Czarodzieja z Będzina” zaraziło się bakcylem teatru i nadal pozostaje wierne swej dziecięcej fascynacji.

Życzymy Nowemu Dyrektorowi sukcesów i satysfakcji a przede wszystkim widzowi, której „pragnieniem będzie ponowne przyjęcie do teatru”.

MARIA SZTUKA

## ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY

### XXVII Międzynarodowy Studencki Festiwal Folklorystyczny

31 sierpnia w Sali Koncertowej przy Zespole Szkół Muzycznych im. Jana Kiepury w Sosnowcu rozpoczął się XXVII Międzynarodowy Studencki Festiwal Folklorystyczny. Do 7 września w sześciu miastach województwa śląskiego wystąpią zespoły z Włoch, Czech, Chin, Turcji, Rumunii, Białorusi, Indonezji i oczywiście z Polski. MSFF organizowany jest od 1979 roku, a jego gospodarzem każdorazowo jest działający przy Uniwersytecie Śląskim Studencki Zespół Pieśni i Tańca „Katowice”. Międzynarodowy Studencki Festiwal Folklorystyczny, jako jedna z 300 światowych imprez folklorystycznych, od wielu lat ma stałe miejsce w kalendarzu CIOFF (Międzynarodowa Rada Organizatorów Festiwali Folkloru i Sztuki Tradycyjnej, działająca pod auspicjami UNESCO), ale jako jedyny przygotowywany jest przez środowisko akademickie.

### Sosnowieckie muzeum w Gorlicach

Od 19 sierpnia wystawy „Sosnowiec wczoraj i dziś” oraz „Sosnowieckie pałace” goszczą w Kasztelu w Szymbarku. Stało się tak za sprawą porozumienia, które podpisali dyrektorzy Muzeum w Sosnowcu – Zbigniew Studencki i Zdzisław Tohl – dyrektor Muzeum-Dwory Karwacjanów i Gładyszów w Gorlicach. Współpraca przewiduje nie tylko wymianę ekspozycji między placówkami ale także dogłębne poznawanie historii, zabytków i dzieł twórców lokalnych społeczności. W uroczystości uczestniczyli m.in. prezydent Sosnowca Kazimierz Górski, wiceprzewodniczący Rady Miejskiej Wilhelm Zych, burmistrz Gorlic Witold Kochan i przewodniczący Rady Miejskiej Bogdan Musiał. W czerwcu wóldarze obu miast zainicjowali współpracę, w ramach której przewidziana jest promocja wartości kulturalnych, organizacja różnorodnych imprez artystycznych i festiwali, a także propagowanie miejsc turystycznie atrakcyjnych obu regionów.

### Nowe szaty Zamku Sieleckiego

Centrum Sztuki – Zamek Sielecki w Sosnowcu czeka znaczna przebudowa. Chlu-

ba grodu nad Przemszą, najstarszy zabytek miasta uzyskał z Urzędu Marszałkowskiego dotację wysokości 3,3 miliona zł. Planowane jest udostępnienie odkrywki archeologicznej, którą będzie można podziwiać dzięki przeszklonej podłodze. Powiększona się także pomieszczenia wystawiennicze galerii Extravagance, powstania nowa stała ekspozycja prezentująca historię zamku, której do niedawna doszukiwano się w pierwszej połowie XVII w. Prowadzone jednak badania archeologiczne przyniosły dowody na znacznie wcześniejsze, bo już XV-wieczne istnienie budowli. Odkrycia te potwierdziły archiwalne dokumenty, w których informacja o obiekcie obronnym w Sielcu pojawia się po raz pierwszy w 1403 r. Zastrzyk finansowy, który zasilą zabytek pozwoli także na dostosowanie obiektu do potrzeb osób niepełnosprawnych, montaż windy oraz dodatkowe wyposażenie w sprzęt audiowizualny, niezbędny podczas imprez organizowanych zarówno wewnątrz budowli jak i na dziedzińcu. W planach jest także parking z prawdziwego zdarzenia, oświetlenie godne starego zamczyska, aranżacja ogrodu i nowe okalające zabytek ogrodzenie. Pojawił się już termin zakończenia prac – po przyszłorocznych wakacjach Zamek Sielecki powinien zachwyć swoją nową szatą. Czekamy więc z niecierpliwością.



Fot. Witold Kociński

### Blisko, a ciekawe...

12 sierpnia w Muzeum Miejskim „SztYGarka” w Dąbrowie Górniczej odbyły się warsztaty etnologiczne poświęcone polskiej kulturze ludowej. Podczas spotkania można było zdobyć wiedzę na temat budownictwa ludowego w Polsce, wyposażenia wnętrza chaty polskiej. Dla wielu zainteresowanych była to także okazja do zapoznania się z techniką zdobienia ścian (na przykładzie chat z Zalipia) czy ze sposobami plecionkarstwa i różnorodnymi rękodzielami ludowymi. Miłośnicy tradycyjnej medycyny ludowej mogli zapoznać się z tajemnicami ziołolecznictwa a także ciekawostkami dotyczącymi metod wypędzania chorób, stosowanych niegdyś przez szamanów.

### Jednym zdaniem

■ Do końca sierpnia w Fili MBP w Sosnowcu – Rudna IV można było oglądać wystawę zawierającą zbiór fotografii przedstawionych w ramach projektu „110 sosnowiczanie na 110-lecie Sosnowca”. Autorami wystawy byli: Monika Gruszewicz, Piotr Latacha, Tomasz Malkowski i Wojciech Skórka.

■ 28 sierpnia w klubie Pod Spodem w Sosnowcu odbyła się kolejna impreza z cyklu „Art Jam Session”.

■ W Centrum Handlowym Pogoria miała miejsce wystawa malarstwa Iwony Gabrieli Ciolek.

■ W sosnowieckim klubie „Remedium” 29 sierpnia odbył się koncert charytatywny na rzecz schroniska w Sosnowcu. Zebrane pieniądze zostały przeznaczone na leczenie zwierząt, remonty boksów i zakup specjalistycznych karm.

■ Gwiazdą tegorocznego Festiwalu Reggae, który odbył się w ostatnią sobotę sierpnia w Parku im. Jacka Kuronia w Sosnowcu był Gentlemans Dub Club. W festiwalu wystąpili także: Jafia Samuel, Jahvigation i Krakow Reggae Band.

■ W Galerii Łakomskich w Sosnowcu gościła wystawa Karoliny Kindler-Skowronek (malarstwo) i Dariusza Kindlera (fotografia).



## W cieniu tragedii

13 sierpnia minęła 190 rocznica urodzin Pawła Stalmacha. Najwybitniejszy budziel polskości na Śląsku Cieszyńskim przyszedł na świat w domu Zuzanny z Cichych i Jana Stalmacha – arcyksiążęcego oficjalisty w bażanowickim dworku. Rodzice uczyli go czytać z czeskiego elementarza i polskiej wersji Nowego Testamentu; innych polskich ksiązek nie było. W gimnazjum nauki języka polskiego także nie preferowano. Dlatego wraz z kolegami założył w 1842 r. „Złączenie Polskie” i „Stowarzyszenie uczących się języka polskiego w gimnazjum ewangelickim w Cieszynie”. Razem z nim młodzi krzewiciele polskości, jak Andrzej Cinciała, Andrzej Kotuła, Jan Heczko czy Jan Bujak – gromadzili książki i wzajemnie uczyli się gramatyki. W 1843 r. Paweł Stalmach wziął na barki tłumok z książkami i ubraniami i powędrował do Bratysławy na studia filozoficzne. W 1845 r. podjął studia teologiczne w Wiedniu. W czasie wakacji w 1847 r. – wraz z Andrzejem Cinciłą – wybrał się dwukrotnie piechotą do Krakowa po polskie książki, które studenci wyprosili u księgarzy dla cieszyńskich gimnazjalistów. W ten sposób powstał załóżek biblioteki polskich stowarzyszeń na Śląsku Cieszyńskim. Po powrocie do Cieszyna w 1848 r. Paweł Stalmach nie podjął pracy duchownego ze względu na wadę wymowy. Nie pozwolono mu także uczyć w gimnazjum. Objął więc redakcję Tygodnika Cieszyńskiego, a w 1851 r. Gwiazdki Cieszyńskiej – „pisma naukowego i zabawnego” – której był właścicielem i którą redagował niemal do końca życia. Wydawał roczniki: Kalendarz Cieszyński i Kalendarz Polski.

Organizował oświatę. Założył Czytelnię Polską – „towarzystwo dla wydoskonalenia się w języku polskim”, a następnie Bibliotekę Polską dla Ludu Cieszyńskiego. Efekty przyszyły szybko, bo w 1854 r. władze austriackie... zamknęły obie instytucje. Niezrażony tworzył nowe polskie organizacje – Kasyno, Kasę Oszczędności, Czytelnię Ludową, Towarzystwo Rolnicze, Towarzystwo Naukowej Pomocy. Reżyserował przedstawienia, pisał śpiewowry, gramatykę polską i książki historyczne. 9 listopada 1885 r. powołał dzieło życia – Macierz Szkolną dla Księstwa Cieszyńskiego, która do I wojny światowej założyła 71 polskich szkół.

Jego działalność społeczna i narodowa rozgrywała się w cieniu rodzinnych tragedii. Wraz z żoną Anną Skribową wychował troje dzieci z jej pierwszego małżeństwa. Miał z nią także ośmioro własnych dzieci, z których sześcioro zmarło w dzieciństwie. Dlatego duże nadzieje wiązał z dwiema nastoletnimi córkami, które pomagały mu w pracach redakcyjnych. Niestety zmarły na gruźlicę. O pomoc redakcyjną poprosił wtedy gimnazjalistę Józefa Londzina, który po jego śmierci przejął redakcję Gwiazdki. W mieszkaniu przy ul. Głębokiej, którego dwa pokoje zajmowała redakcja, sędziwego wieku dożyła natomiast matka Pawła Stalmacha, do końca swych dni otaczana czułą opieką.

Jaką musiał darzyć miłością Boga, naród, człowieka, żeby w obliczu śmiertelnego serialu zachować wiarę w sens tego, co całe życie robił? Czy przechodził nad śmiercią do tzw. porządku dziennego, skoro rzeczywistość obcowała z nią niemal na co dzień? Zagadkę dla historyków stanowią jego ostatnie dni. Zmarł 13 listopada 1891 r. Był ewangelikiem, ale pogrzeb miał katolicki. Ponoć zmienił wyznanie. Jan Szturc powiada nie bez sarkazmu, że nie jest to wcale pewne. „Duchowieństwo katolickie twierdziło, iż na dwa dni przed śmiercią, gdy był już nieprzytomny, przeszedł na katolicyzm”.

JAN PICHETA

# BIELSKO-BIAŁA NOTATNIK KULTURALNY

## Powrót Agaty

W 2001 r. podczas pamiętnej wystawy „Kobieta o kobiecie” w Galerii Bielskiej BWA debiutowała publicznie Agata Agatowska. Dlatego nie bez kozery w sierpniu br. wróciła do galerii na premierową odsłonę projektu pt. „Infinity – Shadow of the Hand” / „Nieskończoność – Cień ręki”. – Artystka zrealizuje serię rzeźb z mastiku (rodzaj żywicy) na podstawie płaskich, efemerycznych cieni, które przenosi do rzeczywistości trójwymiarowej.

Rzeźbą, która daje początek realizacji, jest odlana w aluminium ręka artystki. Agata Agatowska w Galerii Bielskiej



Agata Agatowska, „Infinity – Shadow of the Hand” / „Nieskończoność – Cień ręki”, realizacja pierwszej części projektu, Galeria Bielska BWA.

BWA wykonała już pierwszy odlew cienia ręki. Rzeźba cienia w następnym etapie – w następnej galerii uczestniczącej w projekcie – rzuci kolejny cień, który także zostanie przez artystkę odlany w mastiku – powiada szefowa bielskiej galerii Agata Smalcerz. Artystka nie zakłada zakończenia projektu. Uważa zapewne, iż galerii jest na świecie nieskończenie wiele. – Instalacja będzie zbiorem światła stałego, cieni i rzeźb. Z każdą wystawą zbiór będzie się rozrastał. Pojęcie nieskończoności zostanie rozciągnięte na niestanny wzrost: liczby powstających rzeźb, liczby miejsc – przestrzeni galerii, które będą w projekcie uczestniczyły, oraz nieokreślony czas. Sam koncept przypomina mi rozszerzający

Jednym zdaniem

■ „Dużo D” to tytuł sierpniowo-wrześniowej wystawy stereoskopowo-anaglifowych prac bielskich fotografików w Galerii Akademickiej ATH prof. Ernesta Zawady.

■ Do końca sierpnia w Książnicy Beskidzkiej prezentowano wystawę pn. „Stulecie wybuchu I wojny światowej w dokumentach historycznych”.

■ Do 14 września potrwa ekspozycja fotografii Tadeusza Karola Chwałczyka i Dariusza Kudenia „Co widział lotnik” w DK Włókniarzy w Bielsku-Białej.

■ Od 1 do ostatniego września w bielskiej galerii Ars Nova prezentuje swe rzeźby bielszczanka Barbara Buczek.

się kosmos. Obiekty rzeźbiarskie rosną, stają się coraz większe i coraz bardziej abstrakcyjne. Następuje proces przejścia od realizmu do abstrakcji w jednym dziele, bez zaburzenia logiki czy stylu – mówi Agata Agatowska, która mieszka i pracuje w Oświęcimiu i Kolonii.

## Największa korona świata

Od 15 do 17 sierpnia trwały Dni Koronki Koniakowskiej. Podczas imprezy zorganizowano konkurs na najładniejszą koronkę. Zwyciężyła Mariola Wojtas przed Anną Kędzior i Teresą Sikorą. Wystawiano największą koronkę świata, którą w roku ubiegłym koniakowianki utkały z pięciu km bawełnianych nici tureckich. Koronka ma pięć m średnicy i waży pięć kg. Na co dzień można ją zobaczyć w istebniańskim GOK. O ile o przyszłość koniakowskiej koronki można być spokojnym, gdyż zwycięzczyniami konkursu były artystki z Trójwsi, o tyle w konkursie gry na trombicie miejscowi trębacz zawiędli. W swoich kategoriach wiekowych wygrali Dawid Broszczakowski z Kęt, Dariusz Szleda z Tych i Mateusz Ratusznik z Wrocławia. Podczas imprezy swe umiejętności prezentowały kapele i ludowe zespoły, np. Mali Zgrapanie, Mała Jetelinka i zespół Koniaków z najpiękniejszą góralką 2014 roku Katarzyną Ligocką na czele.

## Harfistki w Sydney

Absolwentki bielskiego Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. S. Moniuszki Amelia Tokarska i Klara Wośkowiak, uczennice profesor Ewy Jaślar-Walickiej, reprezentowały Polskę na XII Światowym Kongresie Harfowym (20 –26 lipca) w Sydney! Nb. poprzedni kongres odbył się w 2011 r. w Vancouver. W ramach tegorocznej edycji programu Focus on Youth w Australii prezentowano 24 najlepszych młodych muzyków ze świata. Klara Wośkowiak koncertowała 22 lipca, a Amelia Tokarska trzy dni później. Obie wystąpiły w Garrison Church w Sydney. Amelia Tokarska zagrała m.in. utwór pt. „Bagatele” polskiej kompozytorki Marty Ptaszyńskiej.

■ Rada Rodziców Państwowej Szkoły Muzycznej w Cieszynie sfinansowała w połowie zakup dla placówki organów, które przez 50 lat służyły parafii ewangelickiej w Leverkusen.

■ Do 14 września potrwa w Muzeum Śląska Cieszyńskiego wystawa pn. „Dawno temu na granicy” z okazji dziesiątej rocznicy przystąpienia Polski i Czech do UE.

■ W sierpniu i wrześniu w DK w Lipniku wystawia swe prace malarskie nestor bielskich artystów Eustachy Matejko.

■ W Galerii ZPAP Okręgu Bielskiego w Bielsku-Białej w sierpniu i wrześniu swe prace prezentują artyści spod Szyndzielni.

## Z drewna, metalu i... lustra

W Gabinecie Wybitnych Częstochowian przypominało twórczość zmarłego przed dwoma laty Krzysztofa Kędzierskiego. Artysta urodził się w 1940 r., w latach 1959–1965 studiował w Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie, a następnie Rzeźby u prof. Jerzego Bandury, a następnie został asystentem prof. Stefana Borzęckiego. W swojej karierze zawodowej piastował m.in. stanowisko dziekana Wydziału Architektury Wnętrz, kierownika Katedry Kształcenia Ogólnoplastycznego czy II Pracowni Rzeźby. Uczestniczył w wielu wystawach zbiorowych i indywidualnych w kraju i za granicą, był również jurorem konkursów.

Częstochowianin tworzył rzeźby i medale. Do kompozycji przestrzennych wykorzystywał gotowe przedmioty i fragmenty urządzeń, odnalezionych, a może raczej dostrzeżonych, by w ten sposób w nowym kontekście zwielokrotnić ich życie. Śiegał po różnorodne materiały, od kamienia, drewna, metalu, aż do szkła, plastiku, tkaniny, a nawet papieru, by budować z nich metaforyczne i abstrakcyjne obiekty. Na wystawie zorganizowanej przez Muzeum Częstochowskie i Salon Dziel Sztuki Connaissance w Krakowie pokazano prace z kolekcji Ewy Kędzierskiej oraz Konstantego Węgrzyna.

Prezentowane obiekty zachwycały prostotą i celnością pomysłu. Posługując się codziennym przedmiotem, napisem, ujawniały stosunek artysty do problemów współczesności. Do namysłu nad definicją sztuki zachęcała zwiedzających np. olbrzymia łyżka w grubej złocistej ramie uzupełniona informacją: „1,3 mld ludzi żyje za mniej niż 1 dolar dziennie”. Temat ten podejmowały także inne prace – przede wszystkim eksperymentujące z obramowaniem pustych, czasami kolorowych płaszczyzn, a także zawierające mniejsze ramki ze znakiem zapytania lub przedmiotem... Do zewnętrznej ramy przyczępiono natomiast różne utensylia: kłódki, kieliszki, cyrkle, zegarek, maszynkę do golenia, świecznik, bez których trudno wyobrazić sobie codzienne życie. Ciekawym pomysłem było również wykorzystanie lustra jako tła obrazu, by zwielokrotnić znajdujący się na nim przedmiot (np. fragmenty kości), ale także umożliwić przemianę widza w element instalacji (w ten sposób powstawał autotypret oglądającego).

Drugim ważnym tematem prezentowanych prac był świat i jego poszczególne elementy. Na metalowym fragmencie kuli artysta umocował olbrzymie makówki, pacyfę, fajkę, nabój, dom i kościół, czasami znaczenia obiektów podpowiadały tytuły, np. „Mnich i pralat”, czyli kawał drewna ze sznurem kontra elegancka tuba konieczna z amarantowymi guziczkami. Niektóre prace przypominały skomplikowane mechanizmy – np. ptaszek w szklanej kuli umocowany do konaru drzewa, inne ujawniały metaforyczną potęgę tkwiącą w codziennych przedmiotach – metalowym wieszaku, fragmencie drzwi z kłódką, które nagle mogą przemienić się w metaforę odbioru sztuki, czy w uchylonych, pogiętych metalowych kopertach, zawierających upchaną codzienność artysty i odbiorcy.

Prace w większości pozbawione tytułu dumnie eksponowały nazwisko artysty na tabliczce. Był to bowiem świat stworzony przez Krzysztofa Kędzierskiego, z ustalonymi przez niego proporcjami i widnokresem. A wystawa umożliwiała zachwyty nad inwencją i zdolnością kreacyjną artysty.

JOANNA KOTKOWSKA

## CZĘSTOCHOWA NÓTATNIK KULTURALNY

### Hold Warszawie

1 sierpnia świętowano 70. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. Główne uroczystości odbyły się w Warszawie, ale w obchody włączyła się również Częstochowa, która po zniszczeniu stolicy stała się przystankiem dla wielu warszawiaków. Odprawiono mszę świętą w kościele Najświętszej Maryi Panny, pod pomnikiem Nieznanego Żołnierza złożono kwiaty, w altanie zorganizowano koncert *Zostali w pieśniach* chóru Cantate Deo, a tuż przed godziną w Muzeum Częstochowskie zaprosiło na wernisaż grafik Andrzeja Kowalczyka *Miejsca postoju*, artyści kojarzonego m.in. z „Przekrojem”.

Grafik urodzony w 1951 r. z tematem powstania mierzył się od wielu lat. Zainteresowania historią wyniósł z domu rodzinnego, podjął nawet studia na Wydziale Historycznym UJ, ale szybko stwierdził, że chce tworzyć. Pierwsze grafiki powstałe wykonał na zajęciach u profesora Mieczysława Wejmana (ASP w Krakowie), a temat kontynuował w pracach dyplomowych, nagrodzonych Złotym Medalem ASP.

Na częstochowskiej wystawie można oglądać grafiki ze zbiorów prywatnych należące do kilku cykli: *Verbrennungskommando*, *Miejsca postoju* czy *Ulica*. Na czarno-białych akwafortach artysta pokazał szczytki mieszkańców w ruinach miasta, gdy śmierć jest wyłączone konsekwencją walki o honor, ale jakby wbrew nadziei – *Miejsce postoju 13* to nogi maszerujących żołnierzy, co utrudnia rozpoznanie ich narodowości i formacji, a w dole kilka ciał; innym razem skulone postacie walczą z wiatrem, który także zdaje się być ich wrogiem. Drugim tematem jest chęć uchwycenia życia w powstańczym mieście mimo nieustannego zagrożenia śmiercią.

Grafiki oddziałują na różne sposoby – przerażają pustką (*Miejsce postoju 1* to ogromna ściana, pod którą leżą dwa trupy) albo niezwykle przepelnionym kadrem; działają także formatem – od miniatur (*Miejsce postoju 26*, 7,2×9) do wielkości średniego obrazu (*Miejsce postoju 1*, 104×69). Przy wejściu na wystawę umieszczono plakat Henryka J. Chmielewskiego (ps. Jupiter; współcześnie znany jako Papcio Chmiel) z hasłem: „Každy pockisk jeden Niemiec”.

### Noc niezależna w rytmie hip hopu

Ostatni weekend lipca w Częstochowie obfitował w wydarzenia kulturalne. Po festiwalu reggae przyszedł czas na hip hop. Na placu Biegańskiego i w okolicznych klubach (Rura i Carpe Diem) odbywał się 5. Hip Hop Elements 2014, czyli Festiwal Kultury Hip Hopu. W piątek wystąpili częstochowianie, a w sobotę gwiazdy zamieszcowe: Molesta/Ewenement oraz O.S.T.R. a także Dj Funktion, Freszejk czy Te-Tris (właśc. Adam Chrabini) wszyscy z muzyką na żywo. Sobotni koncert poprowadził Mikser.

Już w czwartek warszawska szkoła Spinlab (Kebs i Falcon) zaprosiła na warsztaty dj'ów i kandydatów, w piątek odbywał się także „Break Dance Jam & Freestyle Session”, w czasie którego miały miejsce Street Dance Battle oraz All Style Battle. Festiwal potwierdził pozycję muzyków Częstochowy na scenie hip hopu. Po wydanych w tym roku

### Jednym zdaniem

■ Wystawy: *Gaude Mater* – Tomasz Wojtysek *Zobaczyć dźwięk, usłyszeć obraz*; poświęcona wystawa Tomasza Gawlikowskiego; *Wejściówka* – Bożena Węgierska, *Matylda Słowska*; MGS – Magdalena Barczyk-Kurus *Intymność światła*, Milena Romanowska *Poza peryferia*; CPM – Dariusz Dąbrowski *Wystawa w piwnicy*, Elżbieta Czapa *Oblicza*; w Zapałczarni – *Dramat Wolności* przygotowana przez Zbigniewa Bajka.

płyta; Sensiego, Centrum Strony, Sariusza, czekamy na Żyto i Miksera. Aktywnie działa też stowarzyszenie *Przybij piątkę* krzewiące kulturę hip hop.

W sobotę Stowarzyszenie 34 oraz Urząd Miasta Częstochowy zaprosili na Noc Kultury Niezależnej na podwórko przy Cafe Belgu i do Carpe Diem. Zaczęło się od działań edukacyjnych – zabawy z dziećmi animowała Grupa kARTon, potem już dla bardziej niezależnych zagrali – Straight Jack Cat (uczestnicy Must be The Music „Tylko Muzyka”), Patrick The Pan (Piotr Madej z Krakowa, który w 2013 roku wystąpił na festiwalu Heineken Open'er), a wrażeń teatralnych dostarczyła grupa Wrocławskiego Teatru Sparowani (Angelika Pytel i Jakub Kowalczyk, reżyseria wspólnie z Przemysławem Jaszczakiem) spektaklem *Złap mnie*. Teatr występował już na Międzynarodowym Kampusie Artystycznym FAMA 2013 oraz na Dionizjach w Ciechanowie. Spektakl tworzyły fragmenty *Domu lalki* Henryka Ibsena oraz *Alicji w krainie czarów* Lewisa Carrolla. Sztuki plastyczne reprezentował Szymon Motyl, a jego instalacja wciąż ozdabia podwórko koło Cafe Belga. Spotkanie zakończyło afterparty prowadzone przez DJ Wujka Tomka.

### Kino w Galerii i na leżaku

Kolejną atrakcją świętowanego w tym roku jubileuszu 25-lecia OKF-u w Częstochowie była wystawa przygotowana w Sali Śląskiej MGS-u *Plakato-wa historia kina* (wernisaż 25 lipca). Z przepastnych archiwów wybrano projekty doskonałe graficznie, ale także reklamujące ważne i uznane filmy polskie i zagraniczne. Subiektywny przegląd filmów prezentowanych w kinie studyjnym (zarówno kasowych hitów, jak i udostępnianych wyłącznie w tej sieci) stał się dla zwiedzających okazją do wspomnień oraz konfrontacji wykorzystywanych przez twórców plakatu technik – od kadru filmowego aż do kompozycji (typo) graficznych. Niektóre z plakatów organizatorów podpisałi nazwiskiem artysty; m.in. Andrzej Pagowski. Wystawa zachęcała do namysłu nad funkcjami plakatu filmowego jako dzieła użytkowego: informacja, budzenie zaciekawienia, ale również zachwyty oglądającego. Opowiadała także o jednym z przemijających zjawisk kultury, gdy plakaty filmowe ozdabiały pokoje nastolatków, ujawniając akceptowane przez nich wartości, kojarzone z fabułą, aktorem, reżyserem czy krajem produkcji.

A w sierpniowe soboty miłośnicy kina mogli z Galerii udać się na Promenadę im. Czesława Niemena, gdzie po raz kolejny odbywał się Częstochowski Festiwal Filmowy „Lezak Fortum 2014”. Oprócz emisji filmów przygotowano również spotkania z aktorami: Mariuszem Bonaszewskim, Tomaszem Saprykiem, Mariuszem Czajką oraz Olgą Bończyk. Spotkania uzupełniały występy muzyczne oraz konkursy.

### Tradycyjny strój cieszyński

W Pawilonie Wystawowym w parku im. S. Staszica wciąż można zwiedzać wystawę *Hoczki, szczytki i orpanty. Strój i biżuteria cieszyńska* współorganizowaną przez Muzeum Częstochowskie, Muzeum Śląska Cieszyńskiego oraz Muzeum Śląskie w Katowicach. Poza walorem etnograficznym ciekawie mogą egzotycznie brzmieć słowa przypominające, że niewielka dziś odległość kiedyś mogła wyznaczać odmienną kulturę.

Na manekinach pokazano typowe stroje mężczyzn oraz mężatek. Były więc kolorowe żywotki (gorsety), różnorodne hoczki (zapinki) wykonane m.in. techniką filigranu, orpanty (napierszniki) czy spencery (rodzaj krótkiego fracka). W gablotach znalazły się wykonane z wielką starannością i pieczołowitością koronkowe czepce. Aż żal, że tradycyjne stroje zastępowane są współcześnie długimi seriami, które ujednoliciły i zdemokratyzowały świat.

■ W kościele ewangelicko-augsburskiej odbywał się w kolejne niedziele sierpnia I Festiwal Muzyki Organowej i Kameralnej, organizowany przez parafię oraz OPK „Gaude Mater”. Wystąpili: Teresa Pach (skrzypce), Krzysztof Urbanik (organista), Zuzanna Niedźwiecka (flet) i Dawid Długosz (organista) oraz Maria Hilla (sopranistka) i Karol Hilla (organista).

■ Paweł Łukaszewski otrzymał w Paryżu Nagrodę „Złotego Orfeusza” za płytę *Missa di Maria a Magdala*.



## Jubileusz kaplicy uczcili mszą świętą

Przed dziesięcioma laty, 7 sierpnia 2004 r., ordynariusz diecezji ostrawsko-opawskiej, ks. bp František Václav Lobkowicz, poświęcił w Trzyncu-Osówkach kaplicę pw. Niepokalanego Serca Najświętszej Panny Marii, którą wybudował wraz ze swoimi braćmi – własnymi rękami i na własny koszt – ks. Józef Kaszper.

Dziesiątą rocznicę tamtego wydarzenia wierni z Trzyncia i okolicznych miejscowości uczcili 9 sierpnia jubileuszową mszą świętą. Sobotnią mszę, sprawowaną przed ołtarzem polowym koło kaplicy, prowadził ks. Kamil Strak ze Starej Wsi pod Ondrzejnikiem, proboszcz tamtejszej parafii pw. św. Jana Chrzciciela i dyrektor Diecezjalnego Centrum Młodzieży, który nb. swoją mszę prymicyjną sprawował przed dziesięcioma laty właśnie w kaplicy w Osówkach. Wspólnie z nim koncelebrowali mszę: gospodarz tego miejsca, ks. Józef Kaszper (na co dzień duszpasterz w Hati koło Hluczyna), oraz księża proboszczowie Kazimierz Płachta z Ropicy i Zbigniew Macura z Puńcowa.

O tym, jak powstawała kaplica, opowiedział jej budowniczy, który pomimo wieku nie wstydzi się na co dzień włożyć zamiast sutanny roboczego kombinezonu i zadbać o swoją niedużą świątynię. – Minęło już pół wieku od chwili, gdy nam w Końskiej wyburzono kościół katolicki. Ostatnia msza odbyła się tam w Święta Wielkanocne 1964 r., potem świątynia została zlikwidowana, musiała ustąpić miejsca rozszerzającej się Hucie Trzynec – wspominał ks. Kaszper.

Dodaje, że powody budowy były trzy: pierwszy – podziękowanie Bogu, że po dwudziestu latach nietawego życia mógł zostać księdzem, po drugie – kaplica ma przynajmniej częściowo zastąpić zburzony kościół... – Po trzecie zaś jest to pomnik mojej mamy, której zawdzięczam życie i to, że jestem księdzem – podkreślił ks. Kaszper.

Kaplica jest wykorzystywana przez wiernych z Trzyncia i okolicznych miejscowości. Danuta Jaś i Irena Szymonik, które wspólnie z koleżankami opiekują się świątynią powiedziały mi, że msza św. odbywa się w trzecią niedzielę miesiąca wieczorem. Zatrzymują się tam co roku pątnicy pielgrzymujący na Jasną Górę z Jabłonkowa. Spotykają się tam członkowie wspólnoty sympatyków Radia Maryja, Kółka Różańcowego, znaleźli tu azyl także młodzi trzyniczanie. Jest też Dom Pielgrzyma, którego patronem jest św. Józef, gdzie można nawet przenocować. – Mamę na czym tu, w Osówkach, budować swoje życie. Na Bogu! Pomaga nam zaś w tym swoją pokorą, skromnością, ks. Józef – podkreśliła Danuta Jaś.

JACEK SIKORA

# ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

## Polacy powinni wybierać Polaków

W połowie października mieszkańcy całej RC rozstrzygną, kto będzie rządzić ich gminami. Kongresowi Polaków, Polskiemu Związkowi Kulturalno-Oświatowemu oraz Polskiej Sekcji Narodowej Ruchu Politycznego „Co-existentia-Wspólnota” zależy, by we władzach zaolziańskich miejscowości znalazło się jak najwięcej Polaków. W tym celu w ostatnią środę sierpnia odbyło się spotkanie, w trakcie którego przedstawiciele trzech organizacji poszukiwali wspólnej strategii w wyborach komunalnych.

Jak zauważył gospodarz przedwyborczych rozmów, prezes ZG PZKO Jan Ryłko, efektem spotkania powinien być apel skierowany za pośrednictwem prasy do polskiej społeczności na Zaolziu, by wszyscy poszli do wyborów. W parze z nim powinna zaś iść rzetelna informacja o sposobie głosowania w wyborach do samorządów lokalnych, który pozwala zarówno na wybieranie całej listy, jak i na zakreślanie kandydatów z różnych list wyborczych. Prezes Kongresu Polaków Józef Szymeczek, proponował posunąć się jeszcze dalej i opracować modelowe przykłady, jak w poszczególnych gminach należy głosować, żeby wprowadzić do samorządów maksymalną liczbę Polaków.

## Uczcili ofiary Żywocickiej Tragedii

W tym roku minęło 70 lat od tragedii, która 6 sierpnia 1944 r. rozegrała się w Żywocicach. Jej ofiarami było 36 mężczyzn z Żywocic, Cierlicka, Suchej Dolnej i Górnej. Rozstrzelani zostali w niedzielny poranek tam, gdzie Gestapo ich zastało – w lesie, w polu lub na oczach rodziny przed własnym domem... 28 niewinnych Polaków i 8 niewinnych Czechów.

Wydarzenia sprzed 70 lat, które boleśnie dotknęły większość żywocickich rodzin, które nie podpisały volkslisty, ożyły wczoraj ponownie podczas obchodów wspomnieniowych zorganizowanym pod pomnikiem Płaczącej Matki w Żywocicach przez Miasto Hawierzów przy współpracy z Kongresem Polaków w RC, Czeskim Związkiem Bojowników

o Wolność i Muzeum Ziemi Cieszyńskiej. W uroczystości wzięli udział również przedstawiciele państwa polskiego – kierownik Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych w Warszawie Jan Stanisław Ciechanowski oraz konsul generalna w Ostrawie Anna Olszewska. Kwiaty i wieńce pod pomnikiem przyszyły złożycy liczne delegacje oraz osoby prywatne, a wśród nich potomkowie ofiar tragicznych wydarzeń z pamiętnego 6 sierpnia.

W czasie, kiedy dobrzmiały zamykające obchody hymny Rzeczypospolitej Polski i Republiki Czeskiej, pod pomnik Tragedii Żywocickiej dotarli również uczestnicy piętego Rajdu Rowerowego „Po żywocickich stelach”, którego celem jest odwiedzenie wszystkich miejsc nazistowskiego mord. Rajdowcy na czele z pomysłodawcą Władysławem Kristenem zapalili pod pomnikiem 36 zniczy ku pamięci 36 rozstrzelanych mężczyzn.

## „Oldrzychowice” z nagrodą im. Oskara Kolberga!

Trwa doskonała passa Zespołu Tanecznego „Oldrzychowice”. Po zdobyciu na Festiwalu Folkloru Górali Polskich w Żywcu głównego nagrody – „Złotego Żywieckiego Serca” przysłała wiadomość, iż grupa działająca przy Miejscowym Kole PZKO w Oldrzychowicach została jednym z laureatów tegorocznej nagrody im. Oskara Kolberga, będącej najważniejszym polskim wyróżnieniem za zasługi dla kultury ludowej.

Nagroda im. Oskara Kolberga „Za zasługi dla kultury ludowej” ustanowiona została w 1974 r. na Mazowszu. Od początku ma rangę wyróżnienia ogólnopolskiego, a od 2002 r. jej organizację prowadzi Muzeum im. Oskara Kolberga w Przysusze (Oddział Muzeum Wsi Radomskiej w Radomiu) przy współpracy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Fundacji „Cepelia” Polska Sztuka i Rękodzieło i Narodowego Centrum Kultury.

Nagroda im. Oskara Kolberga wskazuje na znaczenie dziedzictwa kultury ludowej jako jednego z fundamentów kultury narodowej, decydującego o bogactwie i kulturowej różnorodności; stanowiącego istotny element współczesnego obrazu kulturowego Polski. Nagroda honoruje dorobek i wyraża uznanie dla twórców, animatorów, naukowców, badaczy oraz instytucji i organizacji wspierających kulturę ludową.

W tym roku obok „Oldrzychowice” jej laureatami zostały m.in. Kapela Rodzinna Trebunów Tutków oraz Regionalny Zespół Pieśni i Tańca „Boczek Chelmoński”.

Jednym zdaniem

■ Polskie Gimnazjum w Czeskim Cieszynie zainaugurowało rok szkolny 2014/2015 z patronem w nazwie szkoły. W poniedziałek w Teatrze Cieszyńskim została nadana szkole nowa oficjalna nazwa – Polskie Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego.

■ Parafia rzymskokatolicka pw. Apostołów Filipa i Jakuba w Dobracicach gościła 10 sierpnia grupę ojców franciszkanów z podwarszawskiego Niepokalanowa. Po niedzielnej mszy świętej goście z Polski wystawili misterium sceniczne „I każdą łzę otrze Bóg z ich oczu – Męka św. Maksymiliana”.

■ W ośrodku „Paseczki” w Koszarzyskach wakacje spędzała dwunastka młodych ludzi z Zaolzia i Pragi. Adepti sztuki uczestniczyli w 13. Warsztatach Teatralno-Filmowych organizowanych 17–24 sierpnia przez Kongres Polaków.

■ Wierni trzech diecezji, opawsko-ostrawskiej w Czechach, żylińskiej na Słowacji i bielsko-żywieckiej w Polsce po raz szósty spotkali się w sobotę, 23 sierpnia, na modlitwie na Trójstyku. Podczas mszy św. około 2 tys. wiernych modliło się w intencji jedności i pokoju.

■ Koniec sierpnia przebiegał na Zaolziu pod znakiem dożynek. Swoje święta plonów zorganizowali m.in. PZKO-wcy w Oldrzychowicach, Gutach i Błędowicach.

■ Niespełna 700 tys. koron Urząd Wojewódzki w Ostrawie przeznaczył na uatrakcyjnienie i unowocześnienie miejsc, będących zabytkami techniki. Wszystko po to, by zadowolić odwiedzających te obiekty turystów i przyciągnąć kolejnych zainteresowanych.

■ W sobotę 30 sierpnia odbyły się w Beskidach Mistrzostwa Górali w Strzyżeniu Owiek. Imprezę z Koszarzysk przeniesiono w tym roku do Norku. Tegoroczne Mistrzostwa wraz z Kolibą zorganizowali: Ognisko Górali Śląskich, Związek Hodowców Owiec i Kóz, gmina Nydek i Miejscewo Kolo PZKO oraz decydecy gazdowie.

■ W niedzielę 31 sierpnia w katedrze ostrawskiej pw. Boskiego Zbawiciela została odprawiona ostatnia przed remontem msza święta. W poniedziałek w kościele ruszyły roboty budowlane, które potrwają przez cały rok. Po ich zakończeniu główna świątynia Diecezji Ostrawsko-Opawskiej będzie służyć już nie tylko do celów sakralnych, ale również turystycznych.

■ Reprezentanci polskich organizacji w Republice Czeskiej uczcili 1 września 75. rocznicę wybuchu II wojny światowej. Ich gościem była konsul generalna RP w Ostrawie, Anna Olszewska.

**Tak** pachnie jabłko jak malarz wzniosł płamę... pisał ongiś Stanisław Swen Czachorowski, zapoznany niestety poeta. Oto celność! Intuicja i skrót. Malarstwo narzuca zmysłom nie tylko wzrokowe wrażenia, a porządek plam barwnych na płaskiej powierzchni budzić potrafi różne zmysły i różne wrażenia. Wszystko zależy od czujnej gotowości patrzącego i od wyboru jakiego na samym początku dokonał sam artysta: czy chce ewokować przede wszystkim swoje przemyślenia i malować „z głowy” czy też otworzyć się na rzeczywistość „z zewnątrz”. To klasyczny dylemat, którego konsekwencje określają sytuację w sztuce. Nie tylko współczesnej rzecz jasna. O tym, że dzisiaj absolutnie tryumfuje opcja pierwsza nie trzeba nikogo przekonywać. Niestety wbrew intelektualnie „namaszczać” wizjom i programom coraz powszechniejsze staje się odczucie, że zabrnęliśmy o to w jakiś ślepy zaułek.

Malarstwo Edyty Rutkowskiej spokojnie, konsekwentnie i stanowczo ustawia się „pod prąd” aktualnych trendów. Przede wszystkim należy podkreślić rzecz najważniejszą: artystka uprawia malarstwo. Czyli nie tylko nie uważa, że to fenomen przebrzmiały, ale płótno, paletę, pędzel czy szpachlę stawia ponad wszelkie teorie. Co więcej, jej żywiołem jest plener. Nie hermetyczna pracownia – laboratorium, nie wykonypowany sposób, ale żywa przestrzeń. Żywe światło. Żywy naturalny kolor. Słowo *naturalny* trzeba tu mocno podkreślić, wywieść z natury, jej tajemnic i niepokojącego piękna. Zatem drugi ważny moment: Rutkowska *wierzy* w malarstwo. *Praktykuje* malarstwo. A jako bezpośrednią tradycję ma za plecami realizację pej-



Klif nadmorski, olej, płótno, 50x70

## Pejzaż podwójny, czyli do nas o nas

MACIEJ M. SZCZAWIŃSKI

zażowe (zwłaszcza polskie) z przełomu XIX i XX wieku.

Taka postawa wymaga dzisiaj nie lada samozaparcia i odwagi, chociaż jeżeli ktoś nie traktuje jej jako efektu takich czy innych kombinacji to jest po prostu jak oddychanie. Zwyczajna i nieodzowna.

Warsztatowo malarstwo Edyty Rutkowskiej zaświadcza kolosalną biegłość i polot. Co ciekawe, techniczne umiejętności, sposób i rytm kładzenia farby, wyrafinowane laserunki, gra fakturą – nie przesłaniają tego co takie cenne i rzadkie zwłaszcza dzisiaj, czyli naturalności malarskiego gestu. Tego nie sposób się nauczyć. Wyrobić w sobie drogą ćwiczeń. To coś trzeba mieć w środku, od początku, żeby drgnienie światła, kaprys perspektywy, nagłe

skłębienie obłoków, deklamacje barw – dostrzec i nazwać pędzlem. Żeby zdążyć. Tylko wtedy pejzaż zaczyna brzmieć. Nie jest prostym odwzorowaniem widomego konturu, ale wnikiem w jego tajemną istotę.

Ileż słów wypowiedziano i napisano o tajemniczej alchemicznej jakości, która przesądza prawie zawsze o tym czy coś jest sztuką czy (tylko) lepszym lub gorszym rzemiosłem. A przecież definicji nie ma i nie będzie. Bo dotykamy rejonów *nomen omen* niedefiniowalnych. Wrażliwość, czułość, wzruszenie, piękno... No właśnie! Patrząc na subtelne a zarazem w jakiś sposób silne i definitywne ujęcia Rutkowskiej zdajemy sobie nagle sprawę, że te słowa naprawdę coś znaczą. Że wyparte, ba! wygnane z języka współczesnej krytyki nie przestały nazywać wrażeń i jakości istniejących. Żadne stare i nowe „izmy” nie zastąpią – użyjmy raz jeszcze tego

słowa – t a j e m n i c y. Spokój górskiej przełęcz, melancholia zimowego zmierzchu, przezroczyść powietrza nad wodą, rytm płaszczyzn krajobrazu mówią do nas... o nas! Bo ten pejzaż choć taki „naoczny” rozlega się przecież też z drugiej strony, w przestrzeni duchowej samego artysty. To jego lęki i olśnienia, jego pytania i odpowiedzi, obsesje, namiętności i zdumienia „dyktują” tu decyzje formalne.

Edyta Rutkowska przekonuje swoim malarstwem o niezbywalnej wartości sztuki, która mówi realnemu światu „tak”. Chmury, trawy, drzewa, woda i powietrze są tutaj literami sekretnego alfabetu.

Czytajmy ten tekst w skupieniu i z czułością.



Okiennik-Skarżyce, olej 40x50



Port Bernardynka, olej 40x50





*Tatry – Kondracka Kopa, olej, 64x81*



*Stary Młyn Ołobok, olej, płótno, 40x50*



*Roztopy na Parteczniku – Wisła, olej, 50x60*



*Krokusy w Dolinie Chochołowskiej, olej, 60x70*



*Wzdłuż jeziora, olej, płótno, 40x50*

**EDYTA  
RUTKOWSKA**

Malarstwo





# WYŻSZA SZKOŁA HUMANITAS

W SOSNOWCU

wyróżniona  
dofinansowaniem

Ministerstwa

Wzrost i Skuteczność Wyższego



Podyplomowe

Zaoczne

Dzienne

50%

OSZCZĘDZASZ  
1000 zł

0 zł

Zwycięzca i lider rankingów



Najlepsze kierunki, w tym:

- Elektroradiologia (nowość)
- Coaching (nowość)
- Prawo (mgr w 3,5 roku)
- Psychologia (zjazd raz w miesiącu)
- Marketing Polityczny
- Administracja
- BHP
- Zarządzanie
- Bezpieczeństwo Narodowe

Atuty uczelni:

- Lokalizacja
- MEGA Parking
- Bufet
- Akademiki
- Dla studentów zniżki u Partnerów uczelni

Goście i wykładowcy:

- prof. Lew-Starowicz
- Meller
- dr Dudek
- Tymochowicz
- Kammel
- prof. dr hab. Rosati

ZA PRZEJŚCIE Z INNEJ UCZELNI 1000 zł